Czerwiec — 1859.

DWA LISTY
ZYGMUNTA III
KRÓLA POLSKIEGO *).

I.
Do Ludwika XIII Króla Francuzkiego.

(TEKST).

Serenissimo Principi Domino Ludovico XIII Dei Gratia Christianissimo Galliarum et Navarrae Regi, amico, consanguineo et cognato nostro charissimo, Sigismundus tertius eadem gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae Sivoniaequae, nec non Suecorum, Gothorum Vandalorum: que herditarius Rex, salutem et fraterni amoris atque omnis felicitatis continuum incrementum.

---

*) Listy te, z których jeden z własnoręcznego przepisaliśmy oryginału, pochodzą ze znakomitego w Rzymie archiwum; lecz ponieważ takowe od niedawnego czasu zamkniętem zostało dla publiczności z rozkazu rządu, nie możemy wymieniać jego nazwy, ażeby nie skompromitować uprzejmego bibliotekarza, który nam powyższe czcigodne a nieznane dotąd w naszym kraju zabytki korespondencyi Zygmunta III potajemnie udzielić raczył. (Przyp. wydawcy p. W. Kulczyckiego).

Serenissime Princeps Domine Cognate et affinis noster charissimee. Habet hoc communis regum christianorum inter se conjunctio, ut pro regia sua dignitate tuenda mutuas sibi operas Reges plerumque exhibeant, communesque adeo opes et auxilia conferante. Tali nos cum simus in Majestatem Vestram studio: parem vicissim Majestatis Vestrae erga nos voluntatem experiri confidimus, in eo praesertim, quod ad praesens dignitatis nostrae interesse existimamus. Id vero est hujusmodi: quod nimirum cum pro more usuque caeterorum Christianorum Regum Serenissimi Decessores nostri Poloniae Reges, namque adeo ipsi superiorum Romanorum Pontificum temporibus ea apud Sedem Apostolicam praerogativa uteremur, ut ad commendationem postulationemquae nostram, viri bene de Ecclesia et Republica Christiana meriti in cardinalium collegium cooptarentur, nunc primum a presenti Romano Pontifice ex ipso ferme sui Pontificatus initio practer omnem dignitatis nostrae rationem hujus ipsius Sedis Apostolicae benignitatis possessione ita privamur, ut ne uni quidem Episcopo videlicet Regiensi viro summa cum laude legationis apostolicae munere annos ferme novem in regno nostro perfuncto, cardinalatum a praesenti Pontifice impetrare possimus. Quod quidem cum nobis perferre longe sit gravissimum, id ad Majestatem Vestram ut Christianissimum Regem deferimus majorem in modum postulantes, ut pro mutua nostra fraternitatis necessitudine serio per Oratorem suum apud Romanum Pontificem contestetur quantopere sibi displiceat nostram adeo ea in re dignitatem negligi: omninoque hortari velit Majestas Vestra praesentem Pontificem, ut majorem quam hactenus nostri postulationisque nostrae rationem in posterum habeat. Pollicemur vero nos vicissim Majestatis Vestrae dignitatis causa nihil unquam recusaturos, omnique officii genere singularem hanc Majestatis Vestrae erga nos benevolentiam re-

laturos. Cupimus interim Majestati Vestrae optimam valetudinem prosperrimosque rerum omnium successus. Varsaviae XXIII mensis Aprilis anno Domini 1625. Regnorum nostrorum Poloniae XXVIII, Sueciae XXII anno.

Ejusdem Majestatis Vestrae

Benevolus Cognatus
Sigismundus Rex.

(PRZEKŁAD).

Najjaśniejszemu książęciu i panu Ludwikowi XIII, z Bożéj łaski chrześciańskiemu Francyi i Nawary królowi, przyjacielowi i bratu naszemu najmilszemu, Zygmunt trzeci z tejże łaski król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, inflancki, dziedziczny król szwedzki, gocki i wandalski pozdrowienie i bratnéj miłości a wszelkiego szczęścia ustawiczne pomnożenie.

Najjaśniejszy książę, bracie i powinowaty nasz najmilszy! To ma do siebie wzajemne królów chrześciańskich zjednoczenie, iż dla bezpieczeństwa swéj godności, jedni drugich częstokroć wspierają i wspólnych ku temu dokładają starań i zabiegów. Taką względem waszéj królewskiéj mości zachowując gotowość, tuszym, iż podobnejże powolności od waszéj król. mci doznamy w obecnym zwłaszcza wypadku naszą godność obchodzącym. Wypadek zaś ten następnego jest rodzaju: obyczajem i trybem innych chrześciańskich królów, najjaśniejsi poprzednicy nasi królowie polscy, toż my sami za czasu ostatnich rzymskich Pasterzy tego w Stolicy Apostolskiéj używaliśmy przywileju, iż na zalecenie i wstawienie się nasze mężowie dobrze zasłużeni Ko-

ściołowi i rzpltéj chrześciańskiéj, do kolegium kardynalskiego przyjęci bywali. Owóż po raz pierwszy za sprawą teraźniejszego Papieża, i to na pierwociu jego panowania, wbrew wszelkim dostojeństwa naszego prawom, tak dalece pozbawieni zostajemy względów tejże Stolicy Apostolskiéj, iż jednemu nawet biskupowi Rogieńskiemu, mężowi który przez lat niemal dziewięć urząd nuncyusza apostolskiego nader chwalebnie w królestwie naszem sprawował, kardynalstwa od panującego Papieża wyjednać nie możemy. Co gdy nam się staje nader uciążliwem do przeniesienia, sprawę tę wytaczamy przed waszą król. mość, jako przed króla chrześciańskiego, usilnie prósząc, ażebyś wasza król. mość przez wzgląd na wzajemne braterstwa naszego potrzeby, Ojcu Swiętemu przez posła swego wyraził, jak dalece krzywdzi waszę król. mość, iż godność nasza została w taki sposób upośledzoną; tudzież abyś wasza król. mość zachęcić chciał nadal panującego Papieża do większéj niż dotąd uwagi na naszą osobę i błagania. Obowiązujemy się zaś z naszéj strony niczego nie opuszczać, skoro chodzić będzie o waszéj król. mci dostojeństwo, więc wszelkim usług rodzajem wywzajemnić się za tę osobliwą ku nam waszéj król. mci przychylność. Życzymy tym czasem waszéj król. mci jak najlepszego zdrowia i jak najpomyślniejszego we wszystkich sprawach skutku. Dan w Warszawie dnia 23go kwietnia roku pańskiego 1624, królestwa naszego 28go, a szwedzkiego 29go roku.

Waszéj król. Mci

Powolny brat

Zygmunt król.

II.

Do kardynała Carafa.

(Z własnoręcznego oryginału).

(TEKST).

Sigismundus III Dei gratia Rex Poloniae et Despota Sueciae, Magnus Dux Lithuanie, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniae, etc., Reverendissimo in Christo Patri Domino Antonio Carafae Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinali, etc., amico nostro charissimo salutem et omne bonum. Reverendissime in Christo Pater, amice noster charissime, cum pro nostra erga Sanctissimum Dominum Nostrum et Sanctam sedem Apostolicam observantia venerabilem Stanislaum Boscium Abbatem Andrejovienşem et Sanctae Sedis Apostolicae Referendarium, Secretarium nostrum, ad Sanctissimum Dominum Nostrum mitteremus, eidem ut Paternitatem quoque Vestram tanquam primarium Ecclesiae catholicae senatorem salutaret, nostramque illi benevolentiam ac studium deferat, mandavimus; ab illa amice postulamus ut et Rescium libenter audiat, et si quibus in rebus ad nos regnumque nostrum pertinentibus, autoritate, studio, opera ipsius eguerit, ut nostra causa deesse ea illi non patiatur, nos vero inter eos principes habeat, qui cum Ecclesiae catholicae observantissimi, tum peculiariter Paternitatis Vestrae amantissimi sint, cui prosperam valetudinem a Deo Optimo Maximo precamur. Cracovia, die XXIII mensis januarii anno Domini Mo Do LXXXVIII Regni nostri anno primo.

Sigismundus Rex.

(L. S.)

(PRZEKŁAD).

Zygmunt III z Bożéj łaski król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki inflancki itd. Przewielebnemu w Chrystusie ojcu panu Antoniemu Carafa, świętego kościoła rzymskiego kardynałowi, itd. przyjacielowi naszemu najmilszemu, pozdrowienie i wszelkie pomyślności. Przewielebny w Chrystusie ojcze, przyjacielu nasz najmilszy! W skutek więc naszéj dla Ojca Świętego i Świętéj Stolicy Apostolskiéj wielebnego Stanisława Reszkę opata jędrzejowskiego, referendarza apostolskiego, a sekretarza naszego, wyprawiając do Jego Świątobliwości, poleciliśmy temuż, aby także Ojcostwo Wasze jako najstarszego w Kościele katolickim senatora pozdrowił, i przychylność mu naszą a gotowość oświadczył. Jakoż Ojcostwa Waszego prosiemy nawzajem, ażebyś Reszkę chciał łaskawie wysłuchać, a jeśliby w rzeczy jakiéj do nas i do królestwa się naszego ściągającéj, powagi, starania i przyczyny Jego potrzebował, przez wzgląd dla nas nie dopuścił, by mu na takowych zbywało; nas zaś samych ażebyś do tych książąt policzył, co najposłuszniejszymi będąc Kościołowi katolickiemu, Ojcostwo Wasze w znakomity sposób miłują; któremu dobrego zdrowia życzymy od Najwyższego. Dan w Krakowie d. 23 stycznia r. p. 1588. panowania naszego roku pierwszego.

Zygmunt król.

(M. P.)

WSPOMNIENIA

MOJE WOJSKOWE.

z kampanii 1812 i 1813 roku.

Przybywszy do Warszawy w czerwcu 1812 r. w celu udania się za wielką armią Napoleona Igo, i wstąpienia do wojska polskiego z powodu rozpoczętéj wojny, zatrzymałem się w Warszawie z rady księcia feldmarszałka Adama Czartoryskiego, który wówczas był marszałkiem konfederacyi. Zacny ten pan polubił mnie gdym przebywał często w domu jego w Sieniawie, kształcąc się wraz z kilkoma z naszéj ówczesnéj młodzieży w jego pełnych prawdziwéj oświaty salonach. Gdy mu oświadczyłem, że chcę służyć w wojsku, kazał zawołać p. Tarhalskiego plenipotenta swego, i rzekł doń te dobrze mi pamiętne słowa: „Tarhalsiu, umieścić wygodnie p. Józefa w mym domu, a ja mu tymczasem wynajdę stósowną rangę w wojsku, jako wnukowi mego dobrego i dawnego przyjaciela“. Nazywał mnie wnukiem swego

przyjaciela, gdyż jak mi to często powtarzał, ojciec mojéj matki kasztelan sanocki Antoni Bukowski, mężnie go bo aż karabellą na burzliwym sejmie obronił.

Po kilku dniach pobytu mego, powiedział mi książę przy obiedzie: „No, panie Józefie, jutro o godzinie 11éj zrana pojedziemy do jenerała Konopki; spodziewam się, że ci da stopień porucznika, w pułku gwardyi cesarskiéj, który formuje — czy przystaniesz na to?“ Uradowany, poskoczyłem ucałować ręce księcia za tę prawdziwie ojcowską opiekę jego nademną. Nazajutrz po śniadaniu wziął mnie książę z sobą do karety, i z wszelką okazałością odpowiednią jego wysokiéj randze i godności, zajechaliśmy na dziedziniec dużego hotelu Rosengarta. Jenerał Konopka ujrzawszy przez otwarte okna mieszkania swego, które zajmował na dole w hotelu, że do niego książę jenerał zajechał, wybiegł aż na dziedziniec wraz z innymi oficerami, aby go przyjąć stósownie. Gdyśmy weszli do pokoju, książę po uprzejmem powitaniu odezwał się: „Przyjechałem do pana jenerała, aby mu przedstawić p. Józefa Gorajskiego, wnuka mego wielce ukochanego przyjaciela, a zarazem zdolnego młodzieńca, który lat kilka był w szkole inżynierów w Wiedniu, i miał już rangę oficera. Znam go bardzo dobrze, bo od parę lat często w moim domu przebywał. Ma on ochotę służyć krajowi, niemógłbym go przeto lepiéj umieścić, jak pod wodzą rodaka tak słynnego jak p. jenerał.“

Jenerał Konopka podziękował księciu za zaszczytną opinią, którą mu w tak ujmujący sposób wyraził, a mnie prosił, abym w ciągu dnia jeszcze przyszedł do niego. Gdym późniéj nadszedł, wypytywał mnie jenerał o różne szczegóły dotyczące mojéj osoby, chociaż jak mi potem oświadczył już był bardzo dobrze o mnie uprzedzony przez księcia Pawła Sapiehę, i p. Franciszka Łubieńskiego. Zapytał mnie w końcu czy mam z sobą dosta-

teczny fundusz na ekwipowanie. Gdy mu powiedziałem, że mam z sobą kilka pięknych koni wierzchowych i 1000 dukatów gotowizną, oświadczył mi że od dziś dnia jestem porucznikiem 1széj klasy, że mam odłożyć 300 dukatów na ekwipowanie, i codziennie rano u niego się meldować. Poszedłem podziękować księciu za wszystkie łaski, nająłem stancyę blisko jenerała, i robiłem wszystko co mi tenże rozkazał.

Służba była różna, w koszarach, przy mustrze, ale najwięcéj mnie jenerał przy sztabie zatrudniał. Mając już gotowe mundury, bywałem z jenerałem u księcia na fetach i obiadach, równie jak u ambasadora księdza Pradt, któremu ze sztabem jenerała prezentowany byłem; a będąc dobrym jeźdzcem, występowałem już przy każdéj sposobności, w świeżym mundurze na arabskiéj klaczy „Alinie“ odznaczającéj się rzadką swą pięknością pomiędzy oficerskiemi końmi.

Gdyśmy się już po części uformowali, wyruszyliśmy w wrześniu we 2 szwadrony czyli 4 kompanie niekompletne, ku wielkiéj armiii, a w Słonimie, gdzie był nasz zakład, mieliśmy się dokompletować. Pierwszym szwadronem dowodził szef Adam Bierzyński, drugim szef Adam Sółtan — znany już pierwéj jako bardzo zdolny i urodziwy oficer z pułku artyleryi konnej Włodzimierza Potockiego. Dowództwo kompanii 1széj w szwadronie 1szym zdano mnie, w zastępstwie kapitana Giełguda, którego aż do końca niebyło w pułku, gdyż tymczasem został w Wilnie pułkownikiem piechoty. Porucznikami w naszéj kompanii byli: Trzciński i M. Mycielski, przybyły prosto z Berlina, a w późniejszych czasach znany z dzielności jenerał. Mówił on wtenczas bardzo z niemiecka po polsku, i nieraz nocując razem naśmiałem się niemało, (w zażyłości przyjacielskiéj gdyż w dobrych byliśmy z sobą stosunkach), gdy rano wołał na swego kamerdynera aby mu podał: *chustkù karego i westu si-*

wego. — Wymaszerowawszy z Warszawy dogoniłem pułk dopiero w Pułtusku. — Spóźniłem się był nieco, a gdy porucznik Stamirowski niewiem z jakiéj przyczyny o tem powiedział szefowi Sołtanowi, przysłał tenże do mnie po pałasz, lecz w kilka godzin gdy mu się wytłumaczyłem kazał mi go oddać.

Dalszych etapów w porządku nie pamiętam, bo nigdy żadnych notat nierobiłem; i dopiero w 47 lat późniéj, z pamięci wszystko to piszę. Pamiętam tylko żeśmy szli na Białystok, Grodno, a potem zboczyliśmy do Słonima, gdzie był nasz zakład do skompletowania dwóch szwadronów; podczas marszu zaś codziennie wprawiali nas do musztry. Przyszedłszy do Słonima, było nas ile pamiętam kilkunastu oficerów jako to: jenerał Konopka, pułkownik Chluszewicz; podpułkownicy: Adam Bierzyński i Adam Sołtan; kapitanowie: Łopot, Tyszkiewicz, Roniker; porucznicy: ja, Trzciński, Mycielski, książę Antoni Jabłonowski, Wiktor Lenkiewicz, Stamirowski, Feliks Boznański i kilku młodych Litwinów, oraz kilku podoficerów, bardzo przyzwoitych młodzieńców, jak książę Woroniecki, Skarbek, Koncewicz. Tam codzień byliśmy zatrudnieni musztrą i dokompletowaniem 4ch kompanij. Wieczorami bywaliśmy czasem na herbacie u jenerała, który miał ładną żonę Włoszkę. Zjeżdżała tam zazwyczaj i cała jego familia mieszkająca w okolicy Słonima, niemniéj sławna pięknością siostra jenerała Konopki, jenerałowa Bezobrazoff, późniéj żona p. Tatiszczewa ambasadora w Wiedniu. Była także z nami jenerałowa Dąbrowska z domu Chłapowska, która do swego męża sławnego jenerała Dąbrowskiego jechała.

Zatrudnieni formowaniem się w Słonimie przez dni kilkanaście, nagle dowiedzieliśmy się w d. 17 października, że Rosyanie na drodze od Pińska niedaleko nas się znajdują. — Jenerał zaraz posłał na zwiady, poczem zameldowano mu, że tylko jeden pułk Kozacki ku Sło-

nimowi się zbliża — a chociaż książe Schwarzenberg z korpusem austryackim na drodze do Wilna o parę mil tylko stał od nas, a więc nas zasłaniał, jednakowoż Jenerał kazał w dniu 18. października obydwom szwadronom wystąpić, i przemówił do nas temi słowy: „Dzieci, dziś lub jutro, możemy się spotkać z całym pułkiem Kozaków. Macież ochotę, chociaż bez dostarczającéj broni i amunicyi, i mniéj o połowę liczni, ale o wiele śmielsi, spotkać się z tym pułkiem i pokonać go, aby Cesarzowi, i naszym starszym braciom gwardyi dowieść, żeśmy godni być ich kolegiami? — Naturalnie krzyknęliśmy wszyscy: „*Vive l' Empereur! vive la Garde!*" Jenerał kazał nam się rozjechać, upominając, aby być w pogotowiu na każdy appel na koń, gdyż to już będzie chwila spotkania się z nieprzyjacielem. — Sam zaś dawał dyspozycye przez cały dzień wysyłając kobiety, sztab, i cały zakład jeszcze tego dnia ku Wilnu. My zaś oficerowie, konie nasze i bagaże, dopiero po 5téj zrana 19 października za sztabem odesłaliśmy — sami zaś 19go byliśmy od 5téj zrana uformowani szwadronami, i gotowi do boju.

Jenerał posłał porucznika Księcia Antoniego Jabłonowskiego z kilku ludźmi na drogę ku nieprzyjacielowi, aby nam zaraz dał znać co się dzieje. — Jabłonowski nie wrócił już, będąc otoczony i do niewoli wzięty, i dopiero koło 7méj zrana zobaczyliśmy, iż mnóstwo Kozaków ku nam nadciąga. — Natenczas kazał Jenerał pułkownikowi Sołtanowi z jego szwadronem 2gim kłusem naprzeciwko nich wyruszyć. — Kozacy zaczęli się zrazu cofać aż do najbliższéj wsi; za wsią jednak nawrócili, i poparci przez znaczny oddział huzarów, uderzyli na nasz drugi szwadron, który w porządku odwrot rozpocząć musiał. — W tym nadbiega oficer z rozkazem Jenerała, aby, gdy 2gi szwadron będzie ścigany aż do grobli, która prowadzi na most przez rzekę Szczarę,

nasz 1szy szwadron Pułkownika Bierzyńskiego czekający koło grobli, rzucił się w okamnieniu na huzarów; co się też istotnie stało. — Zrobiliśmy bardzo żwawą i skuteczną szarżę na trzy razy liczniejszego nieprzyjaciela, ścigaliśmy go znowu aż pod te wsie, gdzie się huzary zatrzymali, i w końcu rozsypani zaczęliśmy się już na białą broń ścierać. Tymczasem znowu 2gi szwadron się sformował, i szedł nam w pomoc, a tak razem, chociaż nieprzyjaciel jeszcze trzy razy był silniejszy, byliśmy pewni zwycięztwa. Zaczęto się przed nami cofać; gdy nagle pod wsią drugi pułk Pawłohrackich huzarów, i chmura Kozaków z boku nas zaattakowała, a nawet piechota i armatki się pokazały. — Był to już korpus Jenerała Czaplica, który nas otaczał.— (Jenerał Czaplic z którym 1818 r. w Paryżu się poznałem, sam mi o tem mowił). Wtenczas cofaliśmy się już w największym galopie, aż do grobli; tam widząc że już nieprzyjaciel z prawego boku grobli do mostu na Szczarze się dostaje, skoczyło nas kilku z lewéj strony w rzekę. Co się z tamtymi stało niewiem, ja tylko czułem żem się zanurzył tak głęboko, że mi aż czapka spadła, dosiedziałem jednak na koniu, i nietraciłem nadziei (westchnąwszy do Matki Boskiéj Częstochowskiéj, którą miałem na piersiach, a którą mi 80letnia matka mego ekonoma Dobrowolskiego z błogosławieństwem dała, gdym szedł na wojnę, i którą chowam dotychczas) — a nadzwyczajna dzielność mego kasztana, którego parą dniami wprzód od Trzcińskiego za 100 dukatów kupiłem, dopomogła mi szczęśliwie przepłynąć, i na brzeg wyskoczyć, lecz już Kozacy most minęli.

Widząc to, dałem ostrogę koniowi, a mój dzielny kasztan dogonił jeszcze kilkudziesięciu naszych. Tąk biegliśmy z pół godziny, gdy pędząc przez las mój kasztan pada, i ja z nim. Koledzy widząc mnie padającego myśleli żem zabity, a gdym przybył do Wilna,

moi ludzie Jan Rogowski, i Bartłomiéj Twaróg mój masztalerz mieli już paszporta jako po zabitym oficerze. Ujrzawszy się w rowie bez szwanku, lecz ogromnie strudzony, przesiąknięty i ciężki od wody, wsunąłem się w gęste krzaki może o 50 kroków koło drogi. Tam słyszałem strzelanie, hukanie i różne krzyki Kozaków i w końcu z wyczerpania sił zasnąłem. Musiałem spać kilka godzin. Obudziwszy się nieśmiałem wyjść, chociaż już było cicho. — Ale gdy mnie zaczęło przejmować zimno w mokrym mundurze i obawa by przy zapadającéj nocy niespotkać się z jakim drapieżnym zwierzem, wyszedłem z krzaków aby znaleść schronienie.

Błąkając się tak przeszło godzinę, zobaczyłem chłopa z furką chrustu, odezwałem się do niego, i poznałem że to było bardzo dobre człeczysko. Powiedział że jedzie do wsi Harabaszowice, należącéj do grafa Tymana.— Słyszałem już był o tym grafie mieszkającym blisko Słonima, którego syn był wówczas pułkownikiem rosyjskim. Powiedziałem więc chłopu, żeby mnie zawiózł do dworu, gdzie dobrze jestem znajomy, i że mu tam przyjechawszy za to dobrze wynadgrodzę.— On mi na to odpowiedział: „Dobrze, bo to pan widzę z tych ślicznych ułanów, co to w mieście stali, i dziś się bili z Moskalami. — Niech się pan położy na furę, ja pana gałęziami przykryję, bo jakby zobaczyli, to by pana zabrali — tu do wsi niedaleko“. — Cóż było robić? usłuchałem bo nie było wyboru, tem bardziéj, że ten podeszły już człowiek miał bardzo poczciwą minę. Było już ciemno, więc podniósł trochę gałęzi, i ukrył mnie na furze. Niedaleko spotkaliśmy kilku Kozaków pijanych, którzy śpiewając, i gwizdżąc daléj jechali, bo to już było blisko wsi, znanego im grafa Tymana. — Świeciło się już we dworze gdyśmy szczęśliwie podjechali. — W sieniach gdy służący wyszedł, zameldowałem się jako oficer z gwardyi. — Przez pół godziny

wysyłano do sieni wypytywać się o różne szczegóły, osobliwie jak się nazywam. Naraz wyszła pani domu i jéj dwie córki, zapraszając mnie jak najgrzeczniéj do pokoju i prowadząc do słabego swego kuzyna leżącego w łóżku. Był to wachmistrz z mojéj kompanii Koncewicz, który w odwrocie do nich się dostał.— Gdy mnie zobaczył zawołał „To mój Kapitan!“ i wtenczas państwo grafostwo dali mi zaraz wszelkie wygody.

Nim się roztasowałem, dałem poczciwemu chłopku dukata, miałem bowiem zaszyte w pasku skórżanym na gołem ciele przeszło 200 dukatów.— Sypiałem z starym grafem, bawiłem pod ich opieką dni kilka — było nam nawet wesoło, bo państwo Tymanowie bardzo grzeczni i ich dwie córki bardzo były przyjemne. Jednéj na imie pamiętam było Izabela, drugiéj podobno Marya.— Obydwie grały ładnie na fortepianie, a więc wśród tańca i muzyki, czas mile nam przechodził. Państwo Tymanowie byli bardzo pięknéj familii, i jak mi sami mówili, spokrewnieni z domem Czartoryskich.— W roku 1815 gdy korpus Langerona przechodził przez Galicyę na wojnę przeciw Francyi, po wylądowaniu cesarza Napoleona z Elby, poznałem się przypadkiem z Jenerałem Tymanem na obiedzie w Dębicy u księżnéj Radziwiłłowéj, gdzie byłem z wujem moim Kajetanem Reyem. — Gdy się go zapytałem, czy jest może synem grafa Tymana, mającego dobra pod Słonimem, u którego ja tak uprzejmie byłem przyjęty, odpowiedział, że tak jest i przypominał mi prawie z najdrobniejszemi szczegółami cały mój w domu ich pobyt. Bardzo był kontent, że się ze mną spotkał, gdyż jak mi mówił, często w ich domu o mnie wspominano.

Wracając do mych dalszych wspomnień tego szanownego przytułku, dodaję jeszcze, że gdy się komunikacya z Wilnem trochę ułatwiła, dziękując gospodarstwu za ich wszelkie grzeczności, wybierałem się do armii. Sza-

nowna pani domu tak była łaskawa, że mnie sama obiecała w swéj karecie przewieść o kilka mil przez miejsca, w których się jeszcze Rosyanie kręcili. Jako matkę jenerała wszędzie ją znano i szanowano, więc podobno 26go października kazała zaprządz 4 konie do karety, i zawiozła mnie o mil kilka do Wgo Zielińskiego, chorążego, bardzo godnego i poważanego tam więkowego obywatela, który nas uraczył najgrzeczniéj, i mnie zaraz po obiedzie swoim wiernym człowiekiem już niedaleko od Niemna do Lidy odesłał. Tam już francuzkie wojska stały — a więc zaraz jako oficera gwardyi pocztą do Wilna mnie dostawili.

W Wilnie zastałem zakład z 1go pułku naszego gwardyi, pod dowództwem podpułkownika Piotra Krasińskiego — zaś późniéj w Trokach pod Wilnem był zakład z 3go pułku naszego gwardyi pod pułkownikiem Tańskim, który na komendanta pułku był przysłany, dokąd także i nowi oficerowie z 1go pułku byli komenderowani, jako to: Szef szwadronu Ambroży Skarzyński, porucznik 1éj klasy, Julian Krasiński i t. d.

Gdy się u gubernatora miasta Wilna zameldowałem, i uczyniłem opis ustny całéj sprawy słonimskiej, kazano mi zaraz iść do księcia Bassano ministra, aby zdać dokładną relacyę o pobycie w Słonimie i spotkaniu się z nieprzyjacielem. Wpuszczono mnie zaraz do ministra, chociaż dużo osób czekało. Minister rzekł do mnie bardzo grzecznie te słowa: *Etes vous l' Officier de la garde Imperiale qui a été à l' affaire de Słonim, où a été fait prisonnier le general Konopka et son Etat Major?* *). Gdym mu odpowiedział: *Oui mon Prince* **), oświad-

*) Czy pan jesteś oficerem z gwardyi cesarskiéj, która znajdowała się w utarczce pod Słonimem, a w któréj jen. Konopka i sztab jego główny dostał się do niewoli.

**) Tak jest książę.

czył: *Comme je suis très occupé dans ce moment, je vous prie de venir à une heure dejeuner avec moi, alors nous aurons plus de temps de causer* *).

Przyszedłszy tedy o godzinie 1széj zastałem ministra już w pokoju, gdzie był mały okrągły stolik na trzy osoby nakryty. Złożyłem mu relacyą wierną nietylko o téj sprawie, lecz i o całym naszym pobycie w Słonimie, bo tego żądał. Uniewinniłem jenerała Konopkę, na którego nagadano, jakoby tylko dla bawienia się z swoją familią w Słonimie przebywał. Przyniesiono wreszcie śniadanie. Minister usiadłszy w środku, kazał mi usiąść koło siebie z jednéj strony, a z drugiéj zajął miejsce jego sekretarz p. Monsieur, z którym późniéj 1813 r. żyłem bliżéj w Krakowie, gdzie jako 1szy sekretarz przy ministrze Bignon trzy miesiące bawił. Książę wypytywał mnie podczas krótkiego ale wybornego śniadania, o różne jeszcze szczegóły, a po śniadaniu rzekł pokazując mi stolik z przyrządzeniem do pisania: *Vous aurez la bonté de m' écrire une petite relation touchant, l'affaire dont nous avons parlé, tout simplement comme une narration, et j' en ferai faire un extrait pour l' envoyer à S. M. l' Empereur* **). Siadłem więc i napisałem to samo com mu ustnie opowiadał. Książę przeglądnął pismo, powiedział mi: *Bien, bien, c' est tout ce que je voulais* ***) i prosił mnie zaraz na bal, który miał być za parę dni u niego — gdzie razem z Piotrem Krasińskim byliśmy.

---

*) Będąc w téj chwili bardzo zajętym, proszę pana do siebie o godzinie 1éj na śniadanie, znajdziemy więcéj czasu do pogadania.

**) Zechciéj pan zrobić mi mały opis o bitwie, o któréj właśnie mówiliśmy, po prostu niech będzie jak opowiadanie; każę zrobić z niego wyciąg i poślę go Cesarzowi.

***) Dobrze, tego właśnie chciałem.

Nazajutrz odebrałem rozkaz, że tymczasowo zostanę przy sztabie gubernatora Litwy hr. jenerała Hogendorp, a służbę zacząłem robić u gubernatora departamentu wileńskiego jenerała Godard; jednakowoż mając piękne konie, najwięcéj musiałem jeździć z hr. Hogendorp, osobliwie gdy ten wraz z marszałkiem Victor księciem Belluno objeżdżali fortyfikacye i wojska obozujące koło miasta. W wolnych godzinach od służby uczęszczałem do kilku domów znajomych, bywałem także u naszych dwóch jenerałowych ze Słonima. Zaraz po napisaniu raportu u ministra księcia Bassano, odebrałem rozkaz z dnia 1go listopada 1812 r. pisany i podpisany przez jenerała Stefana hr. Grabowskiego, abym zaraz zrobił duplikat raportu o potyczce słonimskiéj, a to tem nagléj, że dziś jeszcze przed 4tą godziną ma go kuryer do kwatery cesarskiéj zawieść. Siadłem więc razem i com pamiętał, napisałem.

Formował podówczas w Wilnie pułk szaserów konnych świeżo zamianowany pułkownik Moniuszko, gdzie został Ignacy Abramowicz majorem, ten sam co teraz jest jenerałem w Warszawie. W tym pułku ofiarowano mi stopień podpułkownika (*Chef d' Escadron*). Rangę tę przyjąłem; wydawanie nominacyj zależało od gubernatora Litwy jenerała Hogendorp, w którego sztabie byłem, i które mi w właściwym czasie obiecał wydać. Kupiłem był już sukna pomarańczowego na wyłogi, gdy nagle pan Abramowicz brat starszy Ignacego przez protekcye księcia Bassano ministra, dostał pozwolenie formowania pułku litewskiej gwardyi huzarów. Czynił on wybór pomiędzy znajomymi mu oficerami, a wybór ten padł i na mnie. Proponował mi tę samą rangę co i Moniuszko; wolałem więc naturalnie być szefem szwadronu w gwardyi jak w pułku liniowym, tymczasem, *j' ai laché la cotelette pour l' ombre* *), bo do pułku Moniuszki był-

*) **Wziąłem wróbla za kanarka.**

bym był dostał nominacyę zaraz w Wilnie od hr. Hogendorp — a do gwardyi dopiero podanych oficerów, sam Cesarz miał potwierdzić. Expedycya ta zastała już Cesarza cofającego się z Moskwy, kazano więc przybycia jego w Wilnie oczekiwać.

Koło 16go listopada dostałem nerwowéj febry, zapewne z owego zamaczania się przepływając rzekę Szczarę pod Słonimem. Leczył mnie najiepszy lekarz w Wilnie Dr Śniadecki, brat sławnego astronoma krakowskiego, którego znałem dobrze będąc w szkołach krakowskich. Tenże szanowny mąż wyleczył mnie w kilkunastu dniach, ale wyszedłszy jeszcze osłabiony, dowiedziałem się, że już Cesarz przejeżdżał, i wszystko Wilno opuszcza. Niemogłem się już dowiedzieć co się z naszymi projektami nowych pułków stało — i niepozostało mi nic innego, jak tylko zameldować się pułkownikowi Tańskiemu, jako dowódzcy tymczasowemu 3go pułku gwardyi. Ztąd udałem się do Troków, gdy się Kozacy pokazywali pod Wilnem. W Trokach dostaliśmy rozkaz cofania się ku Gdańsku lub Elblągowi. W Gumbinen dowódzca pułku oświadczył mi, iż marszałek Bessière książę Istryi, jako pułkownik i komendant wszystkich gwardyj, przeznaczył mnie do Warszawy dla zaciągania (*enroler*) młodzieży do naszego pułku. Bardzo byłem rad z tego przeznaczenia, miałem bowiem dosyć pieniędzy, przedawszy temuż marszałkowi sławną klacz skarogniadą za 300 dukatów. Targowano ją u mnie już od dni kilku dla niego, lecz tak była piękna i dzielna że żal mi było jéj pozbyć, i tylko dla tego się na to zdecydowałem, że w Gumbinach moje konie razem z końmi Juliana Krasińskiego przy jednym wozie przywiązane nocować musiały — a zrana dowiedziałem się że jeden koń Krasińskiego był nosaty.

Jechałem jeszcze parę stacyj z pułkownikiem Tańskim, i dopiero w Nordenbergu 18go grudnia 1812 r. dosta-

łem w imieniu marszałka rozkaz od komendanta pułku jechania do Warszawy, a cały oddział poszedł do Elbląga. Przyjechawszy do Warszawy po 20m grudnia, i zameldowawszy się szefowi szwadronu z naszego pułku Ambrożemu Skarzyńskiemu, objąłem przeznaczony mi obowiązek, a żeśmy w Warszawie tylko tymczasowo byli, bo co moment słychać było że Rosyanie wejdą, więc różnych mieliśmy komendantów — także i księcia Dominika Radziwiłła, którego kochaliśmy bardzo. On to dawał mi rozkazy tyczące się zaciągania młodzieży do gwardyi.

W dniu 1go stycznia 1813 r. książę Józef Poniatowski naczelny wódz, wybrał nas z księciem Wincentym Worонieckim również z gwardyi, abyśmy w jego świcie z powinszowaniem nowego roku u księcia feldmarszałka Schwarzenberga byli. Od tego czasu kazano mi jako znającemu obce języki, dla różnych ułatwień meldować się często u księcia feldmarszałka. Tam zastałem kilku oficerów z Wiednia, między innymi Władysława, czyli tak nazwanego Hampusia Krasickiego, brata Karola.

W pierwszéj połowie stycznia 1813 r. dostałem urlop na dni 14 dla załatwienia interesów w moim majątku, z rozkazem wrócenia do Krakowa, gdzie nasze oddziały z Warszawy, Kalisza etc miały się skoncentrować. Poułatwiawszy w domu co było można, przyjechałem ku końcu stycznia do Krakowa, gdzie zastałem pułkownika Kozietulskiego, kapitana Tedwena, dwóch Jordanów Hermelausa i Wincentego, Trzcińskiego, Rostworowskiego, i innych jeszcze oficerów z gwardyi, których nazwisk niepamiętam. W Krakowie był cały korpus księcia Józefa Poniatowskiego z 15.000 wynoszący, oprócz różnych oddziałów armii francuzkiéj, a te wszystkie w tym

punkcie zgromadzone wojska, były pod rozkazami księcia, pod którego władzą z rozkazu Cesarza oddanych zostało i parę set ludzi z naszéj gwardyi, zostających pod dowództwem pułkownika Kozietulskiego. Cały ten korpus kompletował się i nowe pułki formowano, jako to: śliczny pułk Krakusów, którym dowodził Kajetan major Rzuchorski.

Jenerał Umiński chciał mnie mieć koniecznie swoim adjutantem, a ponieważ przez trzechmiesięczny przeciąg pobytu naszego w Krakowie, okazywał mi tenże ciągle swoją przychylność, oraz że był to jenerał od księcia bardzo lubiony, nader czynny jako wojskowy i niezmiernie waleczny, widząc niemniéj, że przy tak zdolnym jenerale będzie wiele sposobności odznaczenia się w nadchodzącéj kampanii, a zarazem mając i od jenerała dużo widoków obiecanych, zdecydowałem się zostać jego 1m adjutantem. Książę Józef wiedział już od samego jenerała Umińskiego, że sobie życzy mieć mnie przy sobie, zamianował mnie przeto kapitanem 1széj klasy w sztabie adjutantów, co świadczy nominacya którą otrzymałem, datowana w przechodzie naszym przez Austryę w Austerlitz dnia 28go maja 1813 roku. Późniéj został 2gim adjutantem Edward Potworowski, bardzo dzielny i piękny oficer.

Wyszło tedy z Krakowa na początku maja 1813 r. całe wojsko naczelnie dowodzone przez księcia Józefa Poniatowskiego, w celu połączenia się w Saksonii z wielką armią Cesarza. Wyruszyliśmy 5cią kolumnami, a każda kolumna prowadzona była przez wyższego jenerała takim porządkiem, iż kolumna jedna od drugiéj była jednym marszem, czyli jednym dniem oddalona. Szliśmy traktem dużym pocztowym na Białą, Weiskirchen, Austerlitz, Berno, koło Ołomuńca i Pragi do Saksonii aż do Zittau. My należeliśmy do kolumny 5éj prowadzonéj przez księcia Antoniego Sułkowskiego jenerała

dywizyi. Był to bardzo młody jenerał, bo jak mi sam mówił dopiero 27 lat liczył — ale należał do rzędu najdzielniejszych, najgrzeczniejszych i najwaleczniejszych oficerów polskich. Piękna jego powierzchowność równała się jego grzeczności. Codziennie jenerał Umiński i cały nasz sztab byliśmy z księciem. Szefem sztabu jego był podpułkownik Zabiełło, adjutantem Zbijewski; obydwa bardzo znakomici oficerowie.

Muszę tu wspomnieć o jednem zdarzeniu w naszym przechodzie przez Austryę, które mogło mieć bardzo smutny koniec, lecz szczęściem przez rozumnego i sprawiedliwego Cesarza Franciszka odwrócone zostało. Gdy całe wojsko przeszło już granice Polski i kolumna nasza stanęła w Friedku, odebrał książę Poniatowski zawiadomienie, aby się wszystkie kolumny zatrzymały w miejscu gdzie się która znajduje, i aby całe wojsko wyjąwszy oficerów szło bez broni. Broń miała być złożona w paki i wieziona przy korpusie austryackim, który za nami pod wodzą jenerała hr. Frimont postępował, — i jak nam oświadczono dopiero na granicy Saksonii miała nam być oddaną. Okoliczność tą dotknęła nas boleśnie, gdyż przy zezwoleniu przechodu naszego przez Austryę, wzmianki o tym nie było. Thiers wspominając o tem w 15ym tomie pag. 353, przyjmuje dość spokojnie explikacye rozbrojenia tego naszego korpusu, lecz zarazem z uniesieniem mówi: *Restait un bataillon français, hé bien, quant à celui-là on comprenait sa susceptibilité justifiee par tant d' exploits* *). Aleź przemądry historyku! *Est-ce que la susceptibilité des Polonais n' etait pas asser justifiee par tant d' exploit's heroiques* **). Wojsko oświadczyło się

---

*) **Pozostawał batalion francuzki, do którego draźliwość pojąć było można, usprawiedliwioną tylu czynami rycerskiemi.**

) **Czyż draźliwość Polaków niebyła dość usprawiedliwioną tylu czynami rycerskiemi?

zaraz, że broni nie odda, i raczéj przebijać się będzie, niż na tę zniewagę zezwoli. Niewiem dotychczas zkąd taka propozycya przyszła, to tylko pamiętam, żeśmy blisko dwa tygodnie na miejscu stali, gotowi w każdéj chwili przebić się przez Kozel do Wrocławia — lecz książę Józef posłał jenerała Rożnieckiego i jenerała Rautenstraucha do Wiednia, a po kilku wzajemnych traktowaniach i korespondencyach, Cesarz Franciszek zezwolił, abyśmy szli z bronią tak jakeśmy z Krakowa wyszli, a więc nie tak jak Thiers pisze w tomie 15tym pag. 335 z uchybieniem dla nas: *Que le désarmement des Polonais avait indigné Napoleon, et il avait expedié un courrier à Cracovie? Vous vous tromper Monsieur Thiers, car naturellement ce jour là nous avons été en Silesie, et les Russes étaient déja à Cracovie, ainsi Napoleon ne pouvait pas envoyer un Courrier à Cracovie, pour enjoindre au Prince Poniatowski, comme Vous dites, de ne pas se laisser desarmer à aucun prix etc. etc. de périr plutot que de remettre ses armes, ajoutant avec une vehémence et une grandeur de langage qui n' appartenait qu' à lui: L' Empereur ne tient nullement conserver des hommes qui se seraient deshonorés. Vous vous tromper encore Monsieur l' Historieu! et vous manquer à la gloire de Napoleon, car jamais l' Empereur n' aurait pû dire une absurdité pareille!!!* *).

---

*) Że rozbrojenie Polaków obraziło Napoleona i że wysłał kuryera do Krakowa. Mylisz się p. Thiers, gdyż w dniu tym byliśmy już w Szląsku, a Rosyanie w Krakowie, niemógł więc Napoleon wysyłać kuryera do Krakowa, polecając księciu Poniatowskiemu, aby się pod żadnym warunkiem niedał rozbrajać i raczéj zginął niż broń złożył, dodając z zapałem i siłą języka, jemu tylko właściwą: „że Cesarz bynajmniéj niedbał o ocalenie ludzi, którzyby się splamili.“ O jakże się mylisz p. historyku! i ubliżasz sławie Napoleona, który niemógł był wyrzec podobnéj niedorzeczności.

Resztę drogi odbywaliśmy w najlepszéj harmonii z wojskiem austryackiem, tak dalece że książę Józef zrobił wizytę w Bernie arcy-księciu Ferdynandowi d' Este, gdzieśmy dwa dni bawili. Maszerując przyjemną drogą przez Morawę i Czechy, gdzie bardzo nas grzecznie przyjmowano, przybyliśmy koło 10go czerwca do miasta Zittau w Saksonii, gdzieśmy się przez dwa miesiące podczas zawieszenia broni formowali. W téj formacyi korpus księcia Józefa nazwany był korpusem 8mym całéj armii, a razem był sformowany z różnéj konnicy 4ty korpus kawaleryi pod dowództwem jenerała Kelermanna (*Duc de Valmy*), owego sławnego Kellermanna syna, który gdy jenerał Desaix poległ, bitwę pod Marengo gwałtownem natarciem swéj jazdy rozstrzygnął.

Kampania miała się rozpocząć 15go sierpnia przez atak jenerała Umińskiego, który dowodził całą przednią strażą korpusu 8go, a że dzień zaczęcia kampanii 15go sierpnia był dniem imienin Cesarza, w którym miał być bal, więc bal ten był w naszym korpusie 10go sierpnia w Zittau, gdzieśmy się wesoło bawili i cieszyli, że za kilka dni będziemy mieli sposobność odznaczenia się tak jak zawsze.

Dnia 15go sierpnia zrana weszliśmy do małego miasteczka w Czechach Friedland. Nieprzyjaciel cofnął się, przysyłając parlamentarza do jenerała Umińskiego z zapytaniem coby to znaczyło? nie ma on bowiem rozkazów do przedsiębrania kroków nieprzyjacielskich. Jenerał odpowiedział, że otrzymał rozkaz rozpocząć kroki zaczepne.

Nazajutrz postępowaliśmy zwolna daléj ku Reichenbergowi, i tylko małe oddziały jazdy z sobą się ucierały, a dopiero pod Reichenbergiem koło 20go sierpnia cały korpus jenerała Umińskiego miał do czynienia z korpusem jenerała Neuperg (późniéj męża Cesarzowéj Maryi Ludwiki). Reichenberg wzięliśmy, lecz dnia 23go

sierpnia 1813 r. o 3ciéj godzinie z rana przeszły z naszéj przedniéj straży do nieprzyjaciela dwa pułki westfalskich huzarów, będące pod dowództwem pułkownika Hammersteina, co nas postawiło w nader krytycznem położeniu, mieliśmy bowiem tylko szwadron kirasyerów Dziekońskiego, dowodzony przez dzielnego podpułkownika Wołowicza i pułk sławnych Krakusów, również dzielnego Kajetana Rzuchowskiego. Jenerał Umiński wysłał mnie bezzwłocznie *en poste perdu*, dodawszy mi 3ch Krakusów z kompanii księcia Romana Puzyny, do księcia Poniatowskiego do Gabel, aby mu osobiście zaraportować o odstępstwie Westfalczyków, i prosić go o posiłki w jeździe, gdyż inaczéj łatwo możemy być otoczeni. Gdym dotarł do kwatery księcia Józefa, powiedział mi tenże: „jazdy udzielić wam niemogę, bo sam mam jéj mało, gdyż właśnie posłałem spory oddział z rozkazu Cesarza jenerałowi Lauriston, ale wam dam dzielny batalion woltyżerów, dowodzony przez bardzo zdolnego dowódzcę podpułkownika Rybińskiego.

Tak tedy wzmocnieni tym w saméj rzeczy bardzo dzielnym batalionem, biliśmy się, a zawsze w przedniéj straży, wykonywując bardzo często różne rozkazy, które czasem i od samego Cesarza pochodziły, i wszędzie choćiaż nad nasze siły, ale z dobrym skutkiem, jako to: pod Friedland, Reichenberg, Herrnhut, Stolpen, Bauzen, Rumburg, Pirna, Altenburg, Borna, Wurzen itd.

Przez blisko dwa miesiące w marszach i przeciw-marszach, spotykaliśmy się z różnymi nieprzyjaciołmi, a wszędzie trzeba się było mniéj więcéj z nimi rozprawiać, aż w październiku słychać było że się koło Lipska na wielką rozstrzygającą bitwę zanosi. Między tyloma utarczkami któreśmy odbyli, muszę wspomnieć jednę okoliczność, która mnie dotyczy. Dochodząc do Lipska, niepamiętam już dobrze nazwiska miejsca, bo jak wspomniałem wyżéj, że nie z notat tylko z pamięci

co się działo przed 47mią laty, piszę — a więc o parę mil od Lipska koło Borna, zastaliśmy w dużym zamku króla neapolitańskiego z całym sztabem jego korpusu jazdy, który 10go października pokonawszy Wittgensteina już naprzód ku Lipskowi wysłał. W chwili gdy jenerał Umiński z swoją komendą przez to miejsce przechodził, dano znać że znaczny oddział piechoty nieprzyjacielskiéj się zbliża. Król posłał do jenerała aby się zatrzymał, i spędził nieprzyjaciela, a że z boku koło drogi był las, więc jenerał piechocie swéj kazał wejść do lasu, aby nieprzyjaciela niepokoić, co się też przez parę godzin udawało. Lecz gdy nieprzyjaciel poznał, że nasza piechota nieliczna, zaczął mocniéj nacierać, tak, że nasi się już z lasu cofać zaczęli. Wtem jenerał jeszcze co mógł z naszych zebrał, nawet i parę dział w assekuracyi posłał, a mnie kazał z całą muzyką iść w las, grać huczno i wesoło, powtarzać różne komendy, często komenderować, aby tym sposobem wprowadzić w błąd nieprzyjaciela że nowy pułk nadciąga. Słysząc to cofająca się nasza piechota, krzyknęła hurra! i naprzód tak pięknie poszła, że Rosyanie myśląc doprawdy że nowe siły nadeszły, pierzchnęli. Krakusy 'nasze stojąc na drodze koło dział, zrobili wówczas szarżę, która się tak powiodła, że nieprzyjaciel pod wieczór już znacznie się cofnął. Tymczasem też nadciągnęła tylna straż króla Murata, skutkiem czego można było bezpiecznie w tem miejscu nocować.

Król żądał aby mu dostawić jakiego oficera z pomiędzy zabranych przez nas nieprzyjacielowi jeńców, więc mnie jenerał posłał do króla z jednym oficerem z piechoty wziętym w tym lasku. Przyjechawszy na dziedziniec, zastałem w zamku wielki obiad, i wszedłszy na 1sze piętro, ujrzałem na lewo w pokoju na dość dużym stole, przy którymby mogło 10 osób siedzieć, trzy tylko nakrycia i siedzącego króla tuż obok niego księcia Jó-

zefa Poniatowskiego, a przy księciu jenerała Rożnieckiego. Gdy wszedłem i stanąłem na środku pokoju, a za mną adjutant królewski i ów wzięty w niewolę oficer, król wstał, a za nim książe i jenerał i przystąpili do mnie. W krótkości zaraportowałem królowi o téj szczęśliwéj potyczce, i przedstawiłem oficera — przysłanego przez jenerała Umińskiego, a gdy książe który stał przy królu, parą słowy mnie i jenerała zalecił — król na to odezwał się do mnie: „*Fort bien, je me ferai un plaisir de vous décorer*“ *). Niewolniką polecił swemu oficerowi służbowemu, a mnie kazał zaprowadzić w podle zaraz do dużéj sali, jarząco oświetlonéj, w któréj najmniéj 60ciu oficerów różnéj rangi jadło obiad, abym się także posilił, odezwawszy się najuprzejmiéj: *Il faut qu' il dine aussi, nous ayant fait tranquillement diner* **). Jak tylko wszedłem do sali, zaraz mnie poznał, i posadził przy sobie adjutant króla saskiego jenerał Błeszyński. — Tam zjadłszy dobry obiad, i wypiwszy butelkę jeszcze lepszego wina, wracałem do mojéj kwatery — a raczéj do kawałka ziemi, i trochę słomy mokréj, na któréj noc koło jenerała, przepędziliśmy idąc daléj ku Lipskowi — w chwili gdyśmy od obiadu wstali, adjutant króla przyszedł do mnie mówiąc: *Capitaine, veuillez bien m' écrire votre nom, aussi bien que celui de votre Général* ***), zapewne dla obiecanego krzyża neapolitańskiego.

Nazajutrz w skutek trudów i leżenia prawie na gołéj ziemi, zasłabłem — a będąc przez całe dwa miesiące w ciągu téj kampanii prawie codziennie na deszczu, dostałem febry nerwowéj, tak, że musiałem na furgonie

---

*) Bardzo dobrze, miło mi będzie ozdobić pana krzyżem.

**) Niech i on zje obiad, kiedy jemu zawdzięczyć mamy że spokojnie obiadujemy.

***) Kapitanie racz mi napisać nazwisko twoje i twego jenerała.

całą noc jechać, aby sobie trochę wypocząć. Dnia 13go stanęliśmy pod Lipskiem — 14go biła się już cała jazda pod królem Muratem. — W dniu 16tym zaczęła się ta wielka bitwa, która trzy dni trwała. — Ja już 16go pod Wachau gdzie Kellerman szarżował na kirasyerów Lewaszowa, byłem tak słaby, że jenerał Umiński widząc mnie od parę dni bardzo zmienionym, kazał mi się położyć, mówiąc: „Idź, odpocznij, krzyż tyle razy zasłużony dostaniesz, więc zaszanuj się trochę“.

Muszę tu wspomnieć że 16go pod Lipskiem koło Wachau, gdzie Murat na lewo szarżował 10ma pułkami, a na prawo książe Valmy, (Kellermann) 4tym korpusem jazdy polskiéj, rozbito korpus Lewaszowa i wtenczas to zginął jenerał Pajol na czele dragonów; korpus księcia Poniatowskiego był na południowéj stronie, a dla téj dzielnéj szarży, nazwano bitwę tę bitwą pod *Wachau* choć pod Lipskiem się toczyła. — Jenerał Merfeld był tego dnia wieczorem wziętym przez jenerała Curiel. — Cesarz wtenczas biwakował w *Probsthayda*. — Położywszy się 16go października wieczór, leżałem do pierwszych dni listopada chory na nerwową febrę w ogromnéj gorączce. — Szczęściem, że miałem dwóch ludzi przy sobie, to jest jak już wspomniałem Jana Rogowskiego mego kamerdynera, i Bartłomieja Twaróg, którego wziąłem z moich dóbr do koni, bardzo dobrego i wiernego człowieka. — Ludzie ci poczciwi pielęgnowali mnie, bo od położenia się w łóżko, niewiedziałem co się zemną stało, tylko poznałem przez okno 19go października Cesarza w odwrocie a za nim Seweryna Fredrę podpułk. gwardyi. Później dowiedziałem się od mych ludzi żeśmy w niewoli — że moje dzielne konie zabrane — że książe Józef utonął i t. d.

Gdy już byłem trochę zdrowszy, przyszedł do mnie jenerał Rautenstrauch, który mnie bardzo lubił, i starał się o moją siostrę Ewę — mówiąc że się dopiero do-

wiedział od mego kamerdynera, iż niemam funduszu na lepsze wygody, i zostawił mi 50 dukatów które mu z największą wdzięcznością z domu przez p. szambelana Stanisława Bogusza do Warszawy odesłałem. — Mogąc późniéj trochę wychodzić, poszedłem do jenerała Rożnieckiego, który mi dał jako szef sztabu zaświadczenie na krzyż Legii honorowéj — a będąc w niewoli miał zlecenie od księcia Repnina komendanta Lipska opiekować się jeńcami polskiemi. — Dał mi więc jenerał Rożniecki marszrutę od władz rosyjskich do Poznania. — Przed odjazdem odwiedziłem leżącego Teodora Szydłowskiego, adjutanta księcia Poniatowskiego, pięknego i bardzo tęgiego oficera, który był obok księcia na wylot przestrzelony. — Bóg dał że szczęśliwie z téj śmiertelnéj rany wyzdrowiał, i był późniéj bardzo zdolnym jenerałem. — Także ranny leżał tam Edward Potworowski porucznik, adjutant jenerała Umińskiego, któremu wtenczas małą przysługę zrobiłem, a którego odtąd niemiałem przyjemności widzieć.

Przyjechawszy do Poznania, zastałem tam jenerała Umińskiego, który mnie zabrał z sobą do dóbr swoich Smolice o kilka mil od Poznania — gdzie najwygodniéj i najprzyjemniej parę tygodni wypocząłem. Ztamtąd pojechałem do Krakowa, chcąc przy familii jakiś czas zabawić — lecz tam zastałem niecierpiącego Polaków Gubernatora nazwiskiem Aweryn, który mi kazał wyjechać li dla tego, że się jego zausznikowi niekłaniałem. Wróciwszy do Galicyi i do dóbr moich Moderówki, siedziałem spokojnie, i tu się moja wojskowość skończyła, odebrawszy parę lat późniéj moje uwolnienie. — Patent mój na kawalera Legii honorowéj przysłał mi książe Valmy, ów sławny jenerał Kellermann z pod Marengo, przy którym kilka razy służbę pełniłem i który mnie lubił, bo mu byłem podczas kampanii dobrze znany — a w Paryżu 1818 r. często w jego domu prze-

bywałem. — Obiecany mi krzyż neapolitański przez samego króla, był dla mnie dany we Francyi, jak mi jenerał adjutant księcia Józefa, Szumlański Józef powiedział — ale że mnie nie doszedł, miałem się 1815 r. udać do króla przez księcia Ludwika Jabłonowskiego, posła austryackiego w Neapolu, lecz wkrótce wybuchła wojna z Neapolem, i smutna katastrofa króla nadeszła. — Do krzyża polskiego byłem podany przez jenerała Umińskiego, a jenerał Rautenstrauch kazał mi 1815 r. przyjechać do Warszawy o upomnienie się przez niego, tak jak to i inni zasłużeni uczynili. — Dnia 2go czerwca 1858 r. dostałem jako Towarzysz sławy Cesarza Napoleona Igo Medal Śtéj Heleny.

Muszę tu jeszcze nadmienić kilka zdarzeń mnie szczegółowo interesujących, i zaczynam od tego — które mi najwięcéj utkwiło w pamięci. — Niedaleko Herrnhut, złapano niby to szpiega. — Jenerał Umiński kazał zaraz sąd wojenny złożyć, aby go rozstrzelać, a gdy mi się zdawało że nie jest szpiegiem, dałem wotum przeciwne. Nieborak ten słyszał naszą dysputę — jednak go osądzono. — Gdy wojsko wystąpiło do egzekucyi, ten biedak gdy go prowadzono na plac widząc mnie stojącego, posunął się mówiąc te słowa: *Herr Hauptmann, ich sterbe unschuldig, sie waren so gut, ich werde Gott für sie bitten.* Wzięto go zaraz i w parę minut padł przeszyty 5cią kulami. — Po téj scenie byłem bardzo wzruszony! Ciekawym co wtedy uczuł wiadomy mi oficer z którym spierałem się o życie téj nieszczęśliwéj ofiary

Drugie zdarzenie było następujące: Pod Altenburgiem szliśmy za cofającym się nieprzyjacielem, a że pilno nam było wejść do miasta, gdzie krążyła jeszcze część wojska, pozwoliłem sobie powiedzieć komendantowi szwadronu kirasyerów naszych, że jenerał kazał oczyścić miasto z nieprzyjaciela, i sam z tym szwadronem szarżowałem. Jadąc ulicą spotkałem sierżanta Edwarda

Zaklikę na bułanym koniu, który z powodu iż koń jego był odsedniony, musiał się zatrzymać. Szarża ta doskonale się powiodła. — Weszliśmy do miasta, a graf właściciel tego miasta, dawał w zamku dla jenerałów i całego sztabu duży obiad. — Odkomenderowałem do zamku sierżanta Zaklikę na załogę, tam dali mu z chęcią wygodę, więc i on wypoczął, i koń jego pozdrowiał.— Jenerał Umiński uśmiechając się powiedział mi później: „Żeby ci się nie było udało, mógłbyś był pójść pod sąd wojenny“......

Muszę tu wspomnieć jeszcze o sławnéj szarży Krakusów, który pod Herrnhut wzięli sztandar kozacki. — Z szwadronem tym posłał mnie jenerał Umiński do księcia Józefa, a książe przesłał go Cesarzowi przez Kamienieckiego, który chociaż w drodze dostał się do niewoli, sztandar jednak nie zginął, gdyż go Kamieniecki dowcipnie w czaku ukrył, a Ludwik Kicki, będąc posłanym aby go odwiedzić, czako zręcznie odmienił.— Cesarz lustrując nas pod fortecą Königstein w przejeździe do Drezna, wielkie temu pułkowi oddał pochwały z powodu tego zdarzenia.

Józef Korczak Gorayski.

KILKA SŁÓW
BIBLIOGRAFICZNYCH.

Ze wszystkich ludów Słowiańskich, polski najjaśniéj rozświecił się promieniami światła, które Rzym ciągle na świat rozsiewał. Zaledwie stał się osobnym narodem już wiarę od Rzymu chrześciańskiego przyjął, a skoro tylko państwo urządzać zaczął, w starożytnym Rzymie czerpał wyobrażenia polityczne. Ztąd też u przodków naszych w charakterach, w obyczajach, w cnotach, nawet w przesądach wiele rysów przypominających dawny Rzym napotykamy. Lecz szczególniéj przy końcu 15go i na początku 16go stulecia, polityczne naśladowanie Rzeczypospolitéj Rzymskiéj staje się widocznem, i wtenczas też obok jéj cnót starożytnych, wady, błędy i przesądy z niéj przejęte spostrzegać się dają, nieco tylko duchem chrześciańskim złagodzone.— Tym to dawnego Rzymu wyobrażeniom przypisać w znacznéj części należy zwichnienie losów ludu rolniczego, zaprowadzenie stopniowe jego uciemiężenia i prawie niewoli. One także wprowadziły i wkorzeniły pogardę, dla prze-

mysłu, handlu i kupiectwa. — Za pierwszych czasów Rzeczypospolitéj Rzymskiéj nie było wolno obywatelowi zrobić się kupcem lub rękodzielnikiem, a Cyceron w księdze 1. de Officiis głosi, że każdy, kto żyje z zarobku poniża się, i że nigdy żadne szlachetne uczucie nie zrodziło się w sklepie *Nec enim quidquam ingenuum potest habere officina.* Te wyobrażenia przesądne przejęli Polacy, lecz za to jak w Rzymie, tak i w Polsce obok rycerskiego rzemiosła, i obywatelskiego zawodu, umysłowa, naukowa praca była zawsze w poszanowaniu.— Jeżeli rękę, która szablą władała plamił łokieć i waga, nie szpeciło jéj pióro. Jak we wszystkich krajach chrześciańskich, tak i w Polsce stan szczególniéj duchowny w owych początkowych wiekach oświaty trudnił się pismem, jednakże i w świeckim późniéj zwłaszcza, nie jeden szlachcic polski niem się zajmował, i odznaczał. Od czasu też zaprowadzenia u nas druku mnożyły się drukarnie mnożyły się księgi drukowane, i bibliografia w Polsce z 16go wieku z równie obfitym plonem jak i w innych krajach wystąpić może. — Żaden zaś naród oprócz włoskiego, tak prędko niewykształcił do pełności i wydoskonalenia nie doprowadził własnéj mowy. Już w drugiéj połowie 16go wieku język polski nabrał kształtu i charakteru sobie właściwego, jędrności, giętkości, czystości, i następne wieki raczéj go zepsuły, skaziły, aniżeli udoskonaliły. Kiedy Francuzi, Anglicy, Niemcy, przemawiali i pisali językiem dziś nie tak łatwo zrozumiałym, już u nas mowa Górnickiego, Cypryana Bazylika, Wujka, Kochanowskich w całéj czystości i wykształceniu brzmiała. W Anglii o pół wieku, we Francyi o wiek prawie cały, w Niemczech jeszcze późniéj, wielcy pisarze posunęli ojczysty język do najwyższego stopnia doskonałości. Jeszcze i téj uwagi pominąć nie można, że w Polsce mowa była i jest jeszcze jedna, wspólna wszystkim częściom kraju, i wszystkim

stanom. Nie było ludowych, prowincyonalnych dialektów (patois) (ruski bowiem litewski, żmudzki za odrębny uważać należy) tak jak to w innych krajach uważamy. Słowo najwyższych, najdostojniejszych, najoświeceńszych rozumieli prostaczkowie, i nawzajem ich rozumiano, i jeszcze w mowie ludowéj dośledzić można, najpiękniejszych, najrodowitszych wyrazów i wyrażeń. Zaledwie sposób wymawiania niektórych słów rozróżnia język ludowy, pospolity. Bibliografia więc polska dawne zabytki piśmiennictwa wyszukująca pod względem językowym, niejako i literackim ma zadanie do spełnienia, odnajduje bowiem rdzą i kurzem wieków pokryte kosztowne metale mowy ojczystéj. Oddaje ona także ważne przysługi nauce historyi narodu, z jéj ożywieniem wzniosła się i ustaliła krytyka dziejowa.— Z tego więc powodu nie powinna być uważaną, jako suche, jałowe, marnéj ciekawości dogadzające zajęcie. Nauka bibliograficzna długo u nas leżała odłogiem. Pierwsi bracia Załuscy tworząc publiczny księgozbiór, trudniąc się wraz z Janockim spisami bibliograficznemi obudzili jéj zamiłowanie. Za Stanisława Augusta nauka dziejów ojczystych i krytyka historyczna ożywione zachęciły do przedsięwzięcia skrzętnych poszukiwań za granicą i w kraju. Pierwszym poświęcił się Albertrandi, drugim Naruszewicz. Poszukiwania te wykryły różne źródła historyczne różne zabytki piśmiennictwa dawnego dotąd nieznane, i utworzyły owe teki Naruszewiczoskie będące skarbcem obfitych bogactw dla dziejopisa ojczystego. Lecz dziedzictwo namiętnego upodobania w bibliografii, trudów i zdobyczy objęli po Załuskich Tadeusz Czacki i Józef Maxymilian Ossoliński. Ci dwaj najznakomitsi swego czasu uczeni zaczęli zbiory zgromadzać, które zastąpić w kraju miały utraconą bibliotekę Załuskich. Pierwszy z nich po wszystkich krajach polskich rozpuścił poszukiwania, drugi szczególniéj w części do państwa Austry-

ackiego przyłączonéj. Dopomagali im w trudach Juszyński, Siarczyński, Linde, i pierwsi do dzieł bibliograficznych i historycznych zbierali materyały, trzeci trudniąc się ułożeniem dykcyonarza.— Kanclerz Chreptowicz na Litwie także znakomity utworzył księgozbiór polski. Od Czackiego zaś i Ossolińskiego ciągnie się nieprzerwanym szeregiem że tak powiem dynastya bibliografów, i zamiłowanie tego oddziału nauki ojczystéj nie ostyga, lecz coraz się wzmaga. W epoce porozbiorowéj i za Księstwa Warszawskiego tworzą się Biblioteki publiczne Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Rady Stanu, i prywatne Kwiatkowskiego — Jana Suchodolskiego. Upodobanie w tego rodzaju zbiorach i naukę bibliograficzną odziedzicza po Tadeuszu Czackim, siostrzeniec jego rodzony Jan hr. Tarnowski, i zgromadza skarby w rękopismach i drukach w Dzikowie. Tymczasem Felix Bentkowski doprowadza do końca mozolną pracę, i wydaje szacowne, porządnym układem zalecające się dzieło, lecz błędnie i zbyt ambitnie Historyą Literatury polskiéj nazwane. Było tylko albowiem spisem bibliograficznym dzieł polskich dawnych i nowych, lecz w tak właściwy sposób ułożonym, że acz przy postępie bibliografii ojczystéj stało się dziś niedostatecznem, pozostaje jednak zawsze jako najpraktyczniéj użytecznem. Praca Bentkowskiego przeważnie wpłynęła na obudzenie zamiłowania bibliografii krajowéj i na ożywienie gorliwości w wyszukiwaniu i zbieraniu dawnych zabytków piśmiennictwa. Za czasów też królestwa konstytucyjnego zamiłowanie bibliografii upowszechnia się w kraju, u niektórych staje się namiętnością, jedynem i wyłącznem zajęciem. Typ Antykwaryusza przez Walter Skotta, przedstawiony napotykamy nieraz w tym czasie. Bibliografy stają się Bibliomanami. W zawodzie tym rozpoczynają trudy i hojne dostatków użycie Tytus hr. Działyński, Konstanty Świdziński, i Edward hr. Raczyński. Powstaje też w tym

czasie najzamożniejsza w kraju publiczna Biblioteka Uniwersytecka utworzona szczególniéj z łupów zdobytych po klasztorach zniesionych, a do których zgromadzenia użytym był uczony Linde. — Wznosi się w Puławach jéj współzawodniczka zbogacona nabyciem po Czackim księgozbioru Poryckiego. W Warszawie szczególniéj bibliomania rozszerza się. Lelewel wydaje Księgi bibliograficzne i nową zachętę przynosi. W wyszukaniu i ułatwieniu nabycia rzadkich książek znajdują się pomocnicy i pośrednicy. Nie jeden ze zbieraczy przypomina sobie Kozłowskiego, lub antykwaryusza starozakonnego Götzla, u którego za tanie pieniądze można jeszcze było zbiór swój szacownym nabytkiem zbogacić. Tymczasem cena dawnych książek coraz wzrastała, do jéj podwyższenia przyczyniał się szczególniéj najnamiętniejszy ze wszystkich poszukiwaczy i nabywców Referendarz stanu Jan Chyliczkowski; wszystkie fundusze jakie posiadał na nabycie książek polskich obracał. Nie było trudu, nie było kosztu na któreby się nie odważył, ażeby ubiedz innych współzawodników, i jaką rzadkość bibliograficzną ułowić. Za mały herbarz Gorczyna złpol. 800 zapłacił, co było w owym czasie znaczną summą. Mnożyli się też i mniéj dostatni i dostatniejsi miłośnicy bibliograficzni i w królestwie i za granicami jego.— Pan Ambroży Grabowski w Krakowie, Rzonca w Warszawie z niezmordowaną gorliwością w tym zawodzie pracowali. Nie jednego z tych pracowników nazwisko uchodzi zapewne naszéj pamięci, lecz wymienić musiemy możnych i hojnych miłośników ojczystego piśmiennictwa którzy zgromadzeniem dawnych jego zabytków zajmowali się. W Warszawie kasztelanów Alexandra Bnińskiego, Jana hr. Bielińskiego, Macieja Wodzińskiego, tudzież Władysława hr. Ostrowskiego, w Krakowie Ludwika hr. Morsztyna, na Wołyniu Karola hr. Mniszcha w Wiśniowcu jenerała Kropińskiego, P. Urbanowskiego; w Galicyi

Józefa hr. Dzieduszyckiego i Gwalberta Pawlikowskiego. — Najsilniejszy paroxyzm gorączki bibliograficznéj sprowadziła sprzedaż publiczna dubletów Biblioteki Puławskiéj na początku roku 1830. — Odbyła się ona w sali giełdowéj banku polskiego z jak najświetniejszem powodzeniem. Stanęli do walki dostatni i namiętni współzawodnicy. 5,000 tomów było do nabycia, a między niemi wiele dzieł bardzo rzadkich. Ceny też ich popchnięto do znacznéj wysokości, po złp. 1200 i 1800 płacono dzieła pojedyncze Paprockiego lub Reja. W roku 1831 ujrzał się kraj ogołoconym z najzamożniejszych bibliotek. Uniwersytecką i Towarzystwa Przyjaciół Nauk wywieziono do Petersburga. Puławska w znacznéj części uszkodzona poszła na tułactwo. Sulgostowska. Świdzińskiego schroniła się w Krakowie i w Poznaniu. Gdy po zaszłych nieszczęśliwych wypadkach umysły z otrętwienia ocknęły się, znowu się zapał bibliograficzny obudził. Im rzadszemi i droższemi stawały się stare książki, tem żywsze było ich poszukiwanie. Przedsięwzięte przez Jochera, poszytami okazujące się dzieło ożywiało gorliwość bibliografów. Przy innych rozlicznych pracach pan Wójcicki w Warszawie, p. Józef Łukaszewicz w Poznaniu nie zaniedbywali zawodu bibliograficznego. Zaczęły się też trworzyć nowe zbiory, że tylko wspomnę pana Stronczyńskiego w Warszawie, kasztelana Leona Dembowskiego w Klimuntowicach, w Lubelskiem, Władysława Trembickiego na Litwie, hr. Łosia, Alexandra Batowskiego — Kazimierza hr. Stadnickiego we Lwowie, Ks. biskupa Łętowskiego, p. Antoniego Zygmunta Helcla, pana Żegoty Paulego w Krakowie. Nie jedne pewnie jeszcze potworzyły się zbiory, o których dostateczn awiadomość nie upowszechniła się, i nie doszła do nas. Konstanty Świdziński przeniósłszy się na Ukrainę, poświęcił się cały trudom namiętnego zbieracza. Znalazł on w Kijowie współzawodnika w Baronie Chaudoir, lecz

współzawodnictwo nie zrażało go owszem przynosiło mu zachętę. Wszystkich więc znakomitych zdolności, całego czasu, wszystkich dochodów a nawet w części majątku który w kapitałach posiadał, używał na utworzenie nowych zbiorów, na dopełnianie dawnych — ożywiony tą szlachetną myślą że dla rodaków łoży i pracuje, że dziedzicem tych zbiorów kraj cały uczyni, i wdzięczną po sobie pamięć zostawi.— Pożar roku 1850 w Krakowie zniszczywszy kilka polskich bibliotek, jeszcze rzadszemi i szacowniejszemi uczynił zbiory tego rodzaju. Z prywatnych, które w Krakowie spłonęły księgozbiór hr. Morsztyna najgodniejszy powszechnego żalu. Nieszczęścia krajowe, upadek ogólny majątków, upowszechniona znajomość bibliograficzna, a ztąd podrożenie starych książek powściągnęły pochop do ich zbierania, odjęły nie jednemu możność łożenia na nie, i wiele też w tym czasie prywatnych mniejszych zbiorów przeszło na własność dostatniejszych nabywców, kilka więc bibliotek krajowych znacznie się wzmogło, kiedy inne zniknęły.

Dzisiaj publiczne księgozbiory polskie posiada Lwów, Kraków, Poznań — niema żadnego Warszawa. Nadzieję że nim się stanie zbiór przez Świdzińskiego zapisany Margrabi Wielopolskiemu zawiodło postanowienie spadkobiercy umieszczenia go w Chrobrzu, którego to postanowienia powody wyłożył w piśmie dopiero co ogłoszonem. Zapis więc Swidzińskiego nie pomnożył liczby publicznych bibliotek, lecz do jednéj prywatnéj, zapewnił przystęp wyjątkowéj i pewnemi warunkami określonéj publiczności. — Między prywatnemi najzamożniejsza, obfitująca w klejnoty bibliograficzne, jest bezwątpienia Biblioteka Kurnicka Tytusa hr. Działyńskiego, umieszczona w wspaniałym gmachu, który ziemi Wielkopolskiéj stał się ozdobą. Po niéj Willanowska coraz się powiększająca nowemi nabytkami. Biblioteka Ordy-

natów Zamojskich zbogacona Archiwum Jana Zamojskiego wynalezionem w Koniecpolu. Nieborowska książąt Radziwiłłów, zbiory Alexandra hr. Przezdzieckiego i Barona Rastawieckiego godne są także wspomnienia. W Galicyi księgozbiór Dzikowski hr. Tarnowskich, Medycki Pawlikowskiego, i odziedziczony po ojcu a staraniem syna hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego powiększony, należą do najznakomitszych. Powstał w tych czasach nowy zbiór w Galicyi, któremu świetną przyszłość wróżyć można, bacząc na gorące zamiłowanie i znajomość rzeczy ojczystych, z resztą na możność i szlachetne usposobienie jakiemi się właściciel jego odznacza. Chcę mówić o księgozbiorze Wiktora hr. Baworowskiego Zbogaca się on i cząstkowemi poszukiwań plonami, i nabyciem całych pomniejszych zbiorów i jest podobny do téj rzeki, która i drobne strumyki i okoliczne rzeczułki pochłania w siebie, i staje się szeroką i spławną rzeką. — Za granicami krajów polskich po bibliotekach publicznych wiele wynaleść można dzieł do bibliografii polskiéj należących.— Co zaś do zbiorów polskich o trzech w Paryżu zostających wspomnieć należy. Pierwszym jest Biblioteka polska umieszczona Quai d' Orléans nr. 6 w domu przez wydział historyczny ze składek i hojnych ofiar pojedynczych nabytym. Najcelniejszą ona ozdobę zawdzięcza zapisowi ś. p. wojewody Wodzińskiego — Sala też jedna nazwiskiem tego szlachetnego dawcy uświęconą została.— Druga oznaczona jest nazwiskiem Schultza, który kwotą 6000 franków Bibliotekę wspomógł.

Jedynym w swoim rodzaju jest zbiór p. Leonarda Chodźki, jest on co do rzeczy polskich najzupełniejszym, i dla pracownika na polu ojczystych dziejów najpraktyczniejszym. Nie mieści on osobliwości bibliograficznych, ale obejmuje wszystkie prawie dzieła do pracy historycznéj posłużyć mogące, a z piśmienictwa polskiego nowszego zacząwszy od środka 18 wieku prawie zu-

pełny ciąg przedstawia. Jeden w nim oddział na szczególniejszą uwagę zasługuje, żadna bowiem biblioteka równie zamożnego nie posiada, chcę mówić o tem, który obejmuje wszystkie dzieła, drobne pisma, dzienniki, lub artykuły dzienników po polsku, lub o Polsce za granicą od roku 1831 wydane. Nadto nadmienić należy o rozmaityah historycznych dokumentach, jako to traktatach, memoryałach, raportach, aktach dyplomatycznych, mowach, listach i t. d. w liczbie 20,000 przepisanych ułożonych w stu tekach które tego zbioru część wielce szacowną stanowią. Trzeba było mozolnéj czterdziestoletniéj pracy i wytrwałości i ciągłego zamieszkania w Paryżu, ażeby zbiór tego rodzaju i tak zupełny mógł utworzyć. — Trzecim polskim księgozbiorem w Paryżu jest Archiwum książąt Czartoryskich. Stanowi go część ocalona dawnéj biblioteki Puławskiéj, która do 20,000 samych dzieł polskich i 2000 rękopismów liczyła. Dotąd w Paryzkiem Archiwum zaledwie 1000 rękopismów i 5000 dzieł dawnych polskich zgromadzono, lecz zbiór ten przeznaczony na własność księciu Władysławowi Czartoryskiemu, gorliwem staraniem jego coraz się uzupełnia i zbogaca. Nie żałując ani trudu ani kosztu na obcéj ziemi wyszukuje on wszelkie zabytki naszéj przeszłości, i nie raz niespodziewaną pomyślnością widzi wynagrodzone troskliwe poszukiwania. Do powodzeń tego rodzaju policzyć należy wynalezienie i nabycie kilkudziesięciu dzieł będących osobliwościami bibliograficznemi rzadko napotykanemi, lub zupełnie nie znanemi; kilkanaście z nich wymienię tutaj. Miłośnicy bibliografii ojczystéj z przyjemnością o nich się dowiedzą, ci zaś z czytelników, którzy nie tyle rzadkich i bibliomanom drogich, jak użytecznych i jakąś naukę przynoszących dzieł poszukują, zechcą zwrócić uwagę na wartość historyczną tych, które pod nr. 15, 16, 18 i 19 — wymieniamy, i których krótką treść podamy.

1) Confession catholique de la foy Chréstienne escrite premierement en latin par Stanislas Hosius Cardinal polonois evesque de Varmie, et maintenant mise en francois par Jean de Lavardin Vandomois seigneur de Rannay et Abbé de l'Estoille à Monseigneur le Reverendissime Cardinal de Bourbon à Paris chez Claude Fremy 1566 in folio.

Przedmowa do kardynała Bourbon, w któréj powiada tłómacz, że tego nowego żołnierza Chrystusowego po francuzku przebranego chce wprowadzić do boju przeciw nieprzyjaciołom kościoła i osłonić go jego skrzydłem — kart po jednéj stronie liczbowanych 235 imprimé à Paris p. Nicolas Bruslé.

2) Copey des Brieffes welchen der Littausche Hauptman gen Warschaw dem Herrn Radiwill zugeschickt darum er vormeldet wie es im in eroberung der schlacht, so er mit dem Muscoviter gethan ergangen, mit erklerung was fur statliche Beuten sein kriegsvolk die Lyttawen davon gebracht und bekommen haben. Geschehes den 26 Januarii dieses 1564 Jars. Na końcu: gedruckt zu Nürnberg durch Nicolas Knorzen in 4to. List datowany z Ula 27go stycznia 1564, podpisany Niclas Radziwill von weywoda zu Crabba Oberster Hauptman der Lyttawen.

3) Copey eines brieffs koniglicher Majestat zu Polen an den Durchleuchtigsten Fursten Hertzogen in Preussen i t. d., datum Cracow 8 Martij 1539 in 4to.

List Zygmunta I do Albrechta księcia Pruskiego donoszący mu o niebezpieczeństwie grożącem na rok przyszły od Turków i Tatarów, wzywający go aby się przygotował do udzielenia pomocy i skłonił książąt niemieckich aby ją udzielili dodając: „Eigentlich ist unser Reich ein Landtwere und Postey der Deutschen Landt wider die Tartern und Turcken werden sie dem nit zehülff kommen, wo es yergent die not erfordern wirdt, so wer-

den sie eben der gefahr müssen warten die wir wellichs Gott werhüten.

4) Der Spiegel hochloblicher Bruderschafft des Rosenkranz Marie, der allerreinsten Jungfrawen uff begere der durchlauchtigen hochgebornen furstin and frawen, frawe Barbara geborn aus königliche Stamm czu Polen, Hertzogin zu Sachssen, Landgrauin in Doringen und Margkrauin czu Meyssen, czu Leyptzk gemacht und gedruckt. — Herb polski orzeł z pogonią, w środku saski. Przedmowa przez Marka von Weida, kaznodzieję u ś. Pawła, w Lipsku 1514, druk Melchiora Lottera 12 rozdziałów in 4to.

5) Journael wande Legatie gedaen inde jaren 1627 en 1628 i t. d., op den Urede handel tusseten de Connighen van Polen en de Sweden door A. B., deen van de trvee Secretarisen derselver Ambassade. — t' Amsterdam up Michiel Colijn 1632. in 8vo podłużne. Jest to dziennik poselstwa Stanów holenderskich Roche von den Honaert. Andrzeja Bicker, Szymona Beaumont spisany przez A. Booth sekretarza poselstwa. Z kilkoma ciekawemi sztychami wyobrażającemi różne ubiory narodowe polskie, bitwy i parę miejscowości.

6) Examen Catholicum edicti Anglicani quod contra Catholicos est latum authoritate parlamenti Angliae A. D. 1606 Auctore Stanislao Cristanovic JCto Parisiis apud Fran. Huby 1607. in 8vo.

7) De Rakousche Catechismus uyt het Hoogh-duytsch in het neder-duytsch vertaelt door J. C. t' Rakouw voor den autheur in' t jaer ons heeren 1659. Tłómaczenie Rakowskiego katechizmu na język holenderski, drukowane w Rakowie. in 8vo minori.

8) Dialogus de accedendo ad Sacramentum altaris devotissime et pro scrupulosis utilissime compositus per Venerabilem Magistrum *Thomam de Cracovia* sacre theologie professorem. Na końcu impressus Parisiis in cam-

po Gaillardo a Magistro Guidone Mercatore a 1497 die 9 novembris. in 8vo minori.

9) Historia delle due Sarmatie di Mattheo di Micheovo Dottor Fisico et Canonico Cracoviense tradotta per il Signore Annibal Maggi con la tavola delle cose notobili. In Vinegia appresso Gabriel Giolito de' Ferrari 1561 in 8vo minori.

10) Na wesele królewny Izabelle. Na końcu: wybijano w Krakowie przez Jeronima Wietora lata 1539. Orzeł jagielloński — podpisany Stanisław Klerika JKM. starego. Jako próbkę tego wiersza z pierwszéj połowy szesnastego stólecia, a więc przedrejowskiego przytoczymy parę ustępów:

Pan Bóg w Trójcy jedyny, mądrość nieskończona
Dobroć i miłosierdzie moc niewysławiona,
Jest tak najmiłościwszy, w każdéj swojéj sprawie.
Że się z nami obchodzi, aż nazbyt łaskawie.

Następuje daléj wyszczególnienie wszystkich łask boskich. W drugim paragrafie:

O tejże królewnie Izabelli

Mowa o Junonie, Pallasie, Wenerze i Jowiszu kończy się tym wierszem:

A tak mamy królewnę od Boga nam daną,
Na radość na wesele tym państwom posłaną,
Mądra, silna, wymowna, piękna, urodziwa
A wdzięczna niewymownie, ktemu dobrotliwa.

format in 4to.

11) Epitaphium in mortem Henrici Gallorum regis Christianissimi ejus nominis secundi per Carolum Uten-

hovium Gandaveusem et alios duodecim linquis. à Paris de l'imprimerie de Robert Estienne 1560 in 4to. Wśród tłómaczeń na różne języki jest i polskie:

Polonice

Osthatnia prosba Henrika krolia francuskiego do Pana Boga przed skonaniem,

Henrik król pewnie śmiertelnym się znając
Przemówił, jesth thak ku Bogu wołając,
Obacz Panie moij jakom jesth znedznionij
Na umyśle swym do końca zemdlonij,
Udalem się już ku dalekieij drodze
Kthora tam wssytki zwijkla strasic srodze,
Ide wezwanij miedzij lud twoij swetij
Ktorij u Ciebie jesth od dawna wzietij,
Po smierci w grobie odpoczijwać bede
A thijm wsselkich prac doczesnijch pozbede,
Biore sie theras do twego miesskania
Skad wiec pochodza ogromne liskania
Nie raczze mnie wzdij tak zatrącąc marnie
Niech mie wieczna śmierc ku sobie nie garnie.
W twoim krolestwie dopusc mi przebijwać,
Radosci wiecznej spolecznie uzijwac.

12) Polonia foelix Henrico Franco Valesio regnante tantopere exoptato Stephano Forcatulo Juriscon. Autore. Lugduni apud Gulielmum Rouillium 1574. in 4to.

Ad Poloniam,

Florida melle vales et messe Polonia, nunc rex
Te beat euge quis est? nil pete — Gallus adest.

13) L'Oraison du Seigneur Jean de Zamoscie gouverneur de Belzs et de Zamech, l'un des ambassadeurs envoyes en France par les états du Royaume de Po-

logne et du G. D. de Lithuanie au Serenissime Roy elec. de Pologne Henri fils et frere des roys de France, Duc d'Anjou. Paris p, Federic Morel 1574 in 4to. Nazwiska posłów wymienione z błędami, których w przytaczaniu cudzoziemskich imion nigdy się Francuzi ustrzedz nie starają.

Adam Corarki zamiast Konarski. Andre Gorke zamiast Górka. Jean de Sbouroce zamiast Zborowski itd. Mowa na trzy części podzielona. W pierwszéj wykazane przyczyny, dla których Henryk wybrany, w drugiéj jakie będzie mieć królestwo, w trzeciéj czego się po nim spodziewają. Obraz Polski w mowie przedstawiony, między innemi mówi Zamojski: „Car quand le Roy de Pologne repousse la guerre qui lui est faite, et defend „ses frontieres, il peut sans frais lever jusques á cent „mille combattans.

14) Discours sur l' histoire des Polognois pas lequel on peult cognostre l' origine, situation, fertilité, moeurs, loix, et coustumes des habitans du Royaume et comme dès leur commencement ils eureut Seigneurs Ducs, et Roys qui par interruption d'années les ont gouvernés jusques à présent que Monseigneur Henry de France, Duc d'Anjou qui a été elu Roy. Le tout extrait des historiographes Allemans qui ont ecrit l'histoire generalle du dict païs, et autres qui ont assisté en la diete assemblée, à Paris par Guillaume de Nyverd, in 8vo min. Herb polski orzeł i pogoń. W pierwszym rozdziele wymieniając produkta w które kraj obfituje, dodaje autor : „Il y a aussi des pots de terre naturellement forger, qui on telle proprieté que sitost qu' on les a tirés „dehors, ils seichent et se rendent semblables à ceux „que nos potiers font. Les lieux où ils se trouvent sont „Nouchou et Paluky.“ W drugim rozdziele jeografia — a w następnych dzieje Polski zacząwszy od bajecznych podług Kromera, a raczéj jego abrewiatora Lamberta

Scherfkel. W ostatnim rozdziele mówiąc o Zygmuncie Auguście twierdzi autor, że drugą żoną jego była Barbe soeur de la defuncte.

15) Discours de l' enterrement du feu roy Sigismond deuxieme de ce nom, et de l'entrée et couronnement de Henry à present roy de Pologne, extraict d' unes lettres escriptes par un gentilhomme francais envoye, par le Roy au dit Pologne à Lyon par Benoist Rigaud 1574 in 8vo minori. Jest to opis pogrzebu Zygmunta Augusta a następnie opis koronacyi Henryka Walezyusza ciekawe mieszczący szczegóły i donoszący o zajściu między Tenczyńskim i Zborowskim, dodaje autor: „że przy przysiędze dodano te słowa: Pacem inter Dissidentes de religione tuebor et manutenebo. Wojewoda krakowski wielki marszałek (był nim wtenczas Jan Firlej), chciał aby wyraźniejsze zaręczenie umieszczono, ztąd wszczęła się wielka wrzawa między wyznawcami dwóch religij, którą wojewoda sandomirski (Piotr Zborowski) uśmierzył, przekonawszy że te wyrazy są dostateczne. Następuje potem: Déclaration de Seigneurs de Pologne sur le retour du roy en France, ensemble une Ode au roy.

16) Les honneurs et triomphes faits au roy de Pologne, tant par le princes Allemans en son voyage, que par ses subjects à sa reception qui fut à Miedzeris le 24 jour de janvier 1574, briefvement recités par une lettre missive qu' un Gentilhomme francois écrit de Posnanie à Paris, par Denis du Pré imprimeur 1574. Jest to opis podróży króla Henryka przez Niemcy z orszakiem, z którego główne osoby wymienione jako to: książę de Nevers, książę de Maine, margrabia d'Elboeuf, hrabia Retz itd. i 600 młodzieży szlacheckiéj. Daléj opowiedziane przyjęcie na granicy, treść mowy Karnkowskiego, odpowiedź Pibraka i przybycie do Poznania.

17 W jednéj oprawie zebranych sześć broszur dotyczących elekcyi Henryka Walezyusza.

a) Advertissemens recens de Vienne en Autriche touchant l' élection de Monseigneur le Duc d' Anjou pour être Roy de Pologne à Lyon p. Benoit Rigaud 1573.

b) Hymne triomphal sur l' entrée et louange du très illustre et Sérenissime Prince Henry esleu Roy Auguste de Pologne grand Duc de Lituanie faicte, à Paris le 14 jour septembre 1573, à Lyon par Benoist Rigaud 1573.

c) Esjouissance de Francois, et bons citoyens de Paris sur l'élection du Roy de Pologne, a l' honneur de res haut, et trés puissant et très magnanime Prince Henry Duc d' Anjou invincible defenseur de la foy catholique avec une epistre narrative de la procession générale et des triomphes et largesses faictes á Paris le Dimanche 7 Juin 1573 a Lyon par Benoist Rigaud 1573.

d) In regium et magnificum Serenissimi potentissimique Poloniae regis Henrici filii et fratris regum Franciae Andium Ducis in urbem Lutetiam Parisiorum ingressum carmina gratulatoria authore Jacobo a Falkenburg dicto Milichio Brandeburgo Jurisconsulto Regio Franciae alumno. Parisiis ex officina Federici Morelli 1573.

e) De Polonia i t. d. Autore regio Franciae alumno quondam aulico Caesareo et Regineae deductioni in Franciam adiuncto Jacobo a Falckenburg, Mil. Brennipolitano Germano Jurisconsulto. Lutetiae Parisiorum in officina Federici Morelli 1573.

f) Oratio nomine Christianissimi Galliarum regis per Rev. Joannem Monluccium i t. d. post mortem S. Sigismundi Augusti regis in electione novi regis apud Varsaviam habita anno 1573. Parisiis apud Joannem Richerium 1573.

18) Receuil de plusieurs pieces de Sieurs de Pybrac D'Espeisses Presidents au Parlement de Paris et de Bellievre Chancelier de France, non encore imprimees

à Paris chez Pierre Blaize 1635. in 8vo. W tym zbiorze na karcie 145. Harangue de Jacques Faye Seigneur d'Espeisses prononcé aux estats de Pologne tenus à Stenzée l'an 1575. Mowę tę poprzedza ostrzeżenie, z którego dowiadujemy się że Henryk Walezy przed ucieczką z Polski wysłał najprzód Jakuba Faye do Francyi z listami nadającemi regencyę matce Katarzynie Medycejskiéj, że tenże stanął czternastego dnia w Paryżu, i że po przybyciu Henryka do Francyi, znowu tenże Jakub Faye pierwszy przez niego do Polski był posłany. O posłannictwo to nie współubiegano się wcale, marszałek Bellegarde podług świadectwa prezydenta de Thou wymówił się od niego, lękając się oburzenia i niechęci Polaków. Podjął się go Jakub Faye i dopełnił przybywszy niespodziewanie na zjazd do Stężycy, i tam mowę tu umieszczoną powiedział. Daléj dowiadujemy się że sławny pisarz Michał Montaigne chciał obszernie to posłannictwo opisać; lecz złem jego ostatecznem niepowodzeniem zniechęcony zaniechał. Mowa Stężycka jest tu wydrukowana tak po łacinie, jak w przekładzie fraucuzkim. Następnie znajdujemy list tegoż Jakuba Faye Sieur d'Espeisses do Henryka III w którym wystawia mu potrzebę wyprawienia jak najspieszniejszego poselstwa z Francyi do Polski, które jedynie nową elekcyę wstrzymaćby mogło. Donosi mu o przychylnem usposobieniu wojewody podolskiego, (był nim wówczas Mikołaj Mielecki), o stanie różnych stronnictw, list datowany z Stężycy 18go maja 1575. Daléj spotykamy list Henryka do tegoż Sieur d'Espeisses, w którym pisze że posłów polskich wyprawionych 20go września 1574 spotkał w Lugdunie, a potem w Dijon po powrocie z Rheims, że im dał odpowiedź, i każdego obdarował podarunkami wartości 1000 talarów. Że wkrótce wyprawi posłów z potrzebną sumą pieniężną marszałka Bellegarde i Pibraka. List jest z 30go marca 1575. Daléj znajdujemy

list Katarzyny Medycejskiéj i Henryka IIIgo z 20 listopada 1574, w którym pisze że kardynał Hozyusz zaniósł do niego skargę na Zborowskiego o wypędzenie Jezuitów z jednego z miast jego dyecezyi, poleca mu więc aby się o ich przywrócenie postarał. Daléj list Hozyusza do tegoż Sieur d'Espeisses w tejże sprawie OO. Jezuitów z Elbląga przez Zborowskiego wojewodę sandomirskiego wypędzonych, datowany z Rzymu 8go stycznia 1575. Następnie list biskupa de Mondevi Wincentego Laureo nuncyusza w Polsce, potem kardynała Montreal do Henryka III z Warszawy 12 czerwca 1575. w którym radzi mu, aby nie mogąc sam przyjechać księcia z krwi swojéj wybór popierał. W każdym zaś razie: „Il vous faudra du présent employer une somme „d'argent pour payer les soldats et les courtisans, et „pour entretenir et gaigner les principaux Seigneurs qui „pourront obtenir la prolongation du temps des Co„mices pour une année et demie encore“. Dlatego radzi aby jak najprędzéj odesłał tegoż d'Espeisses jako obeznanego ze sprawami Polski. Zapewnia zaś go że łatwo będzie zyskać wojewodę wileńskiego, (był nim Mikołaj Radziwiłł), et le *Cotgneuiski* (sic), którzy władają całą szlachtą litewską. Nakoniec znajdujemy instrukcyę daną temuż d'Espeisses przez Henryka III do księcia Ferrary z 16go sierpnia 1575. Celem tego posłannictwa było skłonienie księcia Ferrary do przyjęcia tronu polskiego, gdyż on i za lat cztery nie mógłby wrócić do Polski. Odstępuje mu więc korony polskiéj pod warunkami: „aby zrzekł się wszelkich należytości do jakich rości sobie we Francyi prawo. Aby przyjaźń między Francyą a Polską zachowywał, aby zobowiązania i obietnice jakie król w Polsce uczynił spełnił, i żeby w razie gdyby był bezpotomnym, a król miał kilku synów, jednego z nich na następcę przysposobił, a gdyby miał córki w małżeństwo jedną z nich synowi królewskiemu oddał.

Gdyby książę zgodził się na te warunki, d'Espeisses jako świadomy wszelkich okoliczności ma ofiarować mu swoje służby. Dobrzeby było ażeby książę przyrzekł infantkę ¡zaślubić tak dla podcięcia [nóg Arcyksięciu Ernestowi „tant pour rompre le cou à Ernest", jak dla zyskania Litwinów i Mazurów, którzy się zawsze za tym oświadczą, który ją zaślubić przyrzecze. A nakoniec: „Aussi pour les grands thrésors qu' elle posse- „de, avec lesquels on pourrait gaigner grand nombre „d' hommes". Potrzebaby także żeby książę zobowiązał się do dopełnienia warunków przyrzeczonych przez króla, a najprzód że będzie wnosił rocznie do kraju 450,000 florinów, to jest 300,000 pistolów. Lecz ten warunek skończyłby się na przyrzeczeniu, gdyż „le Sieur Duc „estant une fois installé Roy ne serait tenu rendre „compte, s' il auroit fait porter les dits deniers ou non". Drugiem zobowiązaniem jest spłacenie długów zmarłego króla, i zaspokojenie żołnierzy i dworzan co wynosi 8 do 900,000 florinów, lecz i tu król podaje sposób zmniejszenia téj kwoty do 150,000. Lecz jeszcze jedna rada: „Un autre moyen bien nécessaire seroit que „l' ambassadeur du dit Sieur Duc portat en Pologne ju- „sques à 200,000 florins pour gaigner les Seigneurs, „distribuant en particulier quelques deux mil florins et „leur promettant par blancs plus grandes sommes en „cas que l' election du dit Sieur Duc se fist". Jeszcze jedna rada: „Seroit besoin que l' ambassadeur du dit „Sieur Duc fust homme aduisé, de grande qualité, „ayant port et contenance d' homme de guerre, bien „suivi et qu' il dépendist." Car ces peuples se prennent „aisément aux apparences extérieures". Z Ferrary miał się sieur d' Espeissés udać do Wenecyi dla postarania się tam o pieniądze, zkąd do Polski aby działać na rzecz księcia Ferrary, gdyby ten na podane warunki zgodził się.

19) Copie des lettres envoyées à notre Sainct Pére le Pape, par lesquelles est dénoncé un miracle devinement advenu au Royaume de Pologne au Sacrement de la très saincte Hostie à Paris pour Laurent du Coudret itd. jouxte la coppie imprimée à Lyon 1586. in 8vo minori. Jest to list do Ojca świętego podpisany 5go kwietnia 1579 z Łowicza przez Lipomana biskupa werońskiego legata papiezkiego w Polsce, i przez arcybiskupa gnieżnieńskiego, (był nim pod ten czas Jakub Uchański), którego to listu ciekawą treść podajemy: „Pewna niewiasta Dorota Lazezke (sic) zamieszkała w Sochaczewie w dyecezyi poznańskiéj o półtory mili od zamku Louit (Łowicz) namówiona przez żyda Sochaczewskiego Beszkiem zwanego, u którego przez lat kilka służyła, przystąpiła jak to zwykła czynić do stołu Pańskiego, i przyjąwszy Przenajświętsze Ciało, przyniosła mu je, za co on obiecał jéj suknię szkarłatną z sukna lubelskiego (de Lubline), z galonami jedwabnemi, i trzy talary. Co ta nieszczęśliwa przyrzekła, tego dokonała. W wielką sobotę bieżącego roku, poszła ona do wsi Kozłów należącéj do biskupa poznańskiego, i tam bez spowiedzi przyjęła wraz z innymi kommunikującymi Ciało Pańskie, zachowała je nieco w ustach, potem wyjęła, obwinęła w chustę, i u siebie zatrzymała, a dopiero trzeciego dnia świąt we wtorek wydała je wspomnionemu żydowi, z którym połączyli się trzej inni: Michalek, Socha i Joseph, i zanieśli Przenajświętszą Hostyę do synagogi, i tam pastwili się nad nią, przekłuwając ją szpilkami i przebijając nożami. Lecz z niéj (o niewymowna Opatrzności naszego Pana Jezusa Chrystusa, który nie przestaje cudów wśród nieprzyjaciół swoich, na to aby ich przekonać), wytrysnęła cudownie krew, i ci wszyscy złoczyńcy widzieli jak płynęła, i łyżką zbierali ją i wlewali ją w naczynie, i całe je napełnili. Ta zbrodnia tajemnie spełniona niewiedzieć jak

się wydała, lecz bezwątpienia raczéj boskiem jak ludzkiem zrządzeniem. Taż Dorota z owym Beszkiem uwięzieni w Sochaczewie wyznali świętokradztwo spełnione, nie za pomocą tortur ale dobrowolnie. Co gdy doniesiono jego królewskiéj mości w Wilnie, gdzie przemieszkiwał, rozkazał staroście sochaczewskiemu wybadać prawdę i surowo złoczyńców ukarać. Tęż więc Dorotę 23go kwietnia a Beszkiema 15go maja sądem tegoż starosty spalono żywcem w Sochaczewie. A gdy Andrzéj wojewoda rawski *), do którego należy juryzdykcya tegoż miasta, rozkazał uwięzić tychże wspólników zbrodni, starozakonnych Józefa, Sochę i Michałka, i jeszcze Jakuba syna Beszkiema, który był przyjął do siebie dziecko téj Doroty nim była spalona, i gdy umarło bez chrztu, pochował je na cmentarzu żydowskim. Otóż tych wszystkich przed sąd powoławszy, gdy tak za użyciem tortur, jak też dobrowolne zeznania uzyskawszy, skazał ich także na spalenie. Co się wobec całego ludu w temże mieście stało. Co zaś do Przenajświętszéj Hostyi, i do najdroższéj krwi, nie wiemy jeszcze jak ich użyto, lecz lękamy się że ich nie odzyskamy, gdyż mówią że je sprzedali, i na drobne rozdzielili cząstki, gdyż takowa miała mieć moc cudowną zagajania ran przy obrzezaniu żydowskich dzieci". W końcu piszący ten list radują się, iż takowy cud wydarzył się w czasie, w którym tylu ludzi powątpiewa o prawdziwéj obecności ciała i krwi Zbawiciela w Przenajświętszéj Hostyi. Wypadek ten i ukaranie bluźnierców wydarzyły się roku 1578, a więc za panowania Stefana Batorego.

---

*) Wojewodą rawskim był Andrzéj z Gulczewa. Mylnie więc śmierci jego rok 1572 naznacza. Widziemy tu że żył jeszcze roku 1578. Po nim wojewodą rawskim był Anzelm Gostomski.

Zdając sprawę z osobliwości bibliograficznych, które tu wymieniłem, ożywiłem się wspomnieniem poszukiwań i prac, które sam dawniéj w tym zawodzie przedsiębrałem. Na widok tych świetnych zdobyczy przypomniałem sobie te, któremi i mnie zdarzało się chlubić. Byłem więc tym weteranem, który nie mogąc już w boju władać bronią którą dawniéj wojował, na jéj widok ożywia się zapałem, i jeszcze nią wywija i sił swoich próbuje. Szczęśliwym nazwać można tego, kto zamiłowawszy wyłącznie jedną z nauk, znajduje upodobanie w tworzeniu zbiorów do niéj należących. Człowiek taki nietylko ma ciągłe zajęcie i rozrywkę, ale doznaje bezprzestannie wrażeń myśliwego wśród łowów. Życie jego jest ożywione, w jedną więcéj dążność rozszerzone. Wprawdzie upodobanie takie przemienia się często w namiętność, wyradza się czasem w śmieszność, gdy się staje jednostronnem, odrywa od ważniejszych celów i głównych obowiązków żywota, ale umiarkowane rozsądkiem i w właściwych zamknięte granicach, może być uważane jako jedna z łask Bożych.

Miłośnicy i zbieracze ksiąg, obrazów, autografów, numizmatow, przedmiotów archeologicznych, zwierząt, ptaków, choćby motylów i owadów, nigdy nie są na nudę wystawieni, przebywają często w kółku odrębnem od życia zewnętrznego pełnego trosk i boleści, nie lękają się samotności, doznają tego miłego przekonania, że się przyczyniają do postępu nauki, któréj się poświęcają; jeżeli innéj nie odnoszą korzyści, to tę wielką i niezaprzeczoną zyskują, że nie zawsze z ludźmi przebywają, i nie zawsze żyć z nimi potrzebują.

Andrzéj Edward Koźmian.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

XIII.

O JASKÓŁCE GRZEBIOŁCE.

(Dalszy ciąg).

W zwyczajach i sposobie życia podobna do jaskółek domowych, równie zwinna i towarzyska jak one, żyje gromadnie, lecz li między swojemi i nie łatwo się brata z innemi. Zdarza się przecież że w czasie odlotu pomiesza się z oknówką, czy na chwilę czy się wiąże obietnicą na całą podróż, tego oznaczyć nie mogę. Szczególne ma upodobanie latać w czasie deszczu, czy woda wypłasza trapiące ją owady, które raz na pierzu z łatwością strzepane bywają, czy świeże powietrze ożywia nasze górniczki skazane tyle dni przesiedzieć w dusznem

---

Patrz zeszyt majowy.

powietrzu pod ziemią, nie wiem, lecz tak u nas jak i w innych krajach, nawet zaoceańskich gdy deszcz niezbyt zimny, ptaszyny te przez godziny całe używają téj mokréj powietrznéj kąpieli, i w tym zwyczaju podobne są do mew i jaskółek morskich (*Larus et Sterna*). Od czasu Aristotelesa do Gmelina, Herberta i wielu uczonych podróżujących, to zbliżenie do mewów jest znanem i tak w Grecyi, Malcie, na wyspie San Domingo zjawienie się liczne wesoło wirujących grzebiołek uważane jest za znak bliskiéj słoty. Opisy téj ptaszyny pozostającéj przez zimę dosyć licznie na wyspach Malty i San Domingo, są zajmujące szczególniéj przez cechę prawdy jaką noszą. W jesieni przylatują główne korpusy, część zostaje jak się zdaje starszych i wytrwalszych, inne lecą daléj ku południowi, przez całą zimę je widzieć można jak tylko ciepło przy ruchu owady utrzymuje, gdy zimno głód zapowiada, kryją się w swe nory, *które i tam sobie wygrzebują*, i w letargu spoczywają dopóki cieplejsza atmosfera je znowu do obudzenia nie zmusi. Ten letarg uważany na kilku wyspach jest ważnem nader spostrzeżeniem, może być podstawą do zgłębienia podań o zimowaniu jaskółek pod wodą; przebywanie kilkotygodniowe w norach bez wychylenia główki, nie może być inaczéj jak przez letarg wytłómaczone, gdyż każdy praktyczny ornitolog odepchnie twierdzenie Buffona, który pisze: „że w zimnéj porze chowają się grzebiołki do norów na kilka tygodni, muszą tam mieć dostateczną ilość owadów na pożywienie“. Najpierwéj jak się w tych norach mają pojawić owady; następnie zkąd ta obfitość, aby wyżywiła gorące żołądki tych ptaków ustawicznie zgłodniałych, a nareszcie jakże możemy przypuścić, aby chowając się do norów kilka i kilkanaście razy przez zimę zawsze tam znajdywały dostateczne pożywienie. Jeden z pierwszych ornitologów uczony badacz Belon, w swem dziele ciekawe

nam podaje szczegóły o życiu grzebiołki, która wszędzie grzebie i jak się zdaje grzebać musi, gdzie żyć przeznaczoną jest, a że na koszt rządu francuzkiego podróżował po wielu krajach z wielką korzyścią dla nauki, wszędzie ją widział zimującą i gnieżdżącą się w ścianach, wszędzie jéj nory spostrzegał, co dostatecznie potwierdza moje zdanie umieszczone w poprzednim zapisku. Między innemi ciekawość obudzającemi szczegółami opisuje w Romanii ścianę, w któréj razem z kolonią grzebiołek gnieździło się kilka par Zimorodków europejskich (*arcedo ispida*) i kilkanaście żołn pszczołojadów (*Merops apiaster*), można sobie ten obraz piękny łatwo wystawić porównywając jaskrawemi kolorami ubarwione dwa gatunki, ostatnich przy smutnem szarem upierzeniu grzebiołek, gdy te wszystkie trzy gatunki w locie razem się mięszają pod promieniami słońca.

Grzebiołka zamieszkuje całą Europę i mimo delikatności w swéj budowie, leci wysoko na północ, i w Syberyi ją Pallas licznie gnieżdżącą w norach spotykał, w Norwegii i Szwecyi wywodzi pisklęta, nawet w polarnych strefach spostrzegano grzebiołkę. Te podróże jedynie nadzwyczajną szybkością lotu i pracowitością nie do opisania przy grzebaniu norów wytłómaczyć można, gdyż zważywszy że późniéj wszędzie przelatuje i wcześniéj odlatuje jak inne gatunki jaskółek, bo jest nader czułą na zimno i krótki głód ją zabija, że tyle czasu corocznie na kopalniach strawić musi, gdyby niebyła tak lotną i tak pracowitą, nigdyby w wysoką północ zalecieć nie mogła, ani też rodzinę wychować i z nią ku południowi na termin naznaczony odlecić.

Ktoby z czytelników moje opisy sprawdzić chciał, może to z łatwością uczynić. Grzebiołki wszędzie w Polsce znajdzie, i tak ściany strome gliniaste i piaszczyste wszelkiego położenia, brzegi wysokie jezior i stawów, brzegi rzek a nawet strumieni, wszędzie ślad podziurawienia spo-

strzedz można; w potrzebie kopią nory w szerokich rowach i kanałach w brzegach stawów i małych rzek tak blisko wody, że otwór ledwie o kilka cali jest wyżéj jak zwierciadło wody. Te to gniazda często są wodą przybywającą blokowane i często zalewane; widziałem już nawet takie miejscowości że grzebiołka wylatująca lub wlatująca do swéj siedziby, musiała brzuszek w wodzie umaczać. Roku 1841 ta tak trafnie nazwana powódź w całéj Polsce *świętojanka*, i w mojéj wsi ku końcu czerwca szkody narobiła, mieszkałem wtedy w Brzeżańskim nad rzeczką którą wprawdzie książki geograficzne najczęściéj nieumieszczają, a która ma przecie płynącą wodę, i tą wodą niepospolite psoty mieszkańcom płata. Rzeczka ta nazwana Koropiec od miejsca w którem do Dniestru wpada. Miałem u siebie kilka kolonij grzebiołek co roku, szczęśliwie się wywodziły, więc też i w liczbę rosły, nie było już miejsc w ścianach stromych i w wysokich brzegach, więc się mieściły jak mogły nad stawem i rzeczką, nawet i w groblach stawów grzebały swe nory. Jedna z tych kolonij dała mi znowu jasny dowód, że u ptaków doświadczenie nie zawsze w pole idzie, że jak u ludzi tak u nich jedne mają pamięć, drugie wszystko zapominają, jedne mają rozum, czucie i pojęcie, w innych zupełny brak intelligencyi spostrzegamy. Nad stawem w ścianie gliniastéj gnieździło się do trzydziestu par, a że ściana była wązką, więc młodsze pokolenie przedziurawiło ją wszędzie i dziury były nad samą wodą. Deszcze kilkanaście dni trwające sprowadziły nagłą powódź wśród białego dnia i że w większéj części gniazd już były wykłute pisklęta, mało która samiczka zatopioną została, lecz niestety cała przyszła młodzież grzebiołek! Straszny to widok był téj srogo nawiedzanéj kolonii, latały ustawicznie przed ścianą rozpaczliwie piszcząc, każda parka stawała trzepocząc skrzydełkami przed otworem swego gniazda, jak

gdyby wołała: moje biedne, biedne dzieci! i znowu szyła w powietrze ku pędowi wiatru uprosić aby wody nie gonił, to znowu szyły ku niebu przebłagać gniew Boży, wracały po chwili ku gniazdom, — topiły wzrok w głębi norów zalanych i nareszcie siadały na wierzchu brzegu, bo już rozpacz siły nadwątlila, lecz to na chwilę tylko, niespokojność spocząć nie da, i znowu latają, stają i piszczą żałośnie, to ruszą jak w rozpaczy wgłąb dżdżystego powietrza, zdawałoby się że już niepowrócą, a tu po krótkiéj chwili już znowu lamentują przed ścianą, srogo nawiedzone ptaszyny! I tak dzień ten straszny na ustawicznym ruchu zeszedł, nad wieczorem jednę u towarzyszek wysoko wygrzebanych jam, gościnne schronienie znalazły, inne na brzegu rzędem ustawione noc przedrzymać musiały.

Dzień zajaśniał, Bóg swe dobroczynne światło ukazał, deszcz już w nocy ustał i woda pomału ustępować zaczynała. Co która jamka się ukazała, właściciele zazierają do niéj, siadają na mokrym brzegu i po chwili lecą żalić się towarzyszkom, że do domu niema po co wracać, nareszcie wszystkie otwory się pokazały, woda się wysączyła i kopalnie powysychały, do niektórych właziły odważne i wytrwałe grzebiołki, i wyczyszczały jak mogły mieszkania, niewidziałem przecie żadnéj parki któraby utopione pisklęta wyrzucała, — inne stroniły od swych norów przez całe lato do czasu ich wędrówki, jak gdyby im żal niedozwolił wypełnić bolesnego obowiązku ujrzenia potopionych dziatek. Roku 1842go znowu opanowały tę samą ścianę, mędrsze opanowały wyższe otwory, lub wyżéj grzebały, pomne na zeszłoroczną klęskę, lub też wywędrowały, gdyż mniejszą późniéj liczbę ich widywałem, głupsze wlazły w nory nad samą wodą, lub nisko sobie nowe grzebały; tak to jednych doświadczenie uczy i umieją w życiu późniéj z niego korzystać, innych nic nigdy nienauczy, tak

i u ludzi bywa, ledwie z jednego nieszczęścia się otrzęśli już brną w drugie mimo że mają sposoby ochronienia się.

Śpiew ich mniéj przyjemny jak dymówki i oknówki, chrapliwe bowiem tony ustawicznie się powtarzają, ich ulubione szer szer i szer szer psują harmonię, jest on głośnem dumaniem, z przerywanemi nótami i jak gdyby wiedziały że się niemają z czem popisywać, mniéj i krócéj śpiewają jak inne jaskołki; głos w trwodze lub wołaniu silny i donośny mają. Nic pocieszniejszego jak ich przygotowania do wędrówki. Jak już młode dokładnie do lotu wprawione i cała kolonia wychowała dziatwę, bo pierwéj żadna parka ściany nieopuści, tak i węzeł solidarności ich razem trzyma, lecz wszystkie gromadnie odlatują jednego dnia w samym końcu lipca lub początku sierpnia. Jest to dla nich dzień ważny i świąteczny. Pożerowawszy rano *in gremio* uganiają przed ojczystą ścianą, każda ptaszyna zapiszczy i zaszczebiocze, co tworzy hałaśliwy gwar, w niektóre nory wlatują i wylatują powtarzając przez godziny całe to pożegnanie, nareszcie coraz w gęstsze hurmy się gromadzą, wirują przed otworami jak komary; to w górę to w dół lecą wszystkie, aż nareszcie jedna lub dwie się odbije w innym kierunku, za temi lecą pewnie dzieci, daléj inne i pomału jak stojące wojsko co się kompaniami rozwija i daléj maszeruje, tak one pomału za pierwszemi oddziałami snują się, i niebawem ariergarda znika, otóż to było ostatecznem pożegnaniem wdzięcznych i tkliwych ptasząt. Niech nikt nie myśli że to one już na wędrówkę lecą, bynajmniéj, grzebiołki lecą na upatrzone już pierwéj stawy i jeziora zarosłe trzciną, tam nad wodą dzień cały bujają, a w nocy zasiadają gromadnie na trzcinie. Jeżeli przy gnieżdżeniu jest grzebiołka zajmującą, to pewnie równie zwróci uwagę na siebie w tych musztrach przygotowawczych przed daleką podróżą.

W téj porze roku najwięcéj owadów drobnych trzyma się przy wodzie i nad wodą i na samym jéj zwierciadle pływa ich niepospolita ilość, to jest powiedziałbym *wypas* grzebiółek, wypas ten dla wycieńczonych rodziców, wypas dla skąpo karmionych młodych, jest im koniecznie potrzebnym przed rozpoczęciem długiéj i męczącéj podróży w ciepłe kraje.

Może nawet myśliwi na łódce, polujący na kaczki nie uważali tych harców zręcznych, tych powietrznych kąpieli, tych łowów na owady, zatopieni w zabawie, oczów nie zwracali na te wszystkie zachwycające ruchy z których każdy jest prowadzony myślą i dążący prosto do celu, a cóż dopiero o ogóle mieszkańców powiedzieć, którzy w większéj części nierozróżniają ptaków gatunki i ich zwyczaje.

Gdy kolonia ku wodom emigruje ptaki trzymają się razem, a mimo to badacz rozezna w téj kłębującéj hurmie rodziny pojedyncze, — rodzice przodkują, — dzieci wszystkie ruchy naśladują i w téj gromadzie odznaczają się oddziały z 7iu do 8iu ptaków złożone; — przez dzień cały kolonii mieszkańce dzielą się na mniejsze kompanie a często rodziny zupełnie odosobnione, bywają i pojedyncze ptaki które jak kuryery od stadka do stadka lecą jak gdyby dawały i odbierały rozkazy, a w tym pędzie błyskawicy trwającym cały dzień, niezapominają o pożywieniu i co na drodze, w pośpiechu porywają; wszystkie te oddziały jak gdyby miały już jasne dyspozycye w pewnych obwodach dzień cały uganiają, niekiedy się złączą i znowu rozlecą, a na godzinę naznaczoną pełne subordynacyi stawiają się akuratnie gdy jeszcze dzień jasny, a to z powodu trudności na jakie napotyka z kilkuset złożona armia przy umieszczeniu się bo wszystkie razem posiadawszy na trzcinie muszą przed nocą zaświergotać wieczorną modlitwę. Mało jest rozkoszniejszych widoków jak rodziny

grzebiołek w pierwszych dniach przybycia ich nad wody: dwoje starych leci naprzód dzieci za nimi, napoktawszy koło wirujące owadów, najpierwéj rodzice uderzają, a za ich przykładem młode, a że się przestraszone muszki rozbijają lub też w zbitéj hurmie ku górze lub dołowi lecą, wymaga łowienie niepospolitéj zręczności a do nabycia jéj instynkt ptaków niewystarcza i rodzice nauczają każdego ruchu. W innem miejscu rodzina płynie spokojnie nad zwierciadłem z wzrokiem utopionym w wodzie z regularnością maszyny, w tem jedno z rodziców staje w powietrzu, wszystkie się zatrzymują a wskazawszy pływające żyjątko, rzuca się jedno, — dwoje czasem i wszystkie dzieci, trącają się i w wodę dzióbkami sięgają; chciwość rzadko do zaspokojenia życzeń prowadzi i to się nieraz grzebiołkom wydarza, przez ich natarczywość dają czas robaczkowi do ucieczki, wtedy uszykowawszy się w dawnym porządku trzepoczą chwilę nad wodą, żałośnie zaświergotają, *bo delikatne natury lada przykrość zamarkoci*, i daléj ciągną. Gdy znowu kilka lub kilkanaście pająków, muszek lub komarów pływa po wodzie w tedy jak motyle nad kwiatów kielichami kołyszą się i chustają, brzuszki przy łowieniu maczają i w powietrzu wodę otrząsają, ruchem pompy, cała rodzina podnosi się i zniża do chwili w któréj już nic na wodzie do łowienia niepozostaje więc daléj rusza nie czując nigdy potrzeby odpoczynku. Między dwuskrzydlatemi owadami są gatunki z tak szybkim lotem że je okiem ścigać nie można, te muszki służą za cel i stają się nadgrodą dla grzebiółek. Gdy która upatrzy brzeczący owad, zawoła na drugie i wszystkie na niego uderzają albo go schwycą nim uciekać zacznie, albo też rozpoczną się najzabawniejsze w świecie gonitwy. Mucha szyje prostą linią naprzód, to w bok uderzy, to w tył się rzuci, lub też ku obłokom tryśnie, grzebiółki goniąc te same ruchy

powtarzają, lecz że ich jest kilka plątają się skrzydełkami i uderzają jedna o drugą, zręczna mucha im z oczów ginie; stają w powietrzu jak żołnierze na komendę chwilkę, jedna z grzebiółek znowu muszkę upatrzyła zawoła na rodzeństwo i pogoń nowa się rozpoczyna, dopóki zmęczony owad nie padnie na wodę lub jaskółka go nieuchwyci. Która ptaszyna była najzręczniejszą i najzwinniejszą i uchwyciła to lotne jéj pożywienie, ucieka z dobyczą a inne w swawoli gonią towarzyszkę, są to prawdziwe igraszki bo z paszczki jaskółki już nic wyrwać nie można, latają tak w różnych kierunkach dopóki się nowy jaki owad nie pokaże. Przed zachodem słońca cała kolonia na miejscu umówionem się zjawia, późniéj druga i trzecia już mirjady grzebiółek razem się trzyma i kołują nad trzciną, — po chwili kilka lub kilkanaście spuszcza ich się i jak kwatermistrze wybierają bezpieczny nocleg i wygodny; kołyszą się i huśtają nad trzciną coraz niżéj i niżéj — nareszcie usiędzie jedna dwie i więcéj, a nie uznawszy miejsce za stosowne, zrywają się i daléj łodygi trzciny probują (*Arundo*); nareszcie siadają po dwie i trzy na jednę czasem i więcéj, bo to próba czy łodygi zniosą liczną a niespokojną drożynę, tymczasem reszta grzebiółek kołuje nad trzciną; te przygotowania do noclegu trwają i godzinę całą tak są te ptaki ostrożnemi. Gdy już kwatermistrzynie zaświergocą zapraszając na nocleg, cała churma śpieszy usiąść; lecz cóż się robi? Jak3—4 usiędą na jednéj trzcinie to ten ciężar wytrzyma, lecz nierozważna młodzież siada bez porządku jak to u nas bywa przy licznych kolacyach, i czasem rzędem 10—15 czepia się łodygi i nagina do saméj wody; — spłoszone grzebiółki zrywają się i przeraźliwym piskiem popłoch w całe towarzystwo rzucają, wszystkie podlatują, szturchają się jedne o drugie, już się zciemniało więc się tworzy niepospolity nieporządek i trzeba całéj przytomności i

powagi przewodniczek aby popłoszone ptaszęta do upamiętania nakłonić i znowu na łodygi sprowadzić. Już wszystkie się umieściły, zdaje się że spokojność zapewniona, naczelniki okrążają obóz tu pisną tam zaświergocą, muszą bowiem napomnieć, zadysponować i wszystko własnem okiem dojrzeć, po téj rondzie i te zabierają się do snu; siedzą spokojnie już żadnego głosu niesłychać, w tem nowy popłoch, hałas, burzliwe zrywanie się i świeże zamięszanie. Cóż się stało? oto jedna grzebiółka niewygodnie siedząca, chciała się poprawić i swym ciężarem nagięła łodygę do saméj wody siebie i towarzyszki zamoczyła a wszystkie popłoszyła i nowa reorganizacya musiała nastąpić. Często im się zdarza że Sokół Kobiec (*Falco subbuteo*) który tak lubi późno w wieczór polować po nieobfitych łowach i nieudanych, uderzy na nocujące grzebiółki a spłoszywszy kilka, reszta się podrywa, żałośnie piszcząc goni burzyciela stawowéj spokojności, czasem ilość tych ptasich ćmów przestraszy Sokolika i ucieknie, czasem jednę porwie i wynosi się do lasu; rzadko Kobca do tego głód przymusi, on zręczny i odważny, a większych ptaków nie braknie, gardzi on tą odrobiną i w wyjątkowem li położeniu co znaczy z próżnym żołądkiem, rzuca się na grzebiółki.

Przesiedziawszy na łódce lub na suchéj kępinie tyle wieczorów do późniéj nocy przypominam sobie zawsze z prawdziwą przyjemnością te ciche odludne miejsca które oprócz mnie nikt z ludzi w téj chwili nienawiedzał, sam więc wśród licznych ptaków, to czekałem na nadlatujące kaczki i cyranki, to znowu o polowaniu zapominałem zobaczywszy igrające kurki wodne, poważne czaple, pełne zamyślenia bąki, hurmy nadlatujące szpaków i pliszek szukających podobnych miejsc na noclegi jak grzebiółki; w téj szaréj godzinie co tam zawsze było życia a w tem życiu jaka mądra organizacya, co

scen zajmujących, *co za różnice między indywiduami tego samego gatunku*, tego żadne pióro opisać nie zdoła a zaiste każdego ten widok zająć by musiał.

Między samcem a samicą prawie żadnéj różnicy okiem dopatrzyć nie można mając zaś oboje w ręku do porównania, samiec się okazuje z ciemniejszem nieco upierzeniem, i większemi rozmiarami. Młode grzebiółki w pierwszéj barwie: ciemniejsze na płaszczu, piórka ich mają rdzawe obwódki, lotki z plamkami okrągławemi tegoż koloru, na szyi cień rdzawy zasłania białe pierze, — w téj to barwie odlatują do ciepłych krajów i w upierzeniu doskonałych ptaków powracają nam na wiosnę.

Wielu podróżujących rozgłosiło błędną wiadomość że jaskółki drugi raz się gnieżdżą w południowych strefach przez zimę a szczególniéj to twierdzili o grzebiółkach, widząc że w nory tam włażą i z tychże wyłażą jak w Europie. Każdy kto obrachuje czas potrzebny na te dwie dalekie podróże, czas kilku tygodni niezbędny do zupełnego wypierzenia się, a w którym to ptaki wszystkie, bywają cierpiącemi i o lęgu myślеć nie mogą, — kto wie jak nasze wszystkie wędrowniczki dla pożywienia i odpoczynku dnie i tygodnie na miejscu pozostają i znowu głodem lub zimnem zmuszone daléj lecą, ten pewnie wierzyć nie będzie iż jaskółki za morzem drugi raz się gnieździć mogą. — Ta drobna ptaszyna holując dzień cały za żerem nieskończoną ilość owadów wytępia i staje się nam nader pożyteczną; z przykrością więc widziemy po targach południowych miast tysiące grzebiółek złowionych w sieci i wystawionych na przedaż dla łakotnisiów którzy z przyczyny, że w jesieni są tłuszczem oblane smażą je i pożerają nie dla pożywienia, bo go nieznajdą, lecz dla smaku! — Jako gromadne ptaki i nocujące hurmami w trzcinach łatwe są do złowienia, sieć dubeltowa jako ściana postawiona w trzcinie złowi większą część napędzonych z przeciwnéj strony

jaskółek. Sieć z wielkiemi bardzo oczami wisząca przy drugiéj gęstéj tak jak do łowienia ryb, przepuszcza spłoszone ptaki, które uderzają o drugą, i chcąc się wysuwać plątają się długiemi skrzydłami. Te sieci na wszystkie nocujące ptaki po trzcinach jak jaskółki, pliszki i szpaki są zaiste niebezpieczną bronią, bo gromadnie się zbierają zawsze na tem samem miejscu przez kilkanaście dni, a zatem podają łatwość zastawienia w pewnym kierunku téj ściany.

Przystąpię daléj do rozbierania kwestyi od tylu wieków dyskutowanéj, odrzucanéj i znowu wznawianéj, kwestyi zajmującéj niemal ludzkość całą od czasu skreślenia pierwszych liter, wszyscy autorowie o niéj wspominają, wszyscy o niéj słyszeli a nawet gmin każdego kraju ma o téjże kwestyi ciekawe podania. *Kwestya o śnie zimowym tych ptaków czyli o stanie letargowym, o wyławianiu jaskółek przez rybaków sieciami, nareszcie o jaskółkach wyłowionych które znowu odżyły.*

Olejów dnia 4 kwietnia 1859.

KAZIMIERZ WODZICKI.

DZIEWICE TRACHIŃSKIE.

(*Dokończenie*).

HYLLOS.

Matko! jednego z trojga, wiedz, życzyłbym sobie,
abyś albo nie żyła już wcale w téj dobie,
lub żyjąc nazywała się innego matką,
albo więcéj niż dotąd nabrała zkąd statku.

DEJANEJRA.

Cóż twojéj nienawiści ku mnie jest przyczyną?

HYLLOS.

Wiedz, mąż twój, który moim ojcem się nazywa,
zabity dziś przez ciebie.

DEJANEJRA.

Och! ja nieszczęśliwa!
jakież słowo z ust twoich wypuściłeś, synu?

HYLLOS.

Odwołać go nie można, bo, co się zdziałało,
któż mocen uskutecznić, aby się odstało?

DEJANEJRA.

Jak mówisz? co? od kogo usłyszałeś, synu,
że tak niecnego miałam dopuścić się czynu?

HYLLOS.

Nie z posłuchu, wiadomość tę mam z pierwszéj ręki;
sam bowiem oglądałem ojca straszne męki.

DEJANEJRA.

Gdzieś spotkał się i zszedł się z ojcem? powiedz jeszcze.

HYLLOS.

Jeżli słusza, o wszystkiem tedy cię obwieszczę. —
Gdy sławny gród Euryta rozburzył i daléj,
wiodąc plon i pierwiastki łupu, się wyprawia,
na przylądku Kenajon Euboi od fali
morskiéj oblanéj, ojcu Zeusowi postawia
ółtarze i poświęca gaik gęstoliści.
Tam ku pociesze moje życzenie się iści:
widzę ojca pierwszy raz. — A kiedy w ofiarze
licznego bydła rzezią miał zbroczyć ółtarze,
Lichas poseł przybywa z domu doń, zagłady
odzienie, dar twój, niosąc. To gdy według rady
twojéj wdział na się, byków dwanaście bez wady,
brak i ozdobę główną łupu, rżnie, krom owych
sto przywiódłszy rozlicznych bydląt wyborowych.
I z początku nieszczęsny, gdyż mu radość sprawia
szata strojna, ochoczo modlitwę odmawia;
lecz gdy krwawoczerwony płomień buchnął z drzewa
tłustéj sosny i z świętych trzew w górę, zalewa

pot ciało, suknia szczelnie przylega do ciała,
jak gdyby ją sztukmistrza dłoń przylutowała,
spazmowy kurcz przerzyna kości wskróś i skrycie
jad, by zabójczéj żmii, wyżera mu życie.
W tym stanie nieszczęsnego Lichasa zawoła,
który temu nieszczęściu nie był winien zgoła,
i pyta, jaka w szacie, którą przyniósł, zdrada.
Ten biedak, nieświadomy niczego, powiada,
że dar od ciebie zabrał według polecenia.
Ow, skoro to usłyszał, w napadzie cierpienia,
gdy mu ból drze i szarpie płuca i jelita,
gdzie goleń rzemyk ściska, za nogę go chwyta
i na skałę oblaną wkoło morzem ciska,
że przez włosy na głowie biały mózg wytryska
i z czaszki, co rozpękła na poły, krew pryska.
Tedy w rozgłośny lament wszystek lud uderzy,
widząc, jak ten się wścieka a ów trupem leży,
i nikt odwagi nie miał, stanąć przy nim z bliska;
bo to runie do dołu, to skoczy do góry,
krzyczy, wyje, że wkoło w posadach skał mury
jęczą: Lokrów przylądki i wzgórza Euboi.
A kiedy się rzucaniem po ziemi uznoi
niebogi, wespół krzyki miecąc wciąż jękliwe,
(przeklinając, nieszczęsna matko, nieszczęśliwe
twe łoże i to, co go przywiodło do zguby,
zawarte z Ojnejową córą święte śluby),
otenczas pośród ludu ciżby za obłokiem
dymu mnie zalanego łez zoczy potokiem
i błędny dotąd topiąc we mnie wzrok zawoła:
„Choć do mnie, synu; dola niech moja nie zdoła
„oddalić cię, choć ponieść śmierć miałbyś wraz zemną.
„Wynieś mnie ztąd; najbardziéj będzie mi przyjemną
„ustroń, kędy mnie ludzkie nie wyśledzą oczy.
„Tak, na okręt, jeżeli litość masz nademną, (czy".
„czem prędzéj wsadź mię; tu niech śmierć mnie nie zasko-

Po tych słowach złożywszy go zaraz do nawy,
z wielką dokonaliśmy trudnością przeprawy,
bo wył strasznie, gdy kurczu mąk stawał się łupem.
Wnet ujrzycie go żywcem lub niedawno trupem.
Ten plan i czyn na ojcu, matko nieszczęśliwa,
wykonałaś. Niech za to Dika ciebie mściwa
i, jeżli słusza, błagam — Erinis ukarze.
Wżdy słusza, bo zdeptałaś zakonu ustawy,
zabiwszy męża duszy przed innymi prawéj,
jakiego nikt nie zoczy na ziemi obszarze.

(Dejanejra oddala się).

PRZODOWNICA CHÓRU

Milczkiem odchodzisz? Wiesz-li, że do przewinienia
powodowi przyznajesz się w skutek milczenia?

HYLLOS.

Pozwólcie, niechaj idzie! niech silnym podmuchem
pędzona z moich oczu precz uchodzi duchem!
Bo przeczby matki zdobne imię nosić miała
dłużéj ta, co nic matki godnego nie działa?
Won! Szczęść boże! Radością zasię rodzicowi
sprawioną, niechaj sama także się obłowi!

(Odchodzi).

(Trzecie Stasimon).

Spiew chóru.

Strofa. 1.

Oto, dziewice, oto bez zwłoki
nam się sprawdziły boskie wyroki.
Wszak przepowiednia dawna opiéwa,
że, gdy dwunaste przeminą żniwa

w biegu miesięcy, Zeusa syn spocznie
po trudach znojnych. Oto niezwłocznie
to bez pochyby zmierza do końca.
Bo jakżeby ten, co blasku słońca
nie widzi, jakim-ż miałby sposobem
znoju i trudu doznać za grobem?

Antistrofa 1.

Ach! jeżli podstęp niedocieczony
mocą zabójczéj Nessa zasłony
maść jadowitą wsączył do boku,
wylęgłą z śmierci a w zwitym smoku
schowaną, jakże inne *on* może
krom dzisiejszego oglądać zorze,
w potwornéj hydry schwytany sidła?
A wraz, zażywszy zdradnie mamidła,
palącem żądłem go czarnosierci
katuje Nessos, mszcząc swojéj śmierci!

Strofa 2.

Podstępu biedna, bacząc na strapienie,
które ślub nowy niewściężnie w gród żenie,
nie widzi, ani się pozna na zdradzie,
którą knuł obcy w swéj zgubnéj doradzie!
Och! jęczy teraz żałośnie, zaiste!
wilżą twarz łzawéj rosy dżdże rzęsiste;
a że kres naszedł boskiego wyroku,
Ate zdradliwa staje na widoku!

Antistrofa 2.

W łez zdroju nasze też pływają oczy.
Przebóg! złe takie Heraklesa toczy,
że opłakańszéj on doli w udziele
nie miał, choć truli ją nieprzyjaciele!

Och! zgubny grocie bojogromnéj dzidy,
jak rączo z wzniosłéj Echalii zdobytą
oblubienicę przywiódłeś! Snadź skrytą
sprawą usłużnéj stało się Kypridy.

(Piąte Epejzodion z Kommosem).

1. Połowa chóru.

Czy zmysłów to złudzenie, czy mnie słuch nie myli?
Z grodu by rzewne szlochy doszły mię w téj chwili.
Czy tak?

2. Pół chóru.

Nie z cicha jęczy, nie, ktoś łka w głos rzewnie
po grodzie; coś nowego święci się tam pewnie.

(Dejanejry mamka wychodzi z grodu).

1. Pół chóru.

Patrz, mamka jak nie zwykłą przejęta boleścią
i zasępiona do nas śpieszy z jakąś wieścią!

MAMKA.

Dziewice! och! jak wielkie ponieśłyśmy straty
dla posłanéj w podarku Heraklowi szaty!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Cóż nowego się stało? co, staruszko miła?

MAMKA.

W ostatnią drogę z wszystkich pani się puściła,
chociaż się nie ruszyła na krok z domu wcale.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Przecież nie w drogę śmierci?

MAMKA.

Zgadłaś doskonale.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Zmarła biedna?

MAMKA.

Powtórnie, wiedz, trafnieś dociekła.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Marnie zgasła! Lecz obyś mi, jak zmarła, rzekła!

MAMKA.

Okropnie w miarę czynu.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Mów, jakaż ją zmiata
śmierć, matko?

MAMKA.

Sama siebie zgładziła ze świata.

PRZODOWNICA CHÓRU.

W jakim-ż wściekłości lub szału napadzie
chwywa nieszczęsną broń ku swéj zagładzie?
Jakże, by dodać do śmierci śmierć ona
poczęła sobie i sama czyn kona?

MAMKA.

Ostrzem żelaza zgubném.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Czyś, biedna, widziała,
jak popełnioną była ta zbrodnia zuchwała?

MAMKA.

Tak jest. Opodal stałam.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Więc opowiedz szerzéj,
jak było, jak się stało?

MAMKA.

Cios sobie wymierzy
własną ręką.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Jak mówisz?

MAMKA.

Jasno, zrozumiale.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Ach! klątwę straszną wcale
ściąga na dom ten owa
oblubienica nowa.

MAMKA.

Iście. Miałabyś większe współczucie wżdy dla niéj,
gdybyś była patrzała z bliska na czyn pani.

PRZODOWNICA CHÓRU.

To uskutecznić śmiała mdłość dłoni niewieściéj?

MAMKA.

Okropnie! Lecz posłuchaj, dasz wiarę powieści.
Gdy wróciła do grodu sama i we dworze
zoczy syna przestrone ścielącego łoże,

aby ojcu z niem wybiedz naprzeciw, ucieka,
gdzieby nikt jéj nie widział; szlocha i narzeka,
klękając przed ółtarzem, że tak sama jedna;
skoro naczyń się dotknie jakichkolwiek biedna,
poprzednio używanych, we łzach się rozpływa;
tułając się po grodzie wszędzie nieszczęśliwa,
kiedy postać spostrzeże domownika drogą,
co nań patrzy z spółczuciem, od łez się nie mogą
wstrzymać oczy i na los nieszczęsny wyrzeka,
że ją przyszłość bez dziatek osamioną czeka.
Gdy szlochów zaprzestała, widzę, wpada w biegu
gwałtownym do pokoju Heraklesowego.
Z ukrycia panią, kędy widzieć mnie nie może,
śledzę i podsłuchuję i—zoczę, na łoże
Heraklowe kobierce rzuciwszy roztoczy;
a dokonawszy tego sama na wierzch skoczy,
na pośrodku łożnicy małżeńskiéj usiada
i przelewając zdrój łez gorących tak biada:
„O łoże! o komnato! przyjmcie pożegnanie
„ostatnie, bo już odtąd to ślubne posłanie
„ach! nigdy mnie w objęciu jego nie zobaczy!“
Tyle wyrzekłszy złotą skapliwie odhaczy
klamrę, gdzie spina sukni gors dla piersi straży,
poczem ramię i lewy bok cały obnaży.
Dopadłszy, ile nogi starczyły mi staréj,
synowi opowiadam rodzicy zamiary,
a gdy na miejsce owe wróciliśmy razem,
już ona bok, widzimy, dwusiecznem żelazem
przebiła do wątroby i osierdzia błony.
Na widok ten syn jęknie, bo poznał strapiony,
że sam, lżąc matkę w gniewie, był tego przyczyną,
za późno usłyszawszy od sług, że do czynu
owego ją niechętną skłonił podstęp zwierza.
Otenczas nieszczęśliwy ach! w lament uderza

nieukojony niczem — i jęcząc żałośnie
do boku matki bokiem się przytuli, wrośnie
ustami w usta, szlocha, sam siebie oskarży,
że płocho się dopuścił zelżywéj potwarzy,
i tonie w łzach, że odtąd w dwójnasób sierota,
bez ojca i bez matki, spędzi dni żywota.
Tak rzeczy stoją w grodzie. Więc, jeżli przysądzi
dwa lub kilka dni życia kto sobie, pobłądzi
nierozważnie, bo jutra nie ma dla nikogo,
zanim dnia dzisiejszego nie przeżyje błogo!
(Odchodzi).

(Czwarte Stasimon).

Spiew chóru.

Strofa 1.

Czy pierwszy wprzód opłakać cios?
lub pani méj nieszczęsny los?
sama niewiem, co począć, nieboga!

Antistrofa 1.

To w grodzie złe pod okiem mam,
na drugie tu w obawie trwam;
mieć lub czekać, jednaka ztąd trwoga!

Strofa 2.

Oby z ogniska tego silnem wionął
wiatr tchnieniem i ztąd daleko mnie żonął,
abym ze zgrozy nie upadła trupem
Zeusa potomka okropnych mąk łupem
widząc, Herakla dzielnego ramienia.
Bo nierozjęte ponosząc cierpienia

dąży do grodu i już ma być blisko —
niewysłowione ach! to widowisko!

(Wnoszą *Heraklesa* na lektyce; towarzyszą pochodowi *Hyllos* i inni obywatele).

Antistrofa 2.

Tak blisko było, nie daleko wcale,
nad czem, by słowik, w głos rozwodzę żale!
Nieznany mi ten lud obcego rodu!
Jakże go niosą! jakże szelest chodu
ciężkiego oni łagodzą, z obawy
o życie drogie i kroczą bez wrzawy!
Ach! w grobowem niosą go milczeniu!
Cóż mniemać? zgasł-li, czy leży w uśpieniu?

(*Exodos ze śpiewem ἀπὸ σκηνῆς*).

HYLLOS.

Ach! biada, rodzicu, ach! biada mi z ciebie!
Cóż pocznę nieszczęsny w tak ciężkiéj potrzebie?

STARZEC.

Milcz, synu, i dzikiéj nie wznawiaj katuszy,
co ojca rozjuszy.
Złożony snem żyje; zaciśnij więc wargi
i w sobie stłum skargi.

HYLLOS.

Jak mówisz, staruszku? więc żyje?

STARZEC.

Ty ze snu
nie wydrzyj go objęć, bo niemoc bolesną
rozdrażnisz, rozjątrzysz, co tłucze go, dziecię!

HYLLOS.

Wżdy żalu ach! brzemię nieznośne mię gniecie
i umysł się wzburza.

HERAKLES (przebudzony).

O Zeusie! na ziemi
jakiej-że stanąłem? i jakież to plemię,
gdzie leżę dręczony mękami strasznemi
ez końca? Och! ciężkie katuszy mych brzemię!
Ha! kąsa znów zjadle ból — biada! ach biada!

STARZEC.

Pojmujesz, że zdrowa ma była porada,
byś stłumił żal milczkiem i z głowy i powiek
nie spędzał snu jemu?

HYLLOS.

Z trudnością się człowiek
powstrzyma, gdy męki te ma przed oczyma.

HERAKLES.

Zeusa ółtarze na Kenaju szczycie,
jakiż dzięk smutny nędznemu czynicie,
za me ofiary i jakąż ohydą
skalałeś mi życie, Kronido!
Ach! obym nigdy was nie był na oczy
moje oglądał, gdy ból ten co toczy
ciało i w wściekłość mię wprawia, ółtarze,
w niezbytym tam miałem wziąść darze!

Bo jakimż pieśni czarom te cierpienia,
jakimże lekom bez Zeusa ramienia
skutecznym Atę uśmierzyć się uda?
Ach! tego nie ujrzę ja cuda!

Strofa 1.

Ach! ach! pozwólcie mi, błagam was,
spocząć i usnąć ostatni raz!

Strofa 2.

Przecz mię urażasz? ach! gdzie mię układasz?
Ty mię zabijesz — śmierci cios zadasz!
Drażnisz uśpiony ból. Ach! już przybywa!
Oto, ach biada! już mię porywa!
Zkądże jesteście, z wszystkich narodów
najniewdzięczniejsi Hellady?
Dla was ja lasów i morskich brodów
głębie czyściłem, zagłady
sam bliski nieraz. A teraz oto,
gdy w ciężkiéj leżę niemocy,
ogniem lub pchnięciem rażąc mię grotu
nikt zbawczéj nie da pomocy?

Antistrofa 1.

i ścięciem głowy nie przetnie mi
biada! ach! pasma nieszczęsnych dni?

STARZEC.

Mezodos.

Dzielnego Heraklesa synu
dokonać tak ważnego czynu,
to siły moje przechodzi.
Ty pochwyć jego; wzrok twój prędzéj

odemnie wyśledzi, co z nędzy
téj rodzica wyswobodzi.

HYLLOS.

Już trzymam, oto, rodzica, lecz życie
i bóle odjąć, co toczą go skrycie,
nie zdoła moja ani obca siła;
tak bowiem wola Zeusa zrządziła.

HERAKLES.

Strofa 3.

Gdzie jesteś, synu, gdzie?
Tu schwyć, ot tu schwyć mnie.
Ach! ach! boże! ach! żwawiéj,
synu, ulgę to sprawi!

Antistrofa 2.

Znowu napadła mię, znowu napadła
ach! niedotkliwa boleść zajadła,
która mię zwolna okrutnie zamęczy.
Ach! ach! Pallado! jakże mię dręczy!
Synu! twój rodzic żebrze litości,
dobywszy miecza bez trwogi
pchnij go bezkarnie w serca wnętrzności,
ulecz od razu ból srogi!
Oby twa matka, co rozniecała
ból ten bezbożna, zagładzie
podobnéj, jaką na mnie nasyła,
uległa! O błogi Hadzie!

Antistrofa 3.

coś z Zeusem z jednéj krwi,
sen ach! sen na mnie zléj

i odejm mi przez wczesny
skon ten żywot bolesny!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Truchleję słysząc, jaka dola niesłychana,
przyjaciółki, zacnego prześladuje pana.

HERAKLES.

Nieraz złe mi dogrzało, że z opisu gniecie,
wżdy ręką je odparłem lub zniósłem na grzbiecie.
Lecz dotąd nikt tak srodze nie rozdarł mi łona,
ani dziki Eurystheus, ani Zeusa żona,
jak córa Ojnejowa co, gdy miłość kłamie,
sieć przez straszne Erinye przędzioną na ramię
zarzuciła mi: z czego mię czeka zagłada.
Przyczepiwszy się bowiem do boków wyjada
zwierzchnie ciało, pochłania płuca, w żyły wnika
przylepiona i żywą krew już moją łyka.
Niknę marnie do szczętu, uwikłany w pęta
owe niepostrzeżenie. Ach! ani poczęta
z ziemi tłuszcza Gigantów, ani włócznia wroga,
ni Helleńczyk, ni obcy, ani wściekłość sroga
potworów, ni kraj żaden, ilem ich wybawił
od klęsk na mych wędrówkach, tego mi nie sprawił;
nie, białogłowa słaba i bez hartu męża,
sama jedna zadała śmierć mi bez oręża.
Synu! dowiedź twojego z krwi méj pochodzenia,
nie miéj na dal szacunku dla matki imienia;
schwyć onę silną ręką i dobywszy z grodu
oddaj ją do rąk moich, bo pragnę dowodu,
czy ci żal więcéj mojéj doli lub sromoty
onéj, na widok słusznie zelżonéj istoty
Idź, dziecię, nabierz ducha i lituj rodzica,
co litość ludzi wzbudza i ot, by dziewica,

łka płacząc. Och! nie może nikt z ludzi obwinić
mnie o to, abym kiedy miał przedtem to czynić;
nie, nie, bez narzekania znosiłem wciąż klęski.
Dziś po takiéj przeszłości jakiż duch niemęski
ogarnął mię! Więc przystąp bliżéj do mnie, dziecię,
i patrz co jest powodem, że tak ciężka gniecie
mię dola, bo pokażę ją nie przez zasłonę.
Patrz, patrzcie wszyscy społem na ciało zbiednione,
patrzcie na opłakany stan oto nędzarza....
Ach! ach! ach! znów kurcz straszny boleśnie dopraża
i wskróś boki przenika! Ach! już mnie widocznie
nie przestanie ból dręczyć, chłonący żarłocznie!
Zabierz mię, władco Hadu! uderz Zeusa błysku!
ciśnij i utop we mnie, królu, grot pocisku!
zgładź mię ojcze, piorunem! bo znów ból mię chłonie,
rozmaga się i sroży! Och! ręce, och! dłonie,
och! piersi, i ty grzbiecie i miłe ramiona,
was-że widzę, was, co lwa, pasterzy plemiona
dręczącego, przed laty mieszkańca Nemei,
potwór nietowarzyski, niedostępny kniei,
starłyście i Lernejską hydrę, i mięszaną
chłopokońców dwukształtną tłuszczę wyuzdaną,
zuchwałą, prawołomną, i Erymanthowe
zwierzę i psa Hadesa pod ziemią, trójgłowe
niezwyciężone dziwo, co Echidna w łonie
nosiła sroga, wreszcie smoka, co jabłonie
z owocem złotym gdzieś na krańcach ziemi strzeże.
Nadto na sobie z tysiąc razy wroga dzierżę,
i nikt mi z rąk nie wydarł palmy w życiu całem.
Teraz z niemocą w członkach, z poszarpanem ciałem,
niewidomym nękany bólem marnie ginę
ja, co synowstwem matki najzacniejszéj słynę
i Zeusa, niebios Boga, zowie się nasieniem.
Lecz wiedźcie, chociaż marnym teraz jestem cieniem,

i nogi mnie już nosić nie chcą — i w tym stanie
zetrę sprawczynią tego. Niech-no blisko stanie,
a wszystkim, jak złych karze w zdrowiu i gdy kona
nawet Herakles, powie sama pouczona!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Przeczuwam, jaki smutek, biedna Hellas, czeka
ciebie, gdybyś ach! tego straciła człowieka!

HYLLOS.

Korzystam, by się ozwać, ze zdarzonéj chwili,
więc milcząc chciéj mnie słuchać, choć ból twój się sili.
O to ciebie poproszę, czego żądać słusza.
Skłoń ucha, niech się gniewem nie unosi dusza
i nie kąsaj, bo tak się nie dowiesz odemnie,
czém cieszyć się chcesz i czém smucisz sią daremnie.

HERAKLES.

Mów, czego chcesz i zamilcz. Chorą bowiem głową
nie pojmuję, subtelną dokąd zmierzasz mową.

HYLLOS.

Co z rodzicą się dzieje, mówić ci chcę ninie
i o jéj nierozmyślnéj przekonać cię winie.

HERAKLES.

O matce, co ci ojca zabiła, rozprawiać
śmiesz, niegodziwcze? Ja-ż to mam ucha nadstawiać?

HYLLOS.

Milczeć po tem, co zaszło byłoby niegodnie.

HERAKLES.

Tak sądzisz? gdy tak straszną popełniła zbrodnię!

HYLLOS.

Zmienisz zdanie, to słysząc co dziś zaszło w domu.

HERAKLES.

Więc mów, lecz strzeż się synu, pewnego niesromu.

HYLLOS.

Słucham. Niedawno śmiercią zginęła zabitą.

HERAKLES.

Kto zabił ją, ty cudów nieszczęsnych wróżbito?

HYLLOS.

Sama sobie zadała cios śmierci, nikt inny.

HERAKLES.

Nim ją starły *te* dłonie, jak były powinny?

HYLLOS.

Słuchaj końca, a może gniew twój się złagodzi.

HERAKLES.

Ważny początek mowy. Mów o co ci chodzi.

HYLLOS.

Ot słowem, przewiniła bez złego zamiaru.

HERAKLES.

Co? niecnoto! gdy ojciec twój pada ofiarą?

HYLLOS.

Oblubienicy w domu strwożona widokiem
grzeszy, myśląc cię spętać miłośnym urokiem.

HERAKLES.

Któż z czarodziejstwa słynie tak bardzo w Trachinie?

HYLLOS.

Dawno temu, jak Kentaur Nessos onę złudzi,
że tym czarem miłosny żar w tobie rozbudzi.

HERAKLES.

Och! ja nieszczęsny! marna czeka mnie zatrata;
zginąłem, nie należę już do tego świata.
Ach biada! jaki los mię nawiedził, wiem przecie.
Idź, idź, już ojca niemasz; spiesznie pobież dziecię,
zwołaj rodzeństwo całe, zwołaj i strapioną
Alkmenę co napróżno Zeusa była żoną,
abym rzekł wam przed zgonem, ile sam wiem o tem,
wyrok boski, co wisi nad moim żywotem.

HYLLOS.

Nie bawi tu już matka. Zbieg okoliczności
tak zrządził, że w Tiryncie nadmorskim wciąż gości;
i dzieci część zabrawszy chowa je u siebie.
Inne zaś, wiedz, mieszkają w starodawnéj Tebie.
Ilu nas w domu, ojcze, wszyscyśmy gotowi
zrobić co chcesz, posłuszni twemu rozkazowi.

HERAKLES.

Więc słuchaj. Jesteś w wieku, gdzie okażesz czynem
czy mężem i czy godnym jesteś ojca synem.
Rodzic mi przepowiedział, dawne temu lata,
że nikt mnie nie zabije z ludzi tego świata,
lecz że mieszkaniec Hadu ciemnic śmierć mi zada.
Otóż, życie mi odjął jak Bóg przepowiada,
Nessos, on, co zamieszka z dawna w Hadu kraju.
Lecz i nowsze wyrocznie iszczą się, wiedz daléj,

stwierdząc dawniéj dane. Spisałem je w gaju
koczujących na ziemi Sellijskich górali,
jak je wielojęzyczny dąb ojca opiewał.
On rzekł, że właśnie w czasie, co teraz upływa,
skończy się wreszcie moja dola uciążliwa.
Jam po tem pomyślniejszych czasów się spodziewał,
a to mi nic krom śmierci nie zapowiadało;
i słusznie — toć za grobem wolne znojów ciało.
Gdy tedy wszystko synu, sprawdziło się, tobie
wypada dać mi pomoc w téj stanowczéj dobie.
Nie czekej, aż ostrzejsze słowo ciebie kolnie,
nie, sam bierz się do dzieła ze mną dobrowolnie,
najpiękniejsze z praw pełniąc, gdy ojca usłuchasz.

HYLLOS.

Chociaż dreszcz mię przejmuje, że z takiem wybuchasz
wzburzeniem w mowie, zrobię czego chcesz, rodzicu.

HERAKLES.

Nasamprzód tę uściśnij dłoń swoją prawicą.

HYLLOS.

Cóż chcesz wymódz tą niby wierności zastawą?

HERAKLES.

Będziesz ty słuchał? podasz ty mi rękę żwawo?

HYLLOS.

Oto masz ją. Nie myślę dać tobie odmowę.

HERAKLES.

Przysięgaj więc na Zeusa, ojca mego głowę.

HYLLOS.

Dla czego? Cóż mam zrobić? żali to usłyszę?

HERAKLES.

że dokonasz tak czynu, jak tobie przepiszę.

HYLLOS.

Przysięgam, a Zeus świadkiem méj przysięgi świętéj.

HERAKLES.

Daléj klnij się, że łamiąc ją masz być przeklęty.

HYLLOS.

Nie będę, bo nie złamię. Zaklinam się przecie.

HERAKLES.

Znasz-li Zeusa wyniosły tron na Ojty grzbiecie?

HYLLOS.

Znam. Częstom stał na górze, będąc ofiarnikiem.

RERAKLES.

Tam, na ramionach własnych wraz z przyjaciół likiem
dobranym podźwignąwszy ciała mego brzemię,
zetnij siła dębowych pniów głęboko w ziemię
wkorzenionych, i z dzikiéj oliwy drwa zdrowe
wyszczepawszy, mnie na stós ten połóż. Sosnowe
gorejącéj pochodni potem weź polano
i podpal stós. Łza przytem nie ma być przelaną —
bez płaczu i bez szlochów, jeżli Heraklesa
jesteś synem, to spełnisz. Inaczéj w Hadesa
podziemiu czeka ciebie klątwa ojca sroga.

HYLLOS.

Co mówisz? co zadajesz mi, ojcze, dla boga?

HERAKLES.

To, co spełnić się winno. Nazwij się inaczéj
nie moim, nie, innego ojca synem raczéj.

HYLLOS.

Dla Boga! wołam znowu. Czegoż chcesz od dziecka?
Zabić i sprzątnąć ma cię dłoń jego zbójecka?

HERAKLES.

Nie, tak, nie; ty wyleczyć sam jeden i dolą
masz wybawić od bólów, co mię dręczą, kolą.

HYLLOS.

Jakże ciebie, gdy ciało twe spalę, wybawię?

HERAKLES.

Zrób-no zresztą, com kazał, gdyś o to w obawie.

HYLLOS.

Zanieść cię się nie wzbraniam; to z pewnością ziszczę.

HERAKLES.

I jak mówiłem, z stosem przygotować zgliszcze?

HYLLOS.

Bylebym sam się jego nie imał koniecznie,
nic zresztą mnie nie strudzi, wszystko uskutecznię.

HERAKLES.

I tak dobrze. Lecz zrób mi jeszcze grzeczność drugą;
maluczka w porównaniu z inną jest posługą.

HYLLOS.

Chociażby i największa była, chętnie zrobię.

HERAKLES.

Czy córę Eurytową przypominasz sobie?

HYLLOS.

Chcesz mówić o Joli, jak się domniemywam.

HERAKLES.

Odgadłeś. Otóż i w tem twéj pomocy wzywam.
Jeżli uczcić chcesz ojca, po méj śmierci onę,
pomny słowa danego mi, pojmij na żonę.
Tak, święta niechaj tobie będzie ojca wola;
i ta, co przy *tym* boku spoczęła, Jola,
niech krom ciebie małżonką nie będzie nikomu;
nie, ty sam z nią się połącz i zawiedź do domu.
Tak uczyń, bo podaną w sprawach ważnych rękę
gdy w małych cofniesz, pierwszą postradasz podziękę.

HYLLOS.

Obłąkanego drażnić, nie dobrze; lecz biada!
Któżby zniósł tó, co teraz z przytomnością gada?

HERAKLES.

Więc nie zrobisz, co każę? Tem mi się odgrażasz?

HYLLOS.

Kogo żaden z złych duchów nie opętał, azaż
onę, co sama winna, że matka już w grobie
i co jedyna w znaki tak dała się tobie,
pojąłbym za małżonkę? Umrzeć ojcze wolę,
niż z tak zaciętym wrogiem spędzić życia dolę.

HERAKLES.

Toć, chłopcze, wypowiadasz winne posłuszeństwo
konającemu ojcu! — lecz bogów przekleństwo
czeka ciebie, gdy tego nie spełnisz rozkazu.

HYLLOS.

Toć gwałtowność choroby ty zdradzasz odrazu!

HERAKLES.

Ty właśnie, ty rozjątrzasz sam boleść uśpioną.

HYLLOS.

Ach! jakież wątpliwości mnie biednego żoną!

HERAKLES.

Bo ojcu słuchać, tobie zda się być niegodnie.

HYLLOS.

Czyż uczyć się mam ojcze, wykonywać zbrodnie?

HERAKLES.

Nie zbrodnią, co mi serce radością upoi.

HYLLOS.

Czy słuszniebym postąpił według woli twojéj?

HERAKLES.

Tak jest; świadkami tego Bogów czynię, synu.

HYLLOS.

Więc zrobię. Jestem gotów, winę tego czynu
na ciebie przed bogami składając. Gdyż tobie
folgując, w złéj nie będę sławie w żadnéj dobie.

HERAKLES.

Piękny mowy twéj koniec. Lecz wyświadcz mi jeszcze
tę łaskę: złóż na stosie, nim mnie kolki w kleszcze
ujmą i wściekłość znowu porwie moje ciało.
Nuże! żwawo do dzieła! Oto przy tym kresie
koniec życia po trudach spokój mi przyniesie!

HYLLOS.

Nic nie jest na przeszkodzie, aby się to stało,
gdy każesz i zniewalasz syna, Heraklesie.

HERAKLES.

Nim ból się odezwie mój, daléj!
ty, duszo hartowna, że stali
kryg twardy wraź między me szczęki
i ucisz lamenta i jęki;
abym uskutecznić był zdolny
czyn błogi, aczkolwiek niewolny.

HYLLOS.

Podnieście żwawo jego, przyjaciele,
mnie darząc słowem pobłażania błogiem,
bo wiecie, jakiem bogowie w tem dziele
sobie poczęli okrucieństwem srogiem,
co, choć ojcami się mienią, nieczule
patrzą na straszne płodu swego bóle.
Przyszłości żaden nie przeniknie z ludzi;
obecność zasię do jęków *nas* budzi,
wstyd robi *owym*, a najsrożéj nęka
męża, nad którym Aty ciąży ręka.

(Heraklesa wynoszą.)

PRZODOWNICA CHÓRU.

I ty, dziewico, już nie stój przed grodem,
gdzie świeże śmierci widziałaś ofiary,
niedolę wielką, cierpienia bez miary,
Nikt inny, Zeus sam wszystkiego powodem!

Z. Węclewski.

KULIG

OBRAZEK SPÓŁCZESNY.

> Kto nad stan swój żyje
> Tego we dwa kije,
> Cupu, łupu, łupu, cupu!
> Tego we dwa kije.
> *Stara piosnka.*

I.

Niegdyś, bywało, huczne-ż to były Kuligi! Kiedyś spojrzał na cały pochód wesołego grona śród śmiechu i krzyku i pisku i wrzasku dojeżdżającego do domu rojem sanek grzmotem biczów i całą orkiestrą kapeli i dzwonków, to aż serce ci zadrżało i nogi zadrżały i nuże do tańca sunąłeś raźno w pary, a z lica twego wesołość gości zdmuchła i najmniejszą chmurkę troski, zapomniałeś o wszystkiem, bo śród przyjaciół o wszystkiem się zapomina. I rozszerzyły się ściany twoich komnat, a twoja żona widziała cud piastowy w śpiżarni

bo jéj i miodu i wszystkiego przybywało. Serceż bo było cudowne u naszych! Lecz późniéj, rozdrobniło się to wszystko. — Kulig uważano jako napad tatarski, który goszczono aby uniknąć rabunku. Cieszono się, gdy odjechał. — Nie było już serca w naszych! Dzisiaj zapomniany a piękny i narodowy ten zwyczaj w zaniedbaniu. Odkąd tylko paragrafy i etykiety oddane zostały w ręce mistrza ceremonii, odtąd znikła swoboda duszy, która nie cierpi prawa, jeśli ono wolności jéj wrodzonéj uwłacza. Jest prawo w każdéj duszy, w każdem sercu, ale to nie polega na formie nie znosi narzuconych przepisów. Ztąd też kuligi zarzucono, że zbyt wiele prostoty w téj zabawie. Prostoty! — o! gdyby ta zaleta szlachetnych serc naszych nie zgasła była tak prędko, pewno nie tak prędko skarłowacielibyśmy na duchu!

Pomimo to jednak, iż zwyczaj ten od dawna zaniedbanym jest u nas, pojawiają się jeszcze od czasu tu i owdzie zjazdy przebranych gości, których liczba na 2 lub 3 miesiące przed samym czasem najazdu we dworze wiadomą być winna, i te zjazdy przybierają nazwę Kuligu. W Królestwie polskiem w niektórych powiatach niema nawet karnawału aby 1 lub 2 takie kuligi nie dały się słyszeć swym hukiem. Niby huczno! niby wesoło. — I niedziwota!

W obrazku niniejszym mamy właśnie zamiar jeden taki kulig opisać, a charakter jego widoczny (o ile sił) z naszego opisu, da jasne pojęcie o dzisiejszych kuligach, jak one daleko spadły od owych dawnych, gdzie to śpiewano i sercem i duszą swobodnie, ochoczo, wesoło.

W Grojówce mieszkał pan Srebnicki. Wioska miała ładne położenie; dwór wzniesiony na wzgórku na całą okolicę podnosił dumne czoło; dumne, bo widział, jak u stóp jego rozesłały się pokorą doliny i chaty i dwory, i rzeczka i górka i gaik i rola. Dwór był sobie bardzo

skromny; białe ściany stanowiące parter mieszkalny Pana wyglądały bardziéj na karczmę, aniżeli na rezydencyę. Bo też podobno i pogorzał okropnie przed czasem, i nie można było od razu dźwignąć go z gruzów i przywrócić do dawiéj świetności. Topól około niego nie było, bo pan Srebnicki był agronom nie lada, i nie dbał na fantastyczną i tradycyjną ozdobę dworu, wiedząc, że topole bardzo są szkodliwe. Za dworkiem był nie wielki ogródek, w ogródku nie wielki porządek. A przez dworkiem był ganeczek z sztachetkami i z daszkiem, owa cała reprezentacya dworskiego charakteru domu. We dworze było dość schludnie; średnio: nie bogato, nie wykwintnie, lecz też znowu nie ladajako. Była i sala jadalna i alkierzyk dla panny służącéj, i gotowalnia jéjmości i bawialny pokój, i niby kancelarya p. Srebnickiego, w któréj jednak nie widać było kancelaryjnego porządku. Bo tam, jeżeli się zdarzyło, że który z guwernerów pozostał rok cały, przemieszkiwały z nim dziatki, albo w braku takowego nieszczęsnego indywiduum było pusto i głucho i zimno.

Otóż tak wyglądał dworek w Grojowce, dla jadącego szosą od blizkiego miasteczka K. zaraz widoczny; teraz musimy poświęcić parę słów opisowi jego mieszkańca. Pan Srebnicki, nie szlachcic, nie mieszczanin, ale chłop, był sobie bardzo powabnym i przystojnym mężczyzną lat 45 liczącym; niski, łysawy, twarzy ciemnawo sinéj, wąsem gęstym polskim zarosłéj. Był sobie gospodarzem co się zowie, i grzebał w gruncie jak się patrzy. Grojówka nie była jego własnością, ale on był w niéj udzielnym sobie panem; bo Grojówka jest to wieś donacyjna jakiegoś jenerała rosyjskiego, który trzyma do niéj swego pełnomocnika, nie wdając się wcale w interesa gruntu, poprzestając na paru tysiącach złotych, czystéj i stałéj intraty rocznéj. Pan pełnomocnik, będący zarazem innych takich rzeczy pełnomocnikiem

mieszka spokojny w Warszawie, Grojówkę zaś wypuścił w dzierżawę niby to robiąc z dzierżawcy pomocnika swojego pełnomocnictwa! Pięknie też idzie panu Dolskiemu (tak się zwał pełnomocnik jenerała). Co rok raz przyjeżdża do Grojówki, skarżąc się na drożyznę i słabość. Wygrywa parę set rubli w karty, odbiera piękne upominki z kąpiel, do których państwo Srebniccy dla poratowania zdrowia jeździli, i — znajduje wszystko w najlepszym porządku ba! nawet w stanie, który dowodzi bezinteresownego ulepszenia budynków, gruntu, młynu, spławu rzeki, jazu i t. d. Odjeżdża zaś p. Dolski z dwiema furami spiżarni, i nie spyta się o Grojówkę aż na przyszły rok o tym samym czasie.

Pan Srebnicki, po odjeździe pana Dolskiego do Warszawy, schowawszy niby rachunki do stolika, zaciera ręce, podkręca czuprynkę i układa nadal projekta swojéj gienialnéj ekonomiki.

Pani Srebnicka z niemieckiéj ale podobno szlacheckiéj rodziny pochodząca, była bardzo poczciwą i zacną małżonką pana Sylwestra. Drażliwa, słabych nerwów, tkliwa i słabowita osoba. Z miłości poszła za pana Srebnickiego i prócz niektórych drobnych grzeszków (proszę źle nie myśleć) dochowała też téj miłości aż po dziś dzień! Miła, i bez pochlebstwa mówiąc, piękna do dziś dnia, miała oczka niebieskie a blond jasne włosy, figurkę zgrabną i rączkę maleńką, bieluchną. Mając latek 33 nie zapomniała jeszcze pretensyj, owych niestety pretensyj, które niegdyś nawet pana Jana Hrabiego oczy ku niéj zwracały. To też trzeba już okropnego zajścia między stadłem Srebnickich, żeby Jejmość Jegomości wyrzucała przeszłość swoich konkurencyj. Ale pan Sylwester miał słabość, a nie miłość do żony. Choćby mu kto przysięgał o jéj zbrodni przeniewierzenia się w ślubach mażeńskich (o którą jéj wcale nie posądzamy), nie uwierzyłby; i prędzéjby sobie dał wytłómaczyć, że

jego jaz jest źle wystawionym, aniżeli, że jego żona nie godną jest jego miłości. Ileż to razy na przeprosiny, biedak całować musiał obrażoną połowicę! Pani Sylwestrowa, w trzeciéj epoce swego wieku to jest będąc matką trzeciego dziecięcia cud-Maryni, stała się jakoś dziwaczną i himeryczką. Co tylko mąż w gospodarstwie zrobił wszystko było: *ordynarne*, jak mówiła, bez gustu, i wystawiające dom ich na *szykanę;* w co też wierząc biedny małżonek o mało sobie nie raz z rozpaczy głowy nie urwał. Trójgiem gienialnych dziatek obdarzył ich Pan Bóg. Józio miał lat 12; ten był w poniewierce, nie wiem dla czego, bo to było najlepsze Srebnickie. Jaś, filut, złośnik, próżniak i nygus był geniuszem; bo mając lat 7 już pił wódkę, śmiało mówił śród najpoważniejszego i najliczniejszego towarzystwa śmiał się w głos, dokuczał Józiowi i pi[illegible]stował cud Marynię, która najpiękniejszą zapowiadała przyszłość.

Ja wiem, mawiała skromnie, pani Srebnicka, wszystkie matki chwalą i wynoszą swoje dzieci. Ale ja, wyrzekając się téj własnéj miłości, szczycę się moim Jasiem i moją Marynią.

O Józiu biedaku, co gdzieś w kącie siedział, albo z panem guwernerem Świtoskim poetą i filozofem rozmawiał i bawił się korzystnie, nie było nigdy mowy.

Świtoski miał lat 20; był fantastą; biednego i niskiego pochodzenia, skończył szkoły gimnazyalne, i na parę lat zarobku przed wejściem na uniwersytet wkupił się w jarzmo cierpień i trudu, z którego pewno wychodzą serca wykształcone moralnie lepiéj, aniżeli ze szkoły najgórniejszéj etyki na uniwersytecie: Wreszcie trzeba wspomnąć o pani Stark, gospodyni niemce która była piastunką w domu rodziców pani Srebnickiéj. Była to podstarzała jejmość, a posiadała zaufanie obójga państwa, całkowicie. Używano ją też do wszystkiego — ona bo wszystko zastępowała: i kalendarz i sennik i

wróżbiarstwo i medycynę. Kilka dozorczyń, kucharek, lokaj i protegowany chłopak Dołek łotr, w najwyższym stopniu rozromansowany w pannie służący po uszy — panna Zuzanna wreszcie zamyka cały orszak dworactwa Grojówki, do którego należy także ekonom, służba i czeladź.

Te ogólne rysy były potrzebne. Przejdźmyż teraz do naszego opowiadania Kulig, lubo ten tak u państwa Srebnickich, jak w naszéj powieści stanowić będzie niby to wielką bramę do bardzo małéj komórki.

Było to roku pańskiego 184.... w styczniu. Była sobota. Śnieg pruszył na dworze, a wiatr dmuchał przez szpary okien pałacu Grojówki. Gości z miasteczka pobliskiego nie było, bo była zadymka; z sąsiedztwa nikt nie przyjechał. Od obiadu powstano; pan Sylwester był w szczególniejszym humorze; otarłszy sobie swoje gęste wąsy strasznie swoję żoneczkę całował. Ale pani Julia (bo jéj tak było na imię) była filutka! Ona miewała czasem humory dobre, a wtedy talent filuteryjny robił ją nadzwyczaj dowcipną. Miała swe żarty, figielki, wykrzyki, z któremi jak tylko się odezwała rozbrajała najczarniejszą melancholię p. Sylwestra, któréj tenże nabawił się *np.* padnięciem jakiego ulubionego konia.

Kiedy pan Sylwester do żonki siedzącéj na kanapie w jadalnéj sali, po trzeci pocałunek się nachylił, ta filuternie tupnąwszy nóżką rzekła: A cóż u licha, kawaler się dziś rozhulał z całusami. — Był to wstęp do nastąpić mającego traktatu. Jaś i Marynia siedziały obok czułéj i dowcipnéj mamuni, a tateczka chodził około stołu ze schyloną od ciężaru myśli głową, paląc z lekka wyborne szwarcowane sygarko.

— No i cóż Sylciu? — jakże myślisz tak niby z cicha tajemniczo odezwała się do męża — zrobimy ten Kulig?

— Jak ci się moja duszko podoba! widzisz ja jestem

zajęty naprawą mego jazu. Dulski może przyjedzie; tu woda zerwała pole, kłopot, ludzi nie ma — gdzie mi tam Kulig w głowie.

— To tak kochasz Zosię? zagadnęła filuternie, zwijając w rurkę koniec swojéj chusteczki.— Na te słowa, zatrzymał się w swoich krokach p. Srebnicki, a na jego zwieszonem czole, zmieniła się dekoracya troski, wszystek niepokój o jaz poszedł za kulisy grupując zmarszczki sroższym daleko niepokojem o los powierzonéj sobie siostrzenicy. Zosia była córką jego najukochańszéj siostry, która odumierając ją w dzieciństwie wymogła przysięgę na bracie, że się losem dziecka jak ojciec zajmować będzie. I rzeczywiście dotrzymał ściśle téj przysięgi pan Sylwester, a Zosia całe zaufanie w nim jedynie pokładała. Ojciec jéj ożenił się powtórnie, i, jak zazwyczaj bywa, mniéj dbał o dzieci z pierwszéj żony, poświęcając się cały młodéj i wesolutkiéj żoneczce. Zosia też, mimo to, że przebywała w domu ojcowskim, mimo to, że macocha o ile mogła uprzyjemniała jéj pobyt u siebie, nie czuła się nigdy tak szczęśliwą, jak wtedy, gdy bawiła w Grojówce. A lubo mogły być i inne do tego powody, głównym było to, że w domu przy ojcu czuła się opuszczoną, a tam miała poczciwego opiekuna, który jéj losem zajmował się całem sercem. Spomnienie o Zosi uczynione przez panią Srebnicką, nie dowodziło bynajmniéj udziału jéj w losie kuzynki, było ono raczéj tylko pozorem, pod którym biedny szczęśliwiec nie dojrzał oczami swemi, zamglonemi ślepą wiarą w swą żonę nic innego, oprócz troskliwości o dziecko jego siostry. Przeciwnie zaś nam się wydaje. Bąć jak bąć — to zwrócenie myśli małżonka na ukochany jego przedmiot miało swój skutek.

— Biedaczka, rzekł też zaraz p. Sylwester, oczekuje naszego uwiadomienia. Ha! trudno — trzeba. Koniecznie trzeba.

— I kiedyż to będzie? Styczeń dobiega a przygotowań żadnych. Skończy się karnawał i Zosia znów będzie, jak była — *nieszczęsną.* — Z takim przyciskiem, z taką żałobą a razem wyrzutem tak strasznym wymówiła Jejmość ten ostatni wyraz, że rozczulony jego intonacyą Sylwester, ugodzony w słabą stronę ulitował się nad losem siostrzenicy i rzekł:

— No — moja duszko, otóż ci powiem, że...

— Że pomyślisz o tem? — przerwała żona, chcąc zapobiedz podobnemu razowi odpowiedzi

— Że będzie Kulig! zawołał stanowczo zrezygnowany małżonek, i to mówiąc zbliżył się do niéj i czwarty raz po obiedzie pocałował.

— Tak to lubię. I kiedyż? — ja myślę że w dzień Imienin jéj matki, która była moją imienniczką, ale w karnawał swoje imieniny obchodziła. Julianny mamy.... ej, kiedy to zapomniałam. Idźno Jasiu prędko do Starkowéj i zapytaj się kiedy to Julianny wypada. Na te słowa posłuszny psotnik podskoczył z radości, i krzycząc całem gardłem: Będzie Kulig, będzie Kulig! wybiegł z pokoju jadalnego do alkierzyka, w którym pani Stark ciasto wałkowała na placuszki na jutro do wina; — W krótce powrócił Jaś i powtórzył dzień szesnastego lutego.

— Ha to dobrze; to dobrze. Szesnastego lutego. Jeszcze czas. Zajmijmy się przygotowaniem.

— Będzież to dopiero roboty, rzekła Jejmość. Ułóżmy się co do gości. — I wtedy nastąpiły konferencye. Pani Sylwestrowa była arcy wielką dyplomatyczką. Że zaś Kulig ów główną zasadę miał w polepszeniu losu Zosieńki, przeto zwrócono na to najbaczniejszą uwagę i pani rzekła ku temu celowi w ten sens:

— Wiesz tedy, mój Sylciu, po pomimo, iż wiemy, jak się Zosia zabałamuciła panem Kurnickim doktorem z naszego miasteczka, gdy rozważymy iż tenże pan

Kurnicki nie ma odpowiedniego stanowiska ani majątku, musimy temu zapobiedz, i zbliżyć ją do pana Sokołowskiego chłopca pełnego talentu i do rzeczy.

— Masz racyę, moja duszko. Sokołowski jest chłopak na swojem miejscu; ojciec jego jest moim dobrym przyjacielem, i wyznaję ci szczerze, że pragnąc szczęścia Zosieńki, radbym ją wydać za pana Onufrego.

— Więc radź i prędko. Oto napisz dziś jeszcze list do Zosi. Donieś jéj że pan Onufry życzy sobie być panem młodym i tylko pod tym warunkiem jeżeli ona będzie panną młodą. Będzie to pierwszy krok, po którym dojdziemy do kłębka.

— Oj moja duszko, jaka z ciebie dyplomatyczka; aż mię cieszy. Podoba mi się plan. Wyborny. Dziś napiszę.

— A z panem Onufrym trza także znieść co do tego. A że to dziś chłopcy zważają koniecznie na posag, to ci nie zaszkodzi wcale z 15,000 jéj posagu zrobić tak np. 50,000. Wiem ja i tak z pewnych ust, oto ci powiem, od Kasi, że będąc tam u nich raz pan Onufry, dość wypytywał się o Zosię, wyrażając nieznacznie swoje ku niéj upodobanie.

Kasia taką znów była siostrzenicą pani Sylwestrowéj, jaką Zosia p. Sylwestra, z tą różnicą że to dziewczę mając i ojca i matkę, o 5 mil mieszkało od Grojówki, swywolując i śpiewając dzień cały, paląc cygara, jeżdżąc na koniu, i nie psując sobie napróżno głowy, jak Zosia, na kochaniach. Kasi ojciec był rodzonym bratem pani Srebnickiéj, zwał się: de Szmaltal.— Był i w tem wszystkiem interes, że pani Sylwestrowa, dla Zosi przeznaczała pana Sokołowskiego, majętnego dziedzica Sokołówki; lękała się bowiem obioru Zosi, bo by ten padł na przystojnego lekarza pana Kurnickiego, o którym dopiero co tak z lekceważeniem mówiła, a którego chciała przeznaczyć Kasi, chcąc zarazem i po téj nici także dojść do kłębka. Pan Kurnicki był bardzo przy-

stojny Warszawiak; szukał panny posażnéj i, prawdę mówiąc w dobréj przyjaźni dla pani Sylwestrowéj. Był to człowiek nie młody, zdolny, dobrego urodzenia, miły i wesoły w towarzystwie równych sobie dandów warszawskich. — Właśnie co wrócił z Warszawy, dokąd po pannę jeździł, ale o skutkach téj romantycznéj krucyaty nikt w całéj okolicy nie wiedział ani joty. W wielu miejscach na pana Józefa nastawiano sieci, ale wierny syn Eskulapa umiał wszystkie gorączki sercowe swych konkurentek, zimnym kataplazmem wyliczyć.

— Co do zaproszenia, mówił potem pan Sylwester, myślę, że najlepiéj będzie, złożyć takowe w ręce pana Burmistrza Powozińskiego z K. Człowiek to zacny, wszędzie bywa, on wszystkich sprosi, jemu zwierzę się zupełnie co do Zosi; może też i on z swoją Andzią ułożyć jakiś planik.

— A dobrze, dobrze, domówiła Jejmość — i na tem skończyła się pierwsza stanowcza narada, po któréj przystąpiono do urzeczywistnienia planów.

— Dziś jeszcze, mówiła śpiesznie pani domu, powstając z kanapki, posełam Dołka na koniu do Ślapowa po kucharzy, ty pisz list, jutro będzie tu burmistrz, wszystko się ułoży i

— I będzie kulig! dodał ucieszony Srebnicki a żona sama piąty raz tego szczęśliwego dzionka pocałowała go w czoło. Po téj konferencyi było jéj podobnych jeszcze z 50, na każdéj najważniejszą rolę grał Kurnicki, Sokołowski i Kasia i Zosia. Zdawało się, że wszystko dopisuje jak potrzeba. Wszystko było w najlepszym porządku.

Téj saméj godziny w całéj Grojówce a tegoż dnia w miasteczku K., wiedziano już o Kuligu w świętą Juliannę. Kurnicki dowiedział się od Dołka jadącego na lichéj szkapie do Ślapowa po kucharzy z listem od pana; poczęstował go z radości tą samą wódką, którą

pan Burmistrz homeopatycznie bywa leczonym, pożegnał, kazał pokłonić się Państwu, i skoro tylko Dołka nie było w K., zaraz pobiegł do swego jedynego przyjaciela Antoniego Samowicza, literata osiadłego przy rodzinie ubogiéj w miasteczku stołecznem pana Doktora, i z tym podzielił się niespodziewaną radością, zwiastowaną przez Piotra Dołka. Pan Antoni Samowicz był zarazem nauczycielem w szkole miejskiéj, ale zrażony światem, pomimo, że jego honorowe stanowisko dozwalało mu zabierać znajomość z najpierwszemi domy, oddzielił się od wszystkich, żył samotnie, poświęcając życie swoje swoim własnym zasadom, których jedynego zwolennika znalazł w doktorze Kurnickim.

— Antosiu! Kulig w Grojówce zawołał w uniesieniu doktór, wchodząc do mieszkania Samowicza.

— Mniejsza o to.

— Jak to nie cieszysz się? A toć to dla Ciebie pole do popisania się.

— Nie szukam deszczek na przedstawienie mojéj roli — wszak wiesz, żem ją sobie sam napisał.

— Dziwnyś.

— Ty to potwierdzasz, musi więc być prawdą. Z resztą wiesz, że Grojówka na mnie zagniewana okropnie, o mój artykulik, umieszczony w gazecie warszawskiéj, a wyśmiewający słusznie jéj cały płaski i niegodziwy charakter w postępowaniu z ubogiemi guwernerami.

— Co tam o to! Zobaczysz, że cię i tak zaproszą.

— Czy zaproszą, czy nie; ja Ci powiadam, że nie będę na tym kuligu, mam zresztą wiele bardzo zajęcia, ot patrz, nowe przygotowania porobiłem.

Niezadowolniony doktór, tak obojętnem przyjęciem, tak wesołéj nowiny pobiegł czemprędzéj do burmistrzostwa. Piękna Andzia o mało nie rozpłakała się z radości — a w skutek tego całe miasteczko dowiedziało się o wszystkiem w téj chwili. Już nawet pan Kurnicki

wyrachował expens na koszta, któremi tę uciechę trzeba będzie opłacić, i w końcu z jego gwałtownéj radości, któréj obojętne przyjęcie wyrzucał Antosiowi, zrobiła się pochmurna refleksya, przywracająca go do zasad literata. Utrzymywał bowiem, że na nic taka zabawa, co *tyle* pieniędzy kosztuje. Był to bowiem człowiek, przy wszelkich swoich uczciwych i prostodusznych przymiotach, nader materyalny, i gdy się go pytano, dla czego tak mało udziela się po zabawach okolicy, mawiał: „Fi! mój Panie, cóż mi to za uciecha? Człowiek musi stracić na podróż, na ubiór parę rubli. Nie bez tego, by też co i w karteczki nie puścić. A przy tem mój panie (to miał przysłowie) wiem ja o tem że dobrze jest mieć wielu przyjaciół, ale na mojem stanowisku, to to kosztuje. Z tym się poznam, z tamtym zaprzyjaźnię, jak to jeszcze przy winie bywa; to zaraz, mój panie, jak przejeżdża z nich który, ten wstąpi i tamten wstąpi do doktora. Nie bez tego, żeby czemś nie poczęstować. To zaraz wyjdzie parę rubelków. A czembądź też nie można przyjmować takiego pana radzcę, takiego pana sędziego, rewizora, itd.— Takiemi okresami mawiał pan Kurnicki, a jak się nieraz uniósł choćby nad małą bagatelą, przy któréj obstawał, to słowa płynęły strumieniem z ust jego, a bakenbarty drżały namiętnie na twarzy, a ładne i pełne wyrazu oczy tryskały ogniem jak strach przebrany w północy.

Pan Samowicz dowiedział się jeszcze więcéj tegoż wieczora od Świtowskiego, który na kucyku przyjechał do niego w przyjacielskie odwiedziny; przy czem rozmawiano wiele o domu Państwa Srebnickich. Świtowski wyspowiadał się Samowiczowi ze swojego sentymentu do Kasi. Skarżył się przy tem na jéj okropną niewzajemność. A konto przyjaźni wymógł na Samowiczu posłuchanie kilkudziesięciu wierszy, nad których czułością sam autor kilka razy zapłakał, i nareszcie, gdy się

u literata zebrało parę osób, literackie niby posiedzenie, zakończono wesołą a skromną partyjką preferansika, bez którego, pomimo że Jędrzejowska spółka temu zapobiedz usiłowała, żaden dwór, żadna mieścina nie miałaby moralno-ucywilizowanéj egzystencyi.

Przejdźmy teraz mocą talizmanu powieściowego z Grojówki do Krakowa. Korzystajmy z czasu, aby naszéj szybkości, nie uprzedziła twórczość paplarstwa powiatowszczyzny, która z pewnością zrobiłaby nam to na przekorę, (tem bardziéj że z Grojówki 12 mil do Krakowa gdyby nie nasza autorska powaga.

Zajrzyjmy do Zosi, bohaterki naszego romansu, co ona przed tą wieścią porabia, czy też to prawda, cośmy o niéj z ust pani Srebnickiéj słyszeli.

Oto bieżmy na przedmieście, najporządniejsze z wszystkich w Krakowie. Tam stoi z pretensyą do pałacu umalowany na szaro domek o 1 piętrze, z bramą zawsze arystokratycznie zamkniętą. Wejdźmy. Obok salonów pana Kińskiego, ojca Zosi, jest maleńki pokoik naszéj kochanki. Pięknie i schludnie umeblowany. Wielkie tu, widać, zamiłowanie w porządku. Szafeczka na suknie stoi obok szafeczki na książki. Na nich różne figurki misternéj roboty, fantastycznie poustawiane. Przy łóżku stoliczek, na którym parę książek roztwartych, leżących w tym miłym fantastycznym nieładzie, w jaki dziś jest moda rozrzucać sprzęty na stołach, a w jakim bez tego wyrachowania zostawia swoje strzępy każdy literat lub filozof. Na oknie kilka doniczek starannie pielęgnowanych kwiatków, na ścianie kilka lusterek, parę świętych obrazków, kilka portretów zna-

komitych ludzi i parę stołków: to wszystko stanowi sprzęty Zosi. A otóż ona siedzi przy stoliczku; spartą główkę na swojéj białéj rączce zachmurzyła jéj jakaś niepogoda myśli. Oko jéj ślicznie — czarne łysnęło jaskrawą błyskawicą burzy... a w sercu, a w duszy... smutno i ciężko snać było. Przed nią otwarta książka, powieść ulubionego autora. Tam znalazła ona pewien opis serca kobiecego, który zdał się jéj dla tego zupełnie naturalnym, że to serce było takie, jak jéj własne... A w tych chwilach, w których piękna czytelniczka znajdzie uczucie podobne swemu, niepokój, podobny własnéj walce, zatrzymuje się w czytaniu, spomina sobie swoją dolę, spiera ot tak jak Zosia na drżącéj rączce, swoją główkę, i... czasem nagrodzi biednego autora, zkąd inąd może wyszydzonego, najdroższym wieńcem sławy, bo łzą z dziewiczego serca zroszoną! Szkoda tylko że panowie autorowie nie zbierają tych brylantowych wieńców dziewic; skroń ich łatwiejby już na taki wieniec przyjmowała ostre kolce wieńczącéj ją niemi — krytyki. Zosia więc zatrzymała się na takiem czułem miejscu swéj książki. Spomniała sobie Grojówkę. W niéj poczciwego wujaszka, ale przy tem niewdzięcznego i zakamieniałego na jéj powab Kurnickiego. Uderzyło wtedy serduszko gwałtowniéj, rumieniec słowo jéj serca wypisał na bladem licu, i biedna Zosia zapłakała z żalu. Nie mogła daléj czytać, — odłożyła na bok książkę, i powstawszy zaczęła chodzić po swoim pokoiku.

— Będęż tak zawsze nieszczęśliwą? zapytała się sama siebie. Nigdyż więc końca nie będzie moim cierpieniom? nigdy? Boże! czemuż nie mam takiego serca, któremubym całą moją duszę odsłoniła? Wiem, dalekoby mi lżéj było znosić mój krzyż. I znowu ścisnęło się serduszko biednéj sierocie, która wraz z matką straciła wszystkich na świecie — lecz po chwili rzuciła się na kolana przed obraz Matki Boskiéj, i w szczeréj a świę

téj modlitwie znalazła jedyną a najlepszą ulgę w swem strapieniu. Był to wtorek; więc czwarty dzień po owéj jeneralnéj konferencyi w Grojówce. Gdy wstała pokrzepiona nieco na duchu, wyjrzała oknem na ulicę przedmieścia i ujrzała idącego ku jéj mieszkaniu księdza Filipa, którego mile widziała zawsze.

Ksiądz Filip, Kapucyn, kwestarz, był dobrym poufnym znajomym w Grojówce. Ztamtąd właśnie powraca, i przywozi jéj list — mający, jak sądził pan Srebnicki, stanowić o jéj losie. Wybiegła ku drzwiom na powitanie jegomości, gdy ten jéj zaraz przy wstępie okazał pismo wuja.

— Z Grojówki zawołała uradowana Zosia — od wuja a cóż tam słychać?

— Oj dobrze, dobrze, mówił śmiejąc się Kapucyn uciecha, zabawa, tańce i wesele. Ale już nie było przy nim Zosi, kiedy tych ostatnich słów domawiał. Zosia nie należała do tych ludzi, którzy z listem, choćby od najdroższéj osoby, umieją chodzić i tydzień, nie mając ciekawości zajrzeć, co tam w nim napisano. Jeżeli bowiem żadnéj wady nie przypisujemy téj ładnéj i dobréj brunetce, to musimy powiedzieć, że była ciekawą, co pono na rachunek wad nie liczy się dzisiaj kobietom. Ksiądz Filip poszedł do państwa Kińskich. Zosia czytała list. Ucieszyła ją wiadomość kuligu, w którym jéj wujaszek stylem 17go wieku nakreślił niemal że wyraźnie *sentyment IMci pana Sokołowskiego, strzelistemi affekty do niéj pałający* — najprzód zarumieniwszy się, potem zadumawszy — tupnęła wreszcie nóżką i rzekła:

— Tak! — Dobrze! Zrobię ofiarę, ale tą ofiarą dokonam mojéj zemsty. Może będzie żałował (ta myśl jasno się tłumaczy; wszak miłość własna musi robić to przypuszczenie), ale wtedy będzie za późno. Zresztą i Nufcio nie brzydki, i dobrze ułożony. Ha! jakiż to będzie tryumf dla mnie.

Tu musimy dołożyć na wyjaśnienie tych słów, że one nie ze złości, nie z gniewu pochodziły, lecz miały źródło w rozpaczy niewywzajemnionego uczucia panny 23 lat liczącéj, a przytem pięknéj i przecież nie bez wszelkiego posagu. Jestto kryzys okropna, to przejście z młodéj epoki w tak zwaną *starość panny;* w tę, tak prześladowaną nielogiczność natury. Przecież ktoś starą pannę nazwał *szklanką drewnianą*. Nie dziwota, że każda obawia się wstępu w ten zawód prześladowania, w tę okropną walkę bez końca! Nie długo więc rozmyśliwała się Zosia nad przyjęciem uczynionéj przez wujaszka propozycyi. Przyjęła ją, a przyjęła tem chętniéj że ten czyn podsycał jéj niestłumioną zemstę, jaką jéj urażona miłość pałała ku Kurnickiemu. Trochę zaalterowana przybiegła do pokoju ojca, którego już ks. Filip z całym planem zapoznał, i wypytywała się starannie jegomości o cały ten układ kuligu. W końcu jednak nie mogła wstrzymać się od zapytania go, czy pan Kurnicki powrócił z Warszawy, czy... nie zaszła zmiana w miasteczku K.

— A powrócił, mówił Jegomość zawsze się uśmiechający, głaskając swoję brodę; ale jak słychać z wyprawy jego nic.

— A po cóż jeździł, zagadnął rozparty w wygodnem krześle p. Kiński (Jegomość 48 lat liczący, siwawy, z bródką i wąsikiem napoleońskim).

— Podobno w konkury.

— I nie masz to w okolicy stósownéj dla niego partyi, mówił ojciec Zosi, widać naumyślnie wyciągając z księdza słówka, charakteryzujące zły umysł Kurnickiego, aby je córeczka słysząc, tem więcéj nabrała ku niemu odrazy.

— Ej — Panie; co tam jemu w głowie. Majątek, to u niego grunt. W ogóle cała nasza młodzież dziś taka. Mało bardzo dziś wzorowych chłopców.

— Dla tego też, przerwał Kiński, gdy się który zdarzy poczciwy, nie należy nim gardzić. Chwytać, chwytać co żywo. Widocznie te słowa były do Zosi wymierzone. Zapłoniła się biedaczka, i nie chcąc więcéj słuchać podobnéj rozmowy, pożegnała ojca i księdza, ostatniemu podziękowawszy za list bardzo, jak mówiła, przyjemny.

Powróciła do swojego pokoiku, zaczęła marzyć i dumać; a kiedy po modlitwie, która dziś dłużéj trwała niż zwykle, położyła się, nie zasnęła wprzódy dopóki niewymarzyła, nie wyidealizowała sobie wszystkich słów pisanego listu z Grojówki i powiedzianych księdza. A wr szcie zasnęła A gdy ostatnim jéj przedsennym obrazem był brunet Kurnicki, wiemy z pewnością, że pierwszem widziadłem jéj snu, był młodzieniec z Sokołówki. Kurnickiemu ani téj ani poprzedniej nocy nie śniło się o Zosi. Onufry Sokołowski jeszcze nie wiedział o potwarzy ciśniętéj na niego, jakoby zażądał jéj za pannę młodą.

Takie to gmatwaniny mieszczą się i w tak małéj powiastce; są to niby intrygi — tem więcéj godne przebaczenia, że nie fantastyczne, bo żywcem zdjęte z natury.

II.

Gwarno i robotno w Grojówce. Im bliżéj świętéj Julianny, tem boleśniejszem okiem spogląda pani Srebnicka w roztwarty kalendarz, leżący ciągle przed nią przy łóżku; bo jéj się zdaje, że jeszcze nic nie ma stósownego, czemby się można przed tylą gośćmi popisać.

Pani Srebnicka z swemi grymasami należała do rodzaju tych ludzi, którzy nie mogąc się niczem odznaczyć, pragną popisania się doborem potraw, bogactwem win i przesadą porządku domowego. Jak zaś po prawdziwie wysokich domach nie chodzi o to, i wszystko samo się jakoś do porządku i przepychu układa, tak u takich dorobkowiczów, kosztuje to okropnie dużo, ręczę że więcéj niż w najwybredniejszym domu pańskim, bo właśnie wielka zachodzi różnica między niemi, któréj napróżno silą się uniknąć przed światem. A nie lepiejby też to było żyć jak stan pozwala, i przyjmować jak się żyje? Nie milszą mi potrawą w domu takiego zaściankowego szaraka, ów ulubiony i tradycyonalny bigos, który lepiéj smakuje, bo od serca podany, aniżeli jakieś wymuszone, wychuchane robactwo na wzór wielkiego stołu, zastawione przedemną, jeżeli poznaję, że to nie traktament, ale przechwałki głupstwa i próżność domu, z którego wymieciono głupio-arystokratyczną szczotką, wraz z śmiećmi, jak mówią prostoty, owę staropolską gościnność? Tu mi przychodzi na myśl, że źle powiada przysłowie: *Czasy się zmieniają, i my zmieniamy się w nich* *), — lepiejby pono brzmiało: „*My zmieniamy się jak poczwarki, a czas i duch jego zmienia się codzień w nas.*“ Oj bzdurstwo opanowało wiele domów, któreby idąc śladem cnoty i prostoty świętą cieszyły się pogodą Chodzi o przepych, chodzi o blichtr, bodaj on nawet poczernił hańbą nam duszę.

W Grojówce próżność główną była charakterystyką życia domowego. Przyznać musimy, że pan Sylwester mniéj dbał o nią, a może i wcale nic nie dbał, ale co do pani Julii, ta żyć wcale bez niéj nie mogła. Pewniuteńko dostawała spazmów, kiedy nie czwórką jechała do kościoła. Migrena była gotową, gdy Karol starym

---

*) **Tempora mutantur, et nos mutamur in illis.**

biczem konie podcinał; i co chwila słabe jéj nerwy wystawione były na szwank, jeżeli na jotę chybiono w przekopiowanym z wielkiego świata porządku. Nauczyła się go pani Sylwestrowa długim pobytem w kąpielach, interesami w stolicy i to też były jedynie tanio kupione towary, które zawsze do Grojówki pakami z swoich wypraw zwoziła.

Widzieć ją też było na parę dni przed samym kuligiem, to się można było uśmiać do sytu. I o cóż jéj chodziło? O głupstwo. Kasia na pięć dni przed kuligiem przyjechała, lecz nie małą wyrządziła swojéj cioci zgryzotę, pokazując jéj swój kostium kuligowy w bardzo mizernym będący stanie.

— Ach mój Boże! zawołała okropnie skłopotana ciocia, że ten mój brat tak zawsze skąpić musi. I cóż to będzie? Gdzież się ty możesz w tem straszydle pokazać!! A cóżby to było śmiechu i *szykany*! Tego ostatniego wyrazu lubiła używać arystokratka z Grojówki, zdawało się jéj, iż tak mówiąc nabiera więcéj powagi i dobrego tonu.

— Proszę cioci, rzekła na to, trzepotając bez ustanku rękami Kasia, żeby ciocia wiedziała, jak prosiłam i całowałam tatunię...

— I znowu tatunię, przerwała z gniewem pani Srebnicka, kiedy się ty oduczysz tego prostactwa?

Nie lubiła słuchać takich wyrazów w ustach swojéj kuzynki.

— Prosiłam papy, mówiła zdekoncertowana dziewczyna, która znów sobie przypomniała przepisy ciotuni, gdyż ich przez dłuższy pobyt u ojca, wielce zacnego męża, zupełnie zapomniała; ale jaką burę dostałem, to aż strach moja ciociu.

I pocałowała ją w łapkę dostawszy znów naganę za wyrażenie „aż strach“.

— Trzeba radzić. Wołaj Dołka, niech siędzie na konia, ty pisz zaraz list do Zosi. On zawiezie go na pocztę jeszcze dziś. Proś Zosi, aby ci zupełnie nowe ubranie sprawiła, nowy stroik, i nową karazyjkę. Zrobiła Kasia jak ciocia kazała, i znowu oczekiwano powrotu posłańca.

— A czy wiesz Kasiu, z kim masz parę?

— Nie.

— Nie domyślasz się nawet?

— Nie.

— A cóż z ciebie za wieśniaczka. Pan Kurnicki stara się o twoją rękę. Najdaléj za dwa tygodnie będzie u was. Ale cóż może mu odmówisz?

Kasia zwiesiła głowę, ale po chwili, płonąc troszeczkę ze wstydu rzekła: „O co tylko ciocia mówi, jest mi najświętszym rozkazem. *Dyć wiem, że to zuch ten Kurnik.*

— Ach, cóż też ty mówisz? A cóż to za słowo „dyć“. Kasiu nie rób mi *szykany* na miłość boską; zabierz się do roboty. Oto rozmówki pani Bokiel, musisz je sobie odświerzyć, żeby lepiéj urywkowo rozmawiać a po francuzku, niż takie brednie smolić. A nie słyszysz ty, jak to Zosia pięknie mówi; widać teraz, że przejęła się naszą turniurą . . . Zaraz Kasiu do nauki. Na dzisiaj wyucz się powitania, o pogodzie i o balu. A ukłony jakże tam? Spróbujno.

Tu Kasia dygnęła jak chłopiec suwając nogą.

— A na rany Chrystusa! o Boże zlituj się — to i z tem będzie robota. I nastąpiła lekcya ukłonów, po któréj zrozpaczona ciotka coraz więcéj traciła nadziei, aby z téj grubéj i *ordynaryjnéj* nitki dojść do prawdziwego kłębka. Nazajutrz po wysłuchaniu rozmówek, których Kasia ze strachu jakoś się nie źle wyuczyła, pomimo że nie miała, jak ciocia utrzymuje, prawdziwéj wyższego tonu *pronuncyacyi*, postanowiono, aby poje-

chała w sąsiedztwo do państwa Sikorskich, ludzi na wielką stopę dom prowadzących, w celu otarcia się lepszego niby o ton, i zabawienia się z śliczną Olą, jedyną córką państwa Sikorskich. Zakonkludowano decyzyą, aby Kasia w reprezentacyi pani domu karetą pojechała. I pomimo, że to było śnieżno, i kołami niewygodnie, musiał przystać na wszystko pan domu, chodząc z zapuchłą od kłopotów głową, prawie że bez przytomności.

Kasia pojechała, ale źle była u Sikorskich przyjętą, bo Oleczka miała migrenę, więc była niedyspozytna; a państwa Sikorskich nie było w domu. Tak więc czas przeznaczony od cioci na wizytę spędziła w towarzystwie Joasi, panny służącéj, siedzącéj przy łóżku romantycznie cierpiącéj Oli. Cóż też to-bo była za dziewczyna!? Oko śliczne niebieskie pełne ognia i wyrazu, nosek nieco orlim łuczkiem zgięty! buzia różowa śliczna, czerstwa a przecież interesująca! A figurka! To panie malować!

Skoro biedny Świtowski miał to szczęście raz z panną Olą tańczyć, po tym wieczorze, powróciwszy do swéj komórki, napisał 210 wierszy sonetowych na pochwałę cudu jéj piękna. Ale przy tem wszystkiem co za główka! Ho ho! Iluż to już chłopców wywiodła ona w pole Ile męczeństw dopuściła się na biednych serduszkach, składających z siebie u jéj cudnéj nóżki ofiarę całopalenia. Nie była zaś bez serca. O! nie. Ona kochała. Ale kogo? To rzecz ciekawa. Nikt o tem nie wiedział, nikt; nawet największa jéj przyjaciołka Andzia Powozińska, bywająca bardzo często u niéj w gościnie. Lecz my wiemy, bo czegoż autorowie nie wiedzą?!... Otóż Ola kochała się jak z nut w panu Onufrym z Sokołówki „A cóż to za szczęśliwy młodzieniec! zawołają zapewne czytelniczki łaskawe, które do tego miejsca doczytały mojéj gawędki; ileż to sideł chce ułowić tego

kawalera? . . . .“ Tak, tak, bo też to i nie mała rybka! Wzrostu dobrego, dorodny, pięknym akcentem mówiący po francuzku, szlachcic, dziedzic bogatéj włości, wyśmienity tancerz, dowcipny, i mało mówiący. Ileż zalet? Nie dziwna więc, jeżeli ten brylant całego powiatu zwrócił na siebie oczy i uroczéj Oli. O nim też myślała, eżąc na migrenę cierpiąca Oleczka, i tylko o niego zapytała się, przy niéj siedzącéj Kasi; — I czy wiesz pewno Kasiu, że pan Onufry panem młodym?

— Wiem, bo mi ciocia pod sekretem o tem powiedziała.

— A Zosia przyjechała?

— Jutro przyjeżdża.

— Proszę cię donieś mi odrazu, jak Zosia przyjedzie, mam wiele z nią do mówienia. I zmęczona tyloma słowami wycedzonemi od niechcenia z koralowych usteczek, zwiesiła znów główkę na poduszkę, i oddychając mocniéj przez chwilę, zamilkła.

Unudzony trzpiot, Kasia, nie mogąc się przed nikim z swoją zuchowatością popisywać, pożegnała wreszcie Olę, i życząc najprędszego wyzdrowienia, odjechała z sąsiedztwa. W drodze do Grojówki postanowiła sobie dla swojèj zabawki rozbałamucić i tak już rozbałamuconego w niéj Świtowskiego, nie przewidując wcale do czego takie złośliwe zasadzki na młodą i pełną czucia duszę, doprowadzić mogą. Powróciwszy zaczęła wykonanie swojego machiawelizmu w ten sens:

— Panie Świtowski, wołała biegnąc ku drzwiom jego pokoiku. Jesteś pan u siebie? — Wyszedł, albo wyskoczył na te słowa zarumieniony jak cynober, poeta, i stanąwszy we drzwiach, skłonił się z należytem uszanowaniem.

— Jakże panu na imię, panie profesorze?

— Andrzéj, łaskawa pani, rzekł drżący z radości kochanek.

— Otóż mój panie Andrzeju; tak panu mówić będę, bo to lepiéj po imieniu dodała z filuterną naiwnością psotnica, otóż mój panie Andrzeju, powiedz mi pan czy nie wiesz o powodzie słabości Oli?

— Nie wiedziałem, że jest słabą, odrzekł zdziwiony tem zapytaniem.

— Więc ona pana *już* nie obchodzi? rzekła, dobitnie to słówko *już*, wymawiając.

— Alboż mię kiedy obchodziła. Dziwi mię, że pani właśnie o tem mi mówisz. Akcent intonacyi padł na *Pani.*

— Ja, bo widzisz pan, niby udając zakłopotanie, ja bo tak domyślałam się; — bo to te wiersze, które mi Józio dał do czytania, o téj miłości . . .

— Czy być może! zawołał z oburzeniem poeta. Ten chłopiec mię do ostateczności przywiedzie. — Więc pani je czytałaś?

— Czytałam i wnoszę, że taką gorącą miłość obudzić mogła tylko Ola...

— Tylko... rzekł już zbliżając się do szczerości. A czy pani uwierzysz, iż te wiersze natchnęła inna zupełnie osoba? O! zupełnie inna! mówił z wzrastającym zapałem.

— Nie chcę wiedzieć kto; cieszę się, że nie ona; bo by mi było bardzo żal ciebie, panie Andrzeju, gdyż wiem, że panna Ola nie umiałaby twoich uczuć ocenić...

— Pani je tem słowem oceniasz! zawołał w niebacznem uniesieniu szaleniec; a wtedy Kasia zmiarkowawszy się, że za daleko rzeczy poszły, odwróciła się od niego, i niby słysząc wezwanie cioci, skłoniła się kokieteryjnie poecie, i wybiegła rączym skokiem ze sali.

Stał jeszcze chwilę młody fantasta uganiając westchnieniami powietrze wzburzone jéj szybkiem biegiem, a założywszy ręce jak do modlitwy, pełen wiary, natchnienia i zapału, zawołał: Boże! Ona mię kocha!...

Tegoż wieczora był w miasteczku K. Samowicz dowiedział się o wszystkiem, a i Szmul Rabiś pewnie się czegoś domyślał, skoro na uciechę cztery butelki wina musiał przynieść na rachunek pana guwernera.

Przyjechała nareszcie i Zosia. Z nią kilka osób zaproszonych z Krakowa, krewnych pana Srebnickiego. Na widok swéj siostrzenicy pan Srebnicki rozpogodził czoło, wszystkie trudy które podejmował, a które go ku ziemi swoim ciężarem cisnęły, zdawały się mu niczem, bo przecież to wszystko dla Zosi. Pani Sylwestrowa pochwaliła wszystko, co tylko Zosia przywiozła. Bo i nieżałowała expensy. W liście do pana Kińskiego wyraził bowiem wujaszek: „Nie żałuj pieniędzy, bo nie nadaremno; podobna partya nie trafia się dzisiaj tak łatwo.“ Stósownie też do téj recepty posprawiano najwytworniejsze kostiumy, a cała jéj na ten kulig garderoba kosztowała podobno 900 złp. Trochę tylko krzywem okiem patrzyła na te stroje Zosienki ciotunia, widząc już swym wieszczo intryganckim wźrokiem hołdy i uszanowania, które ona wszystkim wydzierać będzie. A kiedy Kasi nawet na płacz się zbierało z zazdrości, że daleko lichszy będzie miała kostium,

— Ale nie bój się Kasiu, rzekła jéj na ucho w największéj tajemnicy ciocia, ty nie będziesz tak bogato ubraną, ale daleko ładniejszą za to jesteś.

— Co też ciotunia mówi, rzekła ucieszona a zatem utulona w żalu siostrzenica, i ogromny całus zapieczętował tę wielką tajemnicę krwi. Co to może zazdrość?

Jak w młynie uwijano się w Grojówce. Lokai poubierano w liberyę; Dołkowi sprawiono granatowy frak z żół-

temi guzikami, który tenże, natychmiast wdziawszy, aby się pannie Zuzannie pochwalić, na samym przodzie poplamił. Salony przyozdobiono cudownie. Wszystko według najlepszego gustu. Muzykę zamówiono z Krakowa. Wyrachowano wszystkich gości ze sto razy; i dniem wprzódy t. j. w wigilią świętéj Julianny wszystko już było gotowe. Odbywano tylko próby strojów i tańców. (Kasia miała odpisanego lanciera). A ciocia z Kasią powtarzała rozmówki i egzaminowała ukłony i tańce i ruchy. A cóż Zosia? Otóż tedy Zosia przyjechawszy do Grojówki, miasto wytchnienia, jakiego niegdyś każdą razą doznawała, po miejskich wrzawach i domowych troskach, uczuła się bardziéj niespokojną aniżeli kiedykolwiek. Bo dwie walki miała do stoczenia w téj tak blisko już będącéj uroczystości. Ile razy w jéj myśli Kurnicki przesunął się z swoją lodowatą piersią, wnet uczuła dreszcz namiętnéj zemsty, którego ją nabawiało samolubne przeczucie podbicia i zawojowania bogatego rycerza z Sokołówki. Lecz ona niedbała na majątek. Ta okoliczność będąca główną pobudką dla wujaszka do całéj kabały, nie dawała żadnego blasku jéj widokowi. Jéj całem szczęściem była zemsta. Téj pragnęła, bo tym sposobem sądziła, że upokorzy niewdzięczną skałę — zowiąc tak zawsze pana konsyliarza Kurnickiego. Co więcéj jeszcze. Wnikając w najskrytsze tajniki jéj serca, wynajdujemy tam jeszcze jeden dowód poczciwości i uczucia. Była to myśl nadziei. Zofia myślała, że w ten sposób upokorzony Kurnicki, żałować będzie swojéj przeszłości; a kiedy przypuszczała daléj, że dojrzy nawet łzę żalu w jego pięknych błękitnych oczach, cieszyła się szczęściem nie do opisania, że w jéj rękach zostawać będzie wieniec nagrody tego żalu. Cieszyła się, bo wierzyła, że od niéj zawisłym będzie jego spokój i szczęście, którémi go obdarzyć pragnęła. Biedna!

Nadszedł kulig. Dzień świętéj Julianny był ślicznym; od rana był ruch uroczysty w Grojówce. O 12 śniadanie sute. Gości dość, bo już wiele z dalszych okolic pozjeżdżało się osób. Wszyscy byli w najlepszym humorze, tylko jegomość pan Sylwester trochę zasępiony jakiemiś nowinami nie bardzo pomyślnemi (podobno papiery spaść miały znacznie....), a panna Zofia smutna, jak na pogrzebie. Pani domu nie posiadała się z radości, bo wszystko było podług gustu; Kasia coraz dowcipniejsza, nie robiła jéj żadnéj szykany. Czekano gości. Chybiono godzinę wyrachowaną. O 6éj miał zacząć się kulig; o 7éj jeszcze głucho było w Grojówce. Dopiero coś o 8éj usłyszano strzelanie batów, muzykę i dźwięk sanek. Jaś zakrzyknął najdonośniéj, że jadą z kuligiem! i za chwilę roztwarto wszystkie sale — światła ukazały bogato przystrojone ozdoby. Zaczęła się ceremonia. Więc pan starosta w suty polski kontusz przystrojony, szukać zaczyna swojéj damy, która na starościnę przeznaczoną była. Damy, którą być miała pani Powozińska burmistrzowa, nie ma! Dziarska mina starosty, (doktora z Kijowa, a dawnego znajomego pana Srebnickiego) nabiera coraz więcéj ognia; gniew jego zapala się coraz mocniéj, a w tem pani Sikorska zapewne najsuciéj, w stroju matrony z XVIIIgo wieku przybrana podsuwa się jakoś nieznacznie, daje do zrozumienia chęć zostania starościną — i, nie wiele myślący Różnicki bierze ją za rękę i prosi do tańca. Tak zaczął się kulig. Różnie a przeróżnie ludzie o tem mówili. Na zdaniu satyrycznem pani Powozińskiéj polegać w tym względzie nie możemy, bo ona była, i w rzeczy saméj słusznie, obrażoną; lecz zbijając złośliwe żarty i niestósowne dowcipy, o jakichś miłośnych stosunkach matki ślicznéj Oli z panem starostą, o jéj kokieteryjnéj manii podobania sobie w młodych a przystojnych brunetach — słowem autorskiéj powagi, powiadamy, że

musiało być w księdze przeznaczenia od Abrahama może tak napisano — aby pani Sikorska z panem Różnickim rej na tym kuligu wiodła, i stało się, jako napisano jest, znalazł swój swego. Po tem tedy nastąpiły oracye organisty, i obierano pary. Panną młodą była Zosia, a panem młodym dostojny młodzieniec z Sokołówki. Jak zaś już z samego początku rozpoczęła się ta uroczystość pod złą wróżbą, tak coraz daléj wydarzały się różne drobne na pozór okoliczności, psujące i tak nieharmonijną całość zabawy. I tak np. wielu krakowiaków nie miało pary, ów był niezadowolniony ze swojéj, ów żałował kosztu na ubranie łożonego, widząc innych możniejszych, a przecież ladajako ubranych — tamta wzdychała za swoim, ta zazdrościła szczęścia swojéj przyjaciołce. Przeszumiało to jednak po krótce, muzyka dodała ochoty, gospodarstwo, chociaż nastrojoną wesołością, zapobiegali niesnaskom i jakoś to już szło, polonez rozpoczął zabawę. Biedny Świtowski siedział sobie na uboczu, pożerając duszą, przez oczy mu połyskującą, tancerkę Kurnickiego, którą była Kasia, i robił swoje spostrzeżenia nad szczęściem téj ziemi, na któréj mało bardzo zważają na takich, jakim on jest, choć może tacy więcéj przyczyniają się do dobra ogółu. Podczas krakowiaka, którego muzyka z życiem i ochoczo wycinała, słychać było rozmaite piosnki, mniéj więcéj znane każdemu, a wszystkim przewodniczyć musiał pan Onufry, który pocił się nad wygłoszeniem, z trudnością wyuczonych zwrotek. Z pomiędzy tych spominam tu tylko jednę, którą pan młody śpiewał do panny Zofii; była taka:

Najpiękniejsze słonko, wtenczas gdy zachodzi,
Po niem żal największy na sercu się rodzi.
Najpiękniejsze szczęście gdy już mdławo tleje
Najkrwawszy żal w sercu, gdy traci nadzieję.

Okropnie podobały się te wiersze, które przecież nie wypłynęły z serca pana ze Sokołówki ale z pod pióra pana Andrzeja Świtowskiego z tą tylko różnicą uczucia, że w oryginale żyło ono marzeniem zakochanego poety w Kasi, w kopii zaś chłódło sztucznem wyuczeniem się najniewłaściwszéj roli aktora. Podczas tych śpiewów i tańców, które z początku szły dość z wielkiem życiem, odbywały się różne sceny na teatrze ukuligowanéj Grojówki. W sali jadalnéj zebrało się już kilka krakowiaków zmęczonych okropnie tańcem. Już im się tańczyć więcéj nie chciało. Byli to rycerze zielonego pola. U nich tańce i towarzystwo kobiece były próżnością nad próżnościami. Marnić nie lubili czasu. Używać go umieli kosztownie. Był między niemi pan Kurnicki, pan M., pan B., pan D., i różni figuranci małą mający rolę w téj komedyi. Ci oglądali się za stolikami, które też uśmiechały się do nich nowem zielonem suknem, więc nową szczęścia nadzieją. Przybliżali się do nich w chwili, aż wreszcie zdobywszy usiedli, i bawili się ochoczo, *jak na kuligu!* W salonie tańcującym potworzyły się grupy. Tam oto pan młody usiadł obok panny młodéj.

— Pan pozwoli, mówiła oddychając z utrudzenia po tańcu, i chłodząc gorącą twarz wachlarzem Zosia, — zapytać się o wytłómaczenie piosnki, która tak wszystkim się spodobała?

— Bagatela, odrzekł obojętnie pan młody, co z serca płynie, to najlepsze i najszczersze.

— A czemuż już wątpić, tracić nadzieję?

— Pani przyznasz, że człowiek dużo musi cierpieć.

— Pan cierpisz? I cóż pan np. dziś cierpisz; czy nie wszystko dzieje się podług pana woli? to mówiąc schyliła nieco oczy, a wtedy dojrzała wesołe grono wujaszka, pana S., i pana Powozińskiego, ciągnące *par force* pana Kurnickiego, aby do swojéj damy przemawiał.

Biedny, ile on cierpiał w téj miłości? Zgrzytnęła zębami pani Srebnicka widząc co się dzieje, ale umiała jeszcze tyle panować nad sobą, aby nie dać uczuć nikomu swojego gniewu.

— Tak pani, odrzekł na te słowa pan Onufry, to prawda — lecz kiedyż stanie się to, czegobym całą duszą pragnął?

— Nie rozumię pana. Nie wiem o co panu chodzi?

— Czyż pani nie wiesz, że każdy pragnie szczęścia i spokoju?

— Przetóż i pan zapewnie?

— A mojem szczęściem... Zosia nic nie odpowiedziała. Biedna gdyby wiedziała, jaką z nią grano komedyę! — Zagrano, puszczono się do tańca. Właśnie zaś wtedy gdy Zosia powstawała do pana Onufrego, usłyszała za sobą przeraźliwe piśnięcie; zwróciła głowę i dostrzegła, że to była ciocia do ostatniego stopnia rozgniewana na pana Kurnickiego, że tenże sobie z jéj Kasi żartuje, która w okropnych męcząc się kolorach, nie mogła sobie dać rady w wymówieniu jakiegoś frazesu francuzkiego, nie mogąc sobie ani rusz go przypomnąć. Pan Kurnicki nie wiedział jak jéj dopomódz, bo sam także uczył się słówek i rozmówek — a pani Sylwestrowa znieść wstydu i szykany na jaką ją własna krew naraża.

Kiedy tańczą, pozwólmy sobie tymczasem rzucić parę rysów usposobień osób w Grojówce teraz zostających.

Stanisław Pubiłło, Litwin, szlachcic, mieszkał w sąsiedztwie Sokołówki. Był to wierutny wietrznik, kpiący i drwiący sobie z całego świata, a zatem i z samego siebie. Ten niecierpiał Srebnickich, a to z różnych jakichś tajemniczych powodów; przyjął zaproszenie razem z Onufrym, chcąc sobie nadrwić z dorobkowiczów do woli. Tego mu nikt nie pochwalił. On to wyuczył całéj roli Sokołowskiego, którą tenże podjął się odegrać z tym atoli warunkiem, jeżeli nie długo trwać będzie.

Żal mu też może było i dziewczyny, bo nie możemy mu znowu zupełnie serca odmówić. Pubiłło przebrany za żyda, różne nieprzyzwoite nawet piosnki wyśpiewywał, czem także psuł całą zabawę. Nie miał damy, bo jéj wcale nie szukał, wszędzie zajrzał, każdemu ostrem słówkiem dociął, ten go nagrodził uśmiechem, tamten zaś pogardą i szyderstwem. Hipolit W. był w parze z Andzią Powozińską, która zapewne jedyna była ze swojéj pary zadowolnioną. Hipolit znów, równie wesoły jak Pubiłło, był dowcipniejszym od niego, i nazywano go dowcipnisiem po wszystkich domach. Trzpiot, hulak i lekkomyślny — ale nie złośliwy, nikomu nie wszedł w drogę. Błaznował tylko za wiele, w czem jednak nikomu bardziéj, jak samemu sobie szkodził. Rola jego życia była bardzo jednostajną. Żył gdy błaznował; błaznował, kiedy miał co jeść i pić.

Przeciwnie zaś Andzi przyjaciołka Ola, równie może kosztownie jak Zosia ubrana, była w najgorszym humorze; zazdrościła bowiem szczęścia Zosi, o któréj pewną była, że jéj wydrze cel życia i marzeń jéj wszystkich. Jéj tancerzem był sztywny, wychuchany Alfons, doktor obojga praw z Krakowa, nader uczony i oczytany, nudzący ją bezustannie popisywaniem się z swoją erudycyą. Reszta par, których było do 20, była bardzo podrzędnemi rolami oznaczoną. Szkoda wymawiać ich litery.

W ogóle więc widzimy, że osoby na pierwszym planie sceny Grojowickiéj były niezgodne ze sobą, a zatem nie mogły zabawy nastroić, do téj koniecznéj harmonii, bez któréj najbogatsze i najmędrsze towarzystwo chwieje się, ziewa i — zasypia.

Pubiłło irytował wszystkich; jego niezręczne wierszyki, młotem żółci ukute, zdradzając brak wszelkiego wychowania, obrażały dom i jego państwo. Szczególniéj też jedna zwrotka wyraźnie do Srebnickiego wystósowana

Srebrny księżyc, srebrna góra, i wszystko srebrzyste —
Daléj chłopcy kulig idzie — rosół i pieczyste,

była kością w gardle i solą w oczach gospodarza. Pobiegł więc sam pierwszy raz może w szczerym sentymencie do Świtowskiego, prosząc go, aby tenże zrobił na prędce jakie wierszyki karcące ten żart Pubiłły. Lecz zrozpaczony poeta nie pomógł mu nic w tym względzie. Pobiegł więc do Hipolita, lecz ten swoją Andzią zajęty, lubo go zbył obiecanką pomsty na Pubille, niedotrzymał obietnicy. Cóż tu robić? Pubiłło przyjaciel Sokołowskiego, nie można mu robić impertynencyi. Ha! trzeba przeoczyć. I przeoczył. Sokołowski zaś znowu przechodził się z swoją panną młodą po salonie.

— Jak się pani podoba pan Kurnicki, zapytał się jéj, już zakończając dramatyczną stronę swéj komedyi.

— Nie znam go.

— Potrzebaż znać, aby sobie upodobać w jakim przystojnym młodzieńcu?

— Prawdziwie nie wiem, do czego zmierzają te słowa, i ten cały zwrot pana.

— Oj tak. Wieści, różne wieści. Pani darujesz, że licząc wiele na dobroć jéj serca, i zwykłe jéj pobłażanie, ośmieliłem się może wedrzeć w jéj tajemnice.

— Tajemnice? zapytała się seryo Zofia, a ogień gniewu błysnął z jéj oczów na Onufrego. Pan żartujesz.

— Nie wiem, odrzekł z zimną krwią na to, czy żartem można wspominać rzeczy tyczące się najtkliwszéj strony życia.

— Pan nadzwyczaj zagadkowy. Nie rozumię pana.

— Chciałem mówić, że pewno igraszki nie wolno robić z tego, co jest przedmiotem uczuć naszych.

— Igraszki? Sądzę, że tu wcale o tem nie powinno być mowy.

— A przecież pani nie odpowiedziała mi wcale na moje zapytanie względem pana Kurnickiego. Ręczę pani, żem słyszał, iż on jest bardzo godny mężczyzna.....

— Przepraszam pana, rzekła na te słowa, do ostatniego oburzona tonem i rozmową Onufrego, i wysunąwszy rękę swoję z jego ramienia, uszła do gotowalni cioci.

— Galilaee vicisti! zakrzyknął Onufry, obrócił się na korku bucika, i wybiegł do kart świszcząc jakąś piosnkę pod nosem.

— A witajże witaj miły hospodynie, zawołało całe grono szulerów, znających geniusz karciany Onufrego, i dziwiących się, że go *tak* długo śród nich widać nie było.

— Rozbieramy się. Nowa pula. Albo preferansa. Co chcesz. Gra idzie en gros! Vivat Onufry! — To ożywienie opryszków przybyciem ich herszta było tak huczne, iż pan Srebnicki przybiegł ku ich gronu z ciekawości, co się tam dzieje.

— Wina! panie gospodarzu, zawołał jeden z bezczelniejszych — wypijemy zdrowie naszego dowódzcy! — To mówiąc sadzał ulubieńca swego na pierwszem miejscu, który z wszelkim lodem powagi szulera zabrał się *con amore* do romansów ale z malowanemi damami. W tem był gienialnym. Podano wina na rozkaz gospodarza; ten zaś pospieszył do Zosi, któréj w płaczu utulić nie mogła pani Srebnicka.

— Co się stało dla Boga? wołał wbiegając do gotowalni.

— Słabo jéj — nie może tańczyć, mówiła cicho pani Srebnicka, dorozumiewająca się wszystkiego, i chcąca tym sposobem usunąć choć troszkę wstydu nagradzającego podlą intrygę ich domu, któréj ofiarą padło to poczciwe stworzenie.

— Nic mi, nic, drogi wuju. Lecz gdyby były zaprzężone konie, ja natychmiast pojechałabym do domu. Zaczęto debatować, radzić, kombinować, i rada ta trwała z pół godziny.

Tymczasem w salonie tańczono. Zabawa szła dość żywo.

Ola przyświecała wszystkim. Jéj przebiegłe oko wyczytało całą intrygę z twarzy odchodzącéj Zosi. Cieszyło ją jéj nieszczęście. Tryumfowała za nią. Kasia zaś, nie mówiąc już po francuzku, lecz zupełnie naturalnie bawiąc się z Kurnickim, przechodząc z nim po sali, koło wzdychającego za nią Świtowskiego, niby w dalszym ciągu roli, skinęła na niego i rzekła: Panie Andrzeju czemu pan nie tańczy?

— Pani — mnie inny taniec gra w sercu.

— Chciała się Kasia roześmiać, ale wspomniała sobie swoją rolę. Otóż ja panu poradzę. Idź pan do Zosi, mówiła to bardzo poufale, i proś ją pan do tańca, bo...

— Bo co? zapytał się ciekawie.

— Późniéj powiem, teraz mię pan usłuchaj.

— Słucham zakrzyknął poeta, i z telegraficzną szybkością pobiegł wyszukać panny Zofii. Biegnąc spotkał pana Srebnickiego, powiedział mu, że się zemści na Pubille, a odebrawszy przyjacielski uścisk ręki, ośmielił się nim do zapytania o Zosię.

— Chciałbym z nią tańczyć, mówił coraz śmielszy.

— To pan chodź. To mówiąc wziął go pod ramię i poprowadził do Zosi przedstawiając jéj nowego tancerza. Nie wiem jaka przeszła kryzys w życiu Zosi przez czas walnéj narady, dość że ujrzawszy Świtowskiego, porwała go z zaufaniem za rękę, bo go też i lubiła znając od dawna z Krakowa. Weszli oboje na salon — i, że grano właśnie mazura, puścili się w pierwszą parę. Ochoczo tańczył poeta, dużo życia i poezyi było w jego tańcu. A przyznać to można nawiasem że

jeżeli w tańcu jakim naszym jest poezya i sztuka, to pewno w uroczym mazurze.

Héj mazury, hejże ha!
Póki jeszcze dusza drga!

Zosia miała dużo do zniesienia z powodu igraszek i szyderstw oczów na nią zwróconych, lecz jakby zrezygnowana, nic sobie z tego nie robiła, poznać jednak chciał każdy, że chciała z Kurnickim rozmawiać.

Na drugiéj stronie karty nabierały życia coraz większego. Wino, którego gospodarz nie szczędził, płynąc strumieniami złocistemi porywało swemi falami zapału, zapalonych niem młodzieńców. Wrzawę z ich grona słychać było i pośród hucznéj muzyki w salonie. Sokołowski cały zatopiony w diabełku ani spomniał o pannie młodéj; a pan Srebnicki zrezygnowany rzekł na ucho wesołéj z czegoś żoneczce. Niech przynajmniéj powiedzą, że się najedli, napili i zabawili do woli.

— Ale ten Pubiłło? ta nieznośna kreatura, domówiła jejmiłość.

— Awanturnik. Teraz skoro już z Onufrym przepadło, mogę go troszkę ostrzéj pochwycić. A cóż Kasia?

— Głupia.

— Jak to?

— Gniewa mnie do ostatniego stopnia. Z tym Kurnickim za bardzo poufale sobie postępuje. Wiesz co? Lepiéj było Samowicza zaprosić, niż tego szaławiłę, receptę.

— I cóż on ci winien?

— Już to nie pamiętasz jak'eś go musiał sprowadzać z początku na salę?

— Ale bo to było nieporozumienie co do pary. Ktoś mu chciał Kasię odebrać.

— Tak, tak. On sobie za zbyt o téj Kasi dufa. I czy wiesz jak'em uspokoiła Zosię?

— No?

— Przyrzekłam jéj pomoc co do Kurnickiego.

— A to po co? Wszak'eś sama wprzódy uważała tę partyę za niestósowną.

— Tak, ale kiedy rzeczy taki obrot wzięły, zmienia się wszystko. A z resztą zrobiłam to tylko dla jéj uspokojenia.

Gdy tak rozmawiali, jakieś zamięszanie zaniepokoiło całe towarzystwo. Przyczyną do tego był Pubiłło, który Kurnickiego wyzwał na pojedynek. I byłoby może przyszło do bardzo przykréj katastrofy, gdyby nie prawdziwa troskliwość Srebnickiego o zachowanie każdemu należnego honoru, i zręczność pani gospodyni. Tym sposobem udało się odwrócić tę straszną burzę ciążącą nad Grojówką, o któréj jednak nie warto i mówić.

Hipolit także dostał dobrego nosa od Pubiłły, ale pamiętając na Andzię, któréj już prawdziwie się oświadczył, schował wszystko razem z jéj bukietem do kieszeni. Kasia tymczasem zajęta panem Kurnickim, rada, że się awantura szczęśliwie zakończyła, rozmawiała z nim o bardzo pięknych rzeczach. Lecz i na nią biedaczkę przyszła chwila odczarowania, gdy się stało to, co się stało, *a jak się stało opowiem:*

Rozmawiała z Kurnickim. A chociaż on już nieraz w obec niéj poziewał, nie zważała poczciwa na to; lecz kiedy siedząc wreszcie przy nim umilkła na chwilę, a on nic do niéj nie przemawiał, usłyszała taką rozmowę w obec niéj po cichu prowadzoną przez dwóch jakichś figurantów.

— Biedny Kurnicki, jak się poci, chciałby umknąć.

— Prosił mię, abym go zastąpił po kolacyi, bo nie myśli więcej słuchać wyuczonych rozmów swojéj tancerki.

— I cóż ty?

— Ha! dla niego to zrobię. Wiesz zresztą, że nie mam damy.

— Podoba ci się?

— Boże! dodał wzruszając ramionami.

To słysząc, ze złości aż pozieleniała dziewczyna, a obróciwszy się do Kurnickiego przerwała mu jego milczenie w ten sens:

— Pan jakoś słaby?

— O pani przecie odgadła. Nie śmiałem się jéj pierwszy z tem wydawać.

— Może pan potrzebuje spoczynku. Ja pana uwolnię od tańca.

— O pani, czyliż łaska i dobroć pani nie będzie za wielką.

— Bynajmniéj! Bąć pan o to spokojny. Wstała i wyszła.

— Gloria in excelsis Deo! zawołał konsyliarz zbliżając się do owych dwóch figurantów, którzy z tak dobrym skutkiem odegrali swoje role.

— Ach — oddycham. Przecieżem wolny!

Dano znak do wieczerzy. Godzina 1sza wybiła. Muzyka zagrała marsza, kawalerowie pozaprowadzali swoje damy do stołu. Kurnicki zgubił parę — ale podobno nie płakał. Nie wiadomo zresztą o tym szczególe z pewnością. Zasiedli wszyscy ochoczo. Wykwintne potrawy wszystkim smakowały. Jedzono, pito, co sił, śmiechu i krzyku było pełno. *Jak na kuligu!*

Kurnicki siedział obok Zosi. Na przeciwko téj zaś siedziała Ola, obok niéj Sokołowski. Ola, jak mówiliśmy wyżéj zawsze piękna, tego wieczora wyglądała bosko. Obojętny na takie rzeczy Onufry przecież uczuł w sobie coś, czego wytłómaczyć nie mógł od razu. Ale cokolwiek to było, wątpimy, aby to była miłość. Ola jednak cudów waleczności dokazywała swym wzrokiem. Była nawet przygotowaną do téj wiary, że Zosia zni-

knie z swoim powabem w obec niéj. Były to dwie prymadonny na jednéj scenie; wiadomo każdemu jak się lubiły między sobą? Bo zresztą, cóż bo za różnica? Ola miała lat 17 a Zosia 23. Ola 100,000, Zosia 15! Co się w jéj sercu działo? trudno opisać bez egzaltacyi, ale za to by wykryć uczucie Zosi trudno nie zapłakać nad biedaczką. Ona rozmawiała z Kurnickim. Ale każda taka rozmowa była dla niéj najdotkliwszym ciosem, ze wszystkich ciosów tego nieszczęśliwego kuligu. Oto np. próbka jéj rozmowy z tym, którego nad życie kochała.

— Pan byłeś niedawno w Warszawie?

— Byłem.

— Długoż pan bawił?

— Nie bardzo.

— A spomnienia pozostały jakie za stolicą?

— Doprawdy nie wiem.

— Przecież coś?

— Ot tak. Ale pani nic nie jé. I zamykał tym zwrotem rozmowę. Drugą razą:

— Pan zdajesz się tęsknić za Warszawą?

— Och!... ej tak.

— Szczęśliwyś pan.

— Nie wiem.

— Szczęśliwym jest każdy, kto pewien jest, iż jego westchnienia i w największém oddaleniu znajdują echo spółczucia.

— Och! jak pani pięknie mówi. Może pani pozwoli... i przysunął wtedy misternie przyrządzoną leguminę z galarety.

Biedna Zosia ile ona ucierpiała.

Świtowski zaś musiał robić wiersze na żądanie psotnicy Kasi do wszystkich osób i do wszystkich potraw, z czego znów był śmiech uroczysty na drugim końcu stoła.

O dalszéj wieczerzy, o potrawach smacznych, i równie smacznych dowcipach Hipolita i umizgach do Andzi, o zwycięztwie Oli dokonanem na p. Onufrym, który do rana tańczył z nią i nie grał wcale w karty — w ogóle o wszystkich równie ważnych jak te, któreśmy podali, szczegółach kuligu — nie warto mówić. Nie udało się i basta. Mówiono wprawdzie i dotąd jeszcze mówią po okolicy, że lat kilkanaście trzeba czekać na podobną uroczystość równie świetną i okazałą, że się ubawiono po królewsku — ale... któż o tem może z pewnością orzec?

Dotańczono do rana, a kiedy goście zaczęli się rozjeżdżać, z pomiędzy których jedna tylko Ola na laurach pojechała do domu, młodzież pozostała jeszcze w Grojówce, i dopiero na prawdę kuligować zaczęła. Wino i karty. Gra i wiwaty!

Dopiero też, kiedy kolejne zdrowia zaczęły okrążać grono kwiatu młodzieży i piosnki żwawe a stare zaczęły huczeć, więc:

Stoi kurnik za koleją
I patrzy się jak mu leją,
Z kielicha zawsze pełnego
Bo nasz srebnik warta tego.

i inne i tym podobne. Po takich zdrowiach krzyczano już a nie śpiewano:

Wypił — wypił, ani się zaksztusił
Widać, że z przyjaźni, nikt go nie przymusił.

A wreszcie, gdy już i głos omdlewał i nogi nie dotrzymały zaintonował pan Pubiłło donośnym głosem:

Jeszcze jedno zdrowie wypić należy się
Oto staropolskie Bracia: Kochajmy się!

A potem gdy i to wypito zdrowie, rozjechali się wszyscy — a Grojówka została osmutniała, osępiała — jak zalotna tanecznica po trzechdniowym balu.

Stracony koszt i mozół. Przynajmniéj, że byli tacy którzy *chwalili kulig w Grojówce.*

J. K. Rogala.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

KILKA UWAG

o artykułach zawartych

w pierwszym zeszycie przeglądu: Słowo.

Przed kilku miesiącami wychodzący w Petersburgu dziennik *Słowo* po wydanych piętnastu numerach zwinięty został wraz z przeglądem miesięcznym należącym do tegoż dziennika, który się w jednym tomie ukazał.

Niebadając przyczyn leżących po za obrębem pisma, które spowodowały jego zwinięcie — sam dziennik, z bardzo małą różnicą był tego odlewu co inne gazety warszawskie — a więc niegrzeszny samodzielnością widoków i kierunku; miał zaś tę dogodność, że co w warszawskich dziennikach nie mogło znaleść odgłosu dla względów miejscowych, tam znachodziło. Tym sposobem wiele spornych kwestyi i wiele nadużyć, mogło być przedyskutowanych i rozstrzygniętych na korzyć prawdy,

zawsze z pewną bezinteresownością, albowiem dziennik wychodzący w stolicy, wolniejszym był od nacisku publiczności prowincyonalnéj.

Podobny tedy organ pod zwykłą zostający kontrolą, wyświadczyć mógł rzetelne usługi, usposabiając opinię publiczną nietylko do zdrowego pojmowania swoich własnych interesów, ale i do pojmowania myśli i postanowień władzy, które choćby najzbawienniejsze, w skutek bezwładnéj bierności i w górze i na dole, nieznajdują w rzeczywistości żadnego zastósowania, lub też w najlepszym razie źle są zastósowane. Swiatło rozprowadzone przez pismo w tym duchu, nietylkoby objęło ale i podrzędniejsze organa władzy.

Można było spodziewać się że *Słowo* z postępem i wyrobieniem się, zajęłoby to wielce pożyteczne stanowisko dziennikarskie; zwłaszcza że nigdzie nieprzebijała w jego kolumnach namiętność opozycyi bezwzględnéj, która zazwyczaj tworzy się w organach pewnych stronnictw lub koteryi. Zresztą w warunkach w jakich *Słowo* istniało o podobnéj opozycyi niesposób było myśleć; zostawała więc tylko droga dodatnia, zasadzająca się na wyciąganiu wszelkich korzyści z sił wewnętrznego organizmu, i z prerogatyw służących obywatelstwu krajowemu. Oświecać o potrzebach miejscowych, podawać środki zaradźcze, spajać społeczeństwo myślą i interesami żywotnemi, a nadewszystko wpajać zasady porządku, uszanowania władzy, powinności obywatelskich — to było zadanie pisma, i ani wątpić że *Słowo* byłoby mu odpowiedziało w dalszym ciągu swego trwania. Lubo z kilkunastu numerów trudno tego pewnika wyciągnąć, jednakowoż znalazłyby się wyraźne wskazówki, mianowicie z tonu spokojnego wyrozumienia, z jakim dziennik był redagowany. Zamknięcie tego pisma, niewchodzę z jakich pobudek pozbawia zachodnie prowincye właściwego im organu, przez co zważając dzisiejszy ruch dziennikarski w Ro-

syi, dzieje się im widoczny uszczerbek, a i rząd również odjął sobie możność porównania objawów i dążeń starszéj cywilizacyi, co się w duchu tradycyi chrześciańskiéj ciągle rozwiją, z objawami ducha pism czysto rosyjskich, ze wstrętem odwracających oczy od swojéj przeszłości, lub szukających dla siebie kierunku w wiekach tak zamroczonych, że i najświeższą formułkę socyalną możnaby do nich przyczepić i dla najracyonalniejszych pojęć podstawę znaleść, co wszystko więcéj przewrotem, niż uregulowaniem stosunków zagraża.

Aczkolwiek te uwagi nasunęło wstrzymanie *Słowa*, jako dziennika, przekonanie o użyteczności tego pisma, wyczerpnąłem szczególniéj z dodatkowego tomu który zatrzymując tytuł: *Słowo*, jest rodzajem przeglądu literackiego. Zeszyt pierwszy, styczniowy, ukazał się w jednym tomie i wychodzić przestał, z prawdziwym żalem czytelników; miał bowiem zakrój na pismo odpowiadające swemu przeznaczeniu i potrzebom bieżącym, czem widocznie różnił się od Biblioteki i Teki, w których żywioł archeologiczny i specyalno-naukowy przemaga.

Dawno już rozstrzygnięto jakie są warunki podobnych przeglądów; przeto niekładziemy winy na pisma niemogące im odpowiedzieć dla ciążących ograniczeń, lecz tylko podnosimy te strony, co nadawały dodatkowi do Słowa prawdziwą wartość bieżącéj rzeczywistości.

Zastanawiając się bliżéj nad artykułami składającemi ten zeszyt, okaże się które artykuły były napisane na dobie, a które wchodziły w kategorye pism niezawisłych od miejsca, czasu i potrzeby.

Hetmańsiwo, przez Juliana Bartoszewicza rozpoczyna zeszyt. Jest to rozprawa historyczna wyświecająca początek i rozwinięcie się téj instytucyi w dawnéj rzeczypospolitéj. Autor opierając badania swoje na dawnych dyplomatach, zbija twierdzenie tak Niesieckiego, co utrzymuje iż hetmaństwo powstało za Zygmuntów Jagiel-

lonów, jak Maciejowskiego co stałemu hetmaństwu dopiero pod Zygmuntem Wazą początek naznacza. Zdaniem jego hetmaństwo, jako każda instytucya, tworzyła się nie nagle, improwizacyjnie, ale z potrzeby i z biegiem czasu; zamienia się zaś na stałe dopiero za Kazimierza Jagiellończyka i trwa do Zyg. Augusta. W ciągu tym jeden jest hetman wielki w Koronie i ma zastępcę — na Litwie z marszałkowstw powstają hetmaństwa na sposób polski — objawia się także popęd do hetmaństw prowincyonalnych: ruskiego, pruskiego, wielko i małopolskiego — Hetmaństwo ruskie, ściśle miejscowe przeżyło wszystkie prowincyonalne, i rozwija się w hetmaństwo koronne; lecz gdy sejm lubelski hetmaństw nieurządził, nikną takowe w r. 1569, wyjąwszy litewskich, które przetrwały te zmiany. Batory wznawia hetmaństwo wielkie — tworzy zaporozkie; — a ostatecznie Zygmunt III nadaje stałą organizacyę hetmaństwu wielkiemu i polnemu. Odtąd instytucya ta podług wyobrażeń panujących w rzeczypospolitéj miała być pośredniczącą między królem wyobrazicielem nieograniczonéj siły, a szlachtą wyobrazicielką nieograniczonéj wolności — tymczasem pośrednik ten niedawał żadnéj rękojmi, będąc sam szlachcicem najczęściéj trzymał ze szlachtą przeciw królowi, i łamał się majestat wolności z majestatem władzy. Dlatego też — trafnie powiada autor, w buławie zawarła się całkiem Polska nierządna, i kiedy Rzeczpospolita była na drodze reform, zabiło ją hetmaństwo występujące po raz ostatni w Targowicy.

Wielce to przyczyni się do objaśnienia naszéj historycznéj przeszłości, jeżeli zrozumiemy jaką doniosłość miały instytucye w narodzie i przez jakie przechodziły koleje; bez szczegółowych badań, najczęściéj pojęcia dzisiejsze stosujemy do rzeczy dawnych — i dawnego hetmana wyobrażamy sobie coś nakształt dzisiejszego feldmarszałka. Użyteczna ta praca pana p. Bartoszewicza, lubo niepo-

wiem żeby wyczerpnięta i jasno w każdym punkcie wyrażona, znalazła się bardzo dobrze w tem piśmie.

Wyjątek z pamiętników o Janie Śniadeckim p. Michała Balińskiego. Ustęp ten obejmuje szczegóły tyczące się życia i prac tego znakomitego męża od r. 1794-1803; a właśnie jest to chwila pobytu Śniadeckiego w Krakowie, niezmiernie ciekawa i rzucająca wiele światła na stan ówczesnéj instrukcyi w kraju. Po bitwie maciejowickiej widzimy naszego astronoma chroniącego się w gościnne progi Żywca, rezydencyi Wielopolskich i tam piszącego jedno z najlepszych swych dzieł: *Jeografią*. Zatopiony w téj wielkiéj i pięknéj pracy wolał uważać ziemię jako bryłę należącą do słońca, niż jako pole gdzie konał naród. Nauka osładzała nieszczęście. Wróciwszy do Krakowa zajął się interesami akademii jagiellońskiéj i obserwacyami astronomicznemi, które mu w świecie uczonym wielką sławę zjednały. Biograf jego podaje przypadek jaki się mu zdarzył: Obserwując od dawna planetę Ceres, zanurzony w téj mozolnéj pracy, postrzegł razu jednego w kwietniu 1802 r. nową zupełnie gwiazdkę nieznaną sobie, lecz nieufając własnym wiadomościom, zaczął powtarzać obserwacye najskrupulatniéj, nic o tem niewzmiankując w listach do sławnych astronomów Zacha i Triesneckera. Wszakże po kilkunastu obserwacyach przekonał się że to jest nowy, nieznany planeta. Zaraz napisał do Zacha z doniesieniem o tym wypadku, przyłączając zarazem swoje obserwacye, i gdy miał listy pieczętować, przyniesiono mu z poczty list Zacha z 9go kwietnia datowany, który go uwiadamiał, że Olbers odkrył nowego, a właśnie tego samego planetę i nazwał go Pallas. Śniadecki porównawszy przysłane sobie rachunki ze swojemi, znalazł że jego odkrycie było jednem i tem samem co odkrycie Olbersa. Pokazuje się jak szczęście potrzebne — bo niedosyć od-

krycie zrobić, ale trzeba się z jego ogłoszeniem pospieszyć, aby niebyć posądzonym o plagiat.

Cały ten ustęp z życia naszego astronoma wybornie skreślony, każe się spodziewać jak ważnym i zajmującym będzie ów żywot, który ma wyjść niebawem na widok publiczny.

Następuje *Fryderyk W.* szkic biograficzny przez Macaulaya, wszakże nie cały, dalszy ciąg miał być pomieszczony w następnych numerach. Wybór tego dziełka znakomitego historyka do przekładu, może się nazwać szczęśliwym, aczkolwiek krytycy niemieccy zarzucali Macauleyowi stronniczość i uprzedzenie względem pruskiego bohatyra; w naszem pojęciu przebija się w całym utworze czysta prawda, tylko z wyższego wyrzeczona stanowiska. Trudno bowiem w szczęśliwym tym wojowniku widzieć coś innego jak prostego najeźdzcę, który co słowo odwołując się do zasad honoru i filantropii, napada na Szląsk austryacki bez żadnego oznajmienia wojny, bez domagania się jakiegokolwiek wynagrodzenia. Zalawszy zaś Szląsk wojskami pisze do Maryi Teresy, że jeżli mu ustąpi tę prowincyę dobrowolnie, zyska w nim sprzymierzeńca przeciwko każdemu mocarstwu. — Tym krokiem zapala wojnę siedmioletnią w ciągu któréj przerzuca się co chwila od Austryi do Francyi, urywając gdzie można choćby swoich sprzymierzeńców i przyjaciół.

Jeżeli polityka Fryderyka była pogwałceniem wszelkich zasad i praw jakiemi się rządzą narody, to wewnętrzna administracya również była potworną i obrażającą wszelkie uczucia godności. „Najwyżsi urzędnicy pod jego rządami — powiada Macaulay — byli prostymi dependentami, i mniéj im okazywał ufności niż naczelnicy wydziałów okazują nieraz drobnym kancelistom. Był on swym własnym podskarbim, własnym naczelnym wodzem, intendentem robót publicznych, ministrem

handlu i sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i zagranicznych, własnym koniuszym, marszałkiem dworu i szambelanem... Niecierpiał on w swojem państwie niczyjéj woli, niczyjego rozumu, prócz własnéj woli i rozumu. Poprzestawał na takich powiernikach, którzy byli w stanie tłumaczyć i przepisywać, zdecyfrować jego bazgraninę i nadać urzędową formę jego treściwym *tak* i *nie*.“ Podobna absorbcya wszystkich sił materyalnych i duchowych narodu, takie paraliżowanie wszelkiéj samodzielności indywidualnéj, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem — z hołdowniczego księstwa, powstało pierwszego rzędu mocarstwo. Przy zakładaniu państw taka dyktatura bywa nieodzowną, i ludzie chętnie ją cierpią gwoli przyszłéj potęgi i znaczenia — lecz tam, gdzie niema potrzeb zdobywczych i gdzie organizm już ustalony, zbytnie ześrodkowanie władzy, nieprzynosi żadnéj innéj korzyści, krom zubożenia i zniedołężnienia. Rządzenie państwem, a exploatacya folwarków — nie jest jedno i to samo, tam na człowieka pierwszy wzgląd, w drugim idzie tylko o ziemię i o największą z niéj korzyść.

Rolnicze szkoły reformy w Belgii opisał K. Falewicz. Autor zwiedzając Belgię w r. 1857 w celu rolniczym, nieomieszkał poznać wzorowéj fermy w Ruysselede. Jest to zakład podobny jak nasz krakowski opuszczonych chłopców, stworzony niegdyś przez ś. p. Piotra Michałowskiego a dziś prowadzony tak wzorowo przez XX. Jozefitów, wszakże ferma w Ruysselede mimo że wałęsającą się i zepsutą dziatwę tak samo bierze w opiekę, to jeszcze daje jéj wychowanie praktyczne usposabiające na dobrych rolników i majtków. Uczący opis téj fermy mógłby i u nas znaleść zastósowanie. Niebyłoby to od rzeczy gdyby do téj szkoły agronomicznéj którą zamyśla u nas zakładać Towarzystwo rolnicze, znajdowali przystęp chłopcy zakładu krakowskiego, ci zwła-

szcza którzy moralnem usposobieniem i zdolnościami mogliby się kwalifikować do stanu rolniczego.

Następuje kilka poezyi Antoniego Czajkowskiego, Puzyniny i Syrokomli. Pierwszy napisał dwa wiersze do Wład. Wężyka i do Norwida; w ostatnim szczególniéj autor przebrał miarę powtarzając po parę razy: Orle Norwidzie! Tego rodzaju kądzidła bywają często szkodliwe dla tych, na których cześć są palone. W całym też wierszu znać przymus wysilenia się na szerokie obrazy, niby freski Corneliusa — lecz mimo przesady trudno dopatrzeć treści i natchnienia. Poezye Pujininy wiele mają niewieściego wdzięku i świeżości sercowéj.

Najwięcéj zaś dotykający kwestyi żywotnéj jest ustęp: *Czasopiśmiennictwo nasze.* Autor zastanowiwszy się ogólnie nad dziennikarstwem, a mianowicie nad dziennikarstwem francuzkiem i angielskiem, scharakteryzował jedno i drugie, powiadając że dziennikarstwo angielskie — to rachmistrz; francuzkie — to aktor, artysta. Wiemy jak podobne definicye bywają jednostronne — toż i niniejsza ma tę wadę. Dość na zbicie tego twierdzenia byłoby przytoczyć Uniwera, który „ani śmieszy, cieszy, ani rozczula grą swoją" tylko rzeczy które traktuje bierze bardzo na seryo, zbyt może seryo, jako ten co czuje grunt pod nogami, co ma przekonanie swojéj zasady i bezwzględnie wszystkie objawy życia politycznego i towarzyskiego nałamuje do niéj. Nie jest to więc artysta któremu idzie tylko o zrobienie pięknie brzmiącego artykułu o pozyskanie oklasku, ale o zdobycie stałego kierunku w myślach, piśmie i czynach, aby je parł ku jednemu celowi jaki sobie założył.

Wydawszy to zdanie o dziennikarstwie zagranicznem, autor nie podaje go za wzór dla naszego, nie lubi bowiem naśladownictwa — tę jednak wyciąga naukę, że

„pierwszą czasopiśmiennictwa każdego *zasadą*, winna być narodowość“.

Jeżeli dziennik ma być i jest organem kraju w którym wychodzi, już tem samem staje się tłumaczem uczuć i potrzeb jego mieszkańców — tak przynajmniéj brać to należy w ogólnem pojęciu — i w takim razie jest narodowym sam przez się; ale narodowość to wyraża tylko dokonany fakt, lub uczucie faktu nie zaś zasadę. Dla tego dziennik coby przyjmował za zasadę samą narodowość, a niemiał żadnéj zasady, ani religijnéj, ani moralnéj, ani politycznéj, byłby prawdziwą klęską spółeczeńską, najpowierzchowniejszym deklamatorom, któryby bardzo prędko wniósł najogromniejszy zamęt w pojęcia, i zatarł różnicę między dobrem a złem, prawdą a kłamstwem. — Autor z cierpką ironią potępił dziennikarstwo angielskie za to, że je widzi tak zmiennem, że co dziś ma za czarne, jutro białem nazywa, co dziś wrogiem jutro mu przyjacielem — jakaż temu przyczyna? jeżeli nie owa „pierwsza *zasada narodowości*“, którą o kilkadziesiąt wierszy niżéj tak uroczyście zaleca? Nie kupiectwo, przemysł, i kantor kompanii handlowéj jest źródłem owéj zmienności zasad i opinii w dziennikach, ale właśnie ta samolubna wyłączność interesów, która w Anglii jest najsilniejszym wyrazem narodowości. — Można się domyślać że piszącemu ten artykuł stał w oczach tylko obecny stan dziennikarstwa walczącego z trudnościami swojéj pozycyi, które to trudności najgłówniéj tkwią w niepodobieństwie stania się wiernym organem uczuć, interesów, i potrzeb publicznych — inaczéj bowiem niebyłby przepomniał o konieczności zasady, nadającéj czasopismom grunt stały i siłę. — W dalszym ciągu rozprawki robi autor przegląd dzienników warszawskich, wcale trafny — na Kronikę tylko powstaje, że porwana duchem epoki, pod nieba wynosi wszelkie zdobycze na drodze przemysłu i handlu. „Ga-

zeta warszawska i Codzienna — powiada on — wstrzymują się od apologii ale nic nie czynią, aby zdrową i sumienną krytyką podkopać i zniszczyć to co szkodliwe, a wznieść i utrzymać pożyteczne w tym względzie. Kronika zaś każdemu prędkiemu zarobkowaniu hołd składa, cyframi świetnych zysków połyska przed okiem publiczności, milcząc o tem jaką ceną okupują się one w teraźniejszości, i jaką nędzną przyszłość krajowi zgotować mogą." Daléj: Bezwzględny handel niema ojczyzny — dla społeczeństwa naszego niebezpiecznym wrogiem jest zarobkowanie — mamy przykład na frymarczącym Zachodzie (!) itd." Wyruszywszy z tymi aforyzmami przeciw handlowi, przemysłowi, zarobkowaniu, który tak bardzo ma ubożyć na duchu i obyczajach, sam się autor praktycznie dobił stawiąc za przykład frymarczący Zachód.—Argument ten w najnieszczęśliwszą godzinę powiedziany, kiedy wszystko daje mu zaprzeczenie! Weszło w modę po naszych pismach rzucać głosy przeciwne przemysłowi i handlowi — jak gdyby ten rodzaj pracy niedawał się połączyć z cnotami obywatelskiemi? jak gdyby obok rolnictwa niemogły kwitnąć fabryki, lub przedsiębiorstwa handlowe? — Skarżymy się na żydów że nam we wszystkie stosunki życia zaleźli, a sami niechcemy zająć się przemysłem i handlem, aby się od ich wpływów wyzwolić.

Poczciwa praca, czy w rzemiośle, przemyśle, czy handlu, zawsze ma cel szlachetny — obywatelski, bo się przyczynia do pomnożenia zamożności kraju — próżniactwo czy na roli, czy w kantorze kupieckim, zawsze prowadzi do znikczemnienia i biedy. Śmiesznie jest tedy ze strony przeciwników uderzać na pracę, jakiegokolwiek ona jest rodzaju. Wyjątkiem od téj zasady, możnaby zrobić jedną tylko grę giełdową zasługującą na potępienie, jak wszelka gra hazardowna; jest ona bowiem niczem innem tylko próżniactwem usiłującem

bez trudu przyjść do majątku — lecz u nas niema potrzeby zżymać się na ten rodzaj spekulantów, gdyż liczba ich tak szczupłą, że w obec ogółu należy do nieznacznych wyjątków. Dziwnie tedy brzmią po pismach czasowych głosy deklamatorów wymierzone przeciw przemysłowości i handlowi; zazwyczaj przybierają oni rolę duchowych rycerzy walczących z materyalizmem wieku i sypią pociski słów szumnych, a w gruncie pustych, które niewstrzymują bynajmniéj ducha czasu usiłującego praktycznie zastósowywać te wszystkie zdobycze jakie porobiła umiejętność na drodze odkryć uprzyjemniających i ułatwiających życie ludzkie. Zapominają oni że materyalizm jest dwojaki: jeden grubo-zmysłowy, zwierzęcy; drugi: duchowy, będący dziełem pracy intellektualnej — o ile pierwszy zasługuje na wzgardę, o tyle drugi, na szacunek, bo to nic innego tylko uduchowienie materyi — zadanie najwznioślejsze jakie wiek dzisiejszy stara się rozwiązać.

W dalszym toku rozprawki przebiega autor pisma czasowe warszawskie i przyznając dwóm innym pewne zalety, nieprzestaje następować na Kronikę za jéj dążności materyalne, w czem o tyle ma słuszność, o ile się w jéj kolumnach spotykają artykuły wprost przeciwnych dążeń. W ogóle rzecz ta napisana z energią, lecz że dotyka pewnych ważnych pytań z jednéj tylko strony, i to więcéj teoretycznie jak praktycznie, przeto nierzuca na przedmiot potrzebnego światła.

Kronika bieżącego piśmiennictwa art. Białeckiego podaje niektóre uwagi ogólnikowe i nieszkodliwe, odnoszące się do pism peryodycznych.

Najważniejszym z całego zeszytu artykułem jest bezwątpienia: *Rzut oka na główne literatury rosyjskiéj organa i stronnictwa* — napisał go Włodzimierz Spasowicz. Wyborny to artykuł prawdziwie przeglądowy; czytelnik znajdzie tu całość doskonale ujętą i w wybitnych ry-

sach przedstawioną, co jest największą zaletą pism téj kategoryi.

Wyczytujemy tu szczegóły malujące nadzwyczajny wzrost, a raczéj rozrost dziennikarstwa w Rosyi. Co chwila pojawia się nowy projekt zapowiadający coraz tańsze pismo, a chociaż wiele z nich pęka jak bańki mydlane, jednakowoż z końcem 1858 roku cyfra organów prasy peryodycznéj w Rosyi dochodziła liczby 250. — Widowisko to pstre, huczne, pełne dyssonansów, mimo tego dające oczywisty fakt zbudzonéj z długiego otrętwienia myśli, któréj rzucono do rozwiązania ważną kwestyę społeczną obejmującą w sobie los przyszłych pokoleń. — Na tle różnorodnych grup dziennikarskich i tych co wywieszają sztandary przekonań, i tych co mają na celu prostą spekulacyę, albowiem czytanie i w Rosyi stało się dzienną potrzebą — odrysuwują się dwa wprost przeciwne sobie stronnictwa: *Słowianofilów* i *zachodowców*, które nieustanny bój toczą ze sobą, bój przenoszący się nawet na pola nauki, sztuki i praktycznego życia. Bywają to nieskończone kłótnie o drobiazg archeologiczny, filozoficzną hipotezę, o dawno zapomniany jaki zwyczaj prawny, kłótnie dochodzące aż do osobistości — lecz pod kipiącym warem namiętnych wybuchów kryją się ogromne kwestye. Z tych zamąconych żywiołów słowianofilstwa i europeizmu wyrabia się myśl narodowa, świadomość indywidualności własnéj, poczuwanie się do odrębnego bytu. Dotąd od Piotra W. Rosya wciągała w siebie tylko pierwiastki obcéj cywilizacyi — naśladowała wszystko i wszystkich, słowem, co Zachód zdobył krwią i trudem wielu pokoleń, ona przyswajała sobie, lecz tylko w formach zewnętrznych. Owóż kierunek słowianofilski ma tę zasługę że wziął pod nóż krytyki istotną wartość reformy Piotra W. która przecięła wszelkie pasma tradycyi narodu, a natomiast: zaszczepiła wady dotychczas nieznane, zwolniła moc sta-

rego obyczaju, rozpasała namiętności, wyziębiła wiarę dawną, i nic organicznego niestworzywszy, a rozłechtawszy same zmysłowe instynkta przez zetknięcie z wyrafinowaną europejską cywilizacyą, puściła go samopas bez kompasu i rudla. Słowianofile oddziaływając na reformę, trwającą po dziś dzień, wpadają w inną ostateczność: ideałem ich jest przeszłość staromoskiewska pełna uroczych barw, jakich nigdy niemiała — wiara tam daleko głębsza i gorętsza niż w kościele rzymskim, w czynach sama cnota i heroizm — w domu i rodzinie sama miłość, a w gminie rosyjskiéj staréj jak świat, praktyczne urzeczywistnienie wszystkich teoryj socyalno-ekonomicznych. Sielankowe to zmanierowanie historyi z epoki mrocznych początków narodu używało i u nas kiedyś wziętości, ale na to tylko aby wymarzoną doskonałością ludowego życia pierwszych Słowian, chłostać dzisiejszy organizm społeczeństwa naszego, tak daleki od cudownéj równości i prostoty jaka miała panować pod berłem kruszwickiego kołodzieja i jego zacnéj Rzepichy. — Widać że Rosya teraz to przeżuwa, o czem u nas już zapomniano, a co chyba się plącze po strofkach poetycznych marzeń. Do zapalczywych deklamacyj wyborne to pole ta przedchrześciańska słowiańszczyzna — ale na nieszczęście zawsze zjawia się niedowiarek co oparty na badaniach historycznéj prawdy, porozgania te urojenia. Podobnież najznakomitszy z dzisiejszych historyków rosyjskich Sołowijew, pokazał dowodnie że w czasach przedpiotrowych było daleko gorzéj, że w sądach panowało przekupstwo, w duchowieństwie ciemnota zabobonna, u ludzi dzikość, na całem społeczeństwie piętno barbarzyństwa i niewoli. Cała budowa do szczętu przegniła i zepsuta. Na takie *dictum* słowianofile nuż cofać się coraz głębiéj i głębiéj w przeddziejowe, przedchrześciańskie pomroki i ztamtąd dopiero, z kolebki słowiańskiego ducha, wyprowadzać wszyst-

kie późniejsze dziejowe zjawiska, co im właśnie zyskało nazwę słowianofilów. Tymczasem sami Rosyanie, a szczególniéj uczony Sołowijów przyznają że tak zwana Wielko Rosya pierwotnie niebyła słowiańską, tylko sztucznym utworem powstałym przez zesłowiańszczenie uralskich plemion, jak Mordwa, Wes, Mera, Muroma — że serce słowiańszczyzny bijące nad Wisłą i Dnieprem posyłało na północ pionierów swéj cywilizacyi. — Rodak nasz p. Duchiński rozwinął tę myśl w osobnem dziełku i poparł źródłowemi dowodami. Tym sposobem naruszoną zostaje owa pierwotność powinowactwa z Lachami, Czechami, Serbami, na którą słowianofile lubili często się powoływać; lecz mniejsza o krwi braterstwo, dopóki niewidać wspólności w pojęciach moralnych, dopóki odrębnemi są cechy moskwicyzmu od słowiańskiego ducha, dopóty atrakcya ku północnemu ognisku może się odbywać tylko w moc sił fizycznych, a nie dobrowolnego popędu, co niegdyś spajał różne szczepy pod berłem Rzeczypospolitéj.

Obok tego Słowianofilstwa jest jeszcze inna grupa pisarzy *małorosyjskich.* Wnoszą oni takie żywioły, jakich zupełnie niedostaje plemieniowi wielkorosyjskiemu; ognistą wyobraźnię, poezyę szalonéj odwagi, bohaterstwo kozacczyzny. Niektórzy małoruscy pisarze jak Bantysz Kamiński, Maxymowicz, Iwaniszew uważają dzieje Ukrainy ze stanowiska czysto moskiewskiego — gdy inni jak: Kostomorów, Kulisz, starają się stworzyć osobny język, osobną literaturę małorosyjską; — pisarze ci pojąwszy że narodowość li tylko z woli Bożéj i z nasion dziejowych wyrasta, zmuszeni byli uciec się do historyi — i tu postrzegli że cała przeszłość Małorusi, jeżeli miała jakie znaczenie, to li o tyle, o ile żywioł polskiéj cywilizacyi, natchnął ją miłością swobód i ogniem bohaterstwa rycerskiéj szlachty rozpalał. Smieszność tedy, jeżeli nie czarna niewdzięczność przegląda

w téj nienawiści jaką obrzucają dzieje Polski, wyciągając tylko te fakta z historyi, które popierać mogą mylne ich pojęcia i mylniejsze wywody. Najlepiéj odpowiedział Małorosyanom nieboszczyk Swidziński: „Chłopi jesteście“ — nie było to słowo pogardliwéj dumy — tylko dawało do poznania — że jako ludzie, nowi, żadnéj idei politycznéj nie reprezentujący w przeszłości, co jeżeli mają jaką kartkę w dziejach, to jedynie winni są wspólnéj roli odgrywanéj z Polską — niemogą mieć tych żywiołów, jakie niezbędne są na stworzenie narodu.

Autor charakteryzuje jeszcze tendencye *Zachodowców*, tych najgroźniejszych przeciwników słowianofilstwa.

Zachodowce nic niechcą wiedzieć o swojéj historycznéj przeszłości — bo ta poniżająco szpetna — barbarzyńska. Podług nich społeczeństwo rosyjskie, to biała karta, grunt splantowany a równy, na którym dopiero teraz zakłada fundamenta wielki budowniczy: Opatrzność dziejowa. — Dzisiaj jest to chaos w fermencie — a jednak głębiéj patrząc myśl pewna tkwi w téj robocie — materyał budowy rodzimy, oryentalny, ale organizującym pierwiastkiem są wyobrażenia zachodniéj Europy, jak: tolerancya religijna, prawnie przyznana osobistość człowieka, równość praw cywilnych, prawo własności ziemskiéj nadane milionom. Rzadkie to jednak głosy, i nieprędko nauka ich przeniknie masy; wszakże opierając się na prawie, iż w świecie europejskiéj cywilizacyi wszystko prędzéj lub później układa się do równowagi — przyjdzie chwila że i w Rosyi wyobrażenia te tryumf odniosą.

Zeszyt ten, zapewne dla rozerwania czytelników nielubiących poważniejszych rozpraw, daje nakońcu prze-

kład angielskiéj powieści — powieść dobra, ale przekład najniegodziwszy.

Mimo niedostatków dość drobnych, szczerze żal że pismo to przestało wychodzić; — zgasić świecę daleko łatwiéj, niż ją zapalić, a na długie noce tamtych stref zbytek świéc niezaszkodzi.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

KILKA UWAG

Z POWODU

OSTATNIEJ BROSZURY P. EMILA GIRARDIN.

Furente Marte silent Musae..... mawiali starożytni. Pan Emil Girardin nie jest tego zdania, i w chwili, gdy huk dział z pod Magenty wstrząsa Europę, rzuca on w świat broszurę pod napisem: „Równowaga europejska“ *). Trzeba śmiałości, aby wśród wrzawy wojennéj nie wątpić o rozgłosie pisma, trzeba nie mało talentu aby go zdobyć. Pierwszéj nie brakło mu nigdy, drugiego nowy dał dowód.

Powie kto może, że skoro o broszurze politycznéj a nie o poezyi mowa, niewłaściwe jest zastosowanie powyższego aksyomatu łacińskiego. Tak byłoby istotnie, gdyby w broszurze nie była utopia. Utopia, to fikcya w polityce. Doktryna bezwzględna równie jest daleką od praktyki jak poetyczne marzenie. Zbyt ścisła loika w po-

---

*) L'equilibre européen par Emile de Girardin. Paris 1859.

lityce na podobne prowadzi bezdroża co przebujała wyobrażnia w poezyi. Wszakże lubo broszura rzeczona zawiera niezaprzeczenie utopię, jak się to z łatwością okaże, ma jednak wiele stron nader prawdziwych, a zwłaszcza siłą talentu autora wznosi się nad poziom zwykłych broszur politycznych; i dziwić się nie można, że w przeciągu tygodnia doczekała się kilku edycyj. Zasługuje przeto na szczegółową wzmiankę.

Czytelnicy tego pisma przypomnieć sobie może zechcą artykuł zawarty w zeszycie wrześniowym roku zeszłego pod napisem: *Polityka* i *Dyalektyka*. Zadaniem tego artykułu było wykazać, jak szkodliwą jest dyalektyka przyjęta w języku przez politykę używanym, jak dalece zaciemnia ona wszelkie sprawy, utrudnia ocenienie stanowisk, mięsza pojęcia słuszności i wykrzywia najprostsze wyobrażenia i zasady. Owóż p. Girardin uderzony został zdaje się, ważną a szkodliwą rolą, jaką w dyalektyce téj odgrywa w téj chwili wyrażenie „równowagi europejskiéj“.

„Dwa są dykcyonarze, pisze p. Girardin, jeden dla „ludzi, a w liczbie ich są i dyplomaci, którzy mówią „aby nie powiedzieć; drugi dla myślicieli, którzy mówią „aby myśl swoją ubrać w ciało, i niejako dotykalną „uczynić. Nic nie ma niebezpieczniejszego nad wyraz który „nie jest niczem więcéj jak tylko wyrazem. Każdy z ta„kowych wyrazów krwią jest zapisany. Wieleż to wojen „zewnętrznych, domowych lub religijnych, wieleż rewo„lucyj zawiedzionych lub dokonanych, wieleż to list „wygnańczych i niesnasków byłby sobie rodzaj ludzki „oszczędził, i oszczędziłby sobie jeszcze, gdyby był „zmienił i uprościł swój dykcyonarz, gdyby nawet, cho„ciaż już późno, uczynił to teraz, gdyby był przyjął i „zaprowadził stanowczo, że wyraz musi mieć swoje do„kładne znaczenie, że musi się zasadzać na rzeczy, „której istotę oczami sprawdzić można. Jednym z wyra-

„zów któreby najpierwéj znikły, byłby niezawodnie, „*równowaga europejska*“.

Autor jak się pokazuje idzie od razu za daleko, bo przecież o wszystkiem oczami przekonać się nie można, zwłaszcza w sferze moralno-politycznéj o jaką tu idzie. W prawdzie autor powiada, że równowaga znaczy podział ciężaru na dwie strony tak równo, aby jedna drugiéj nie przeważała, i utrzymuje, że dokazać tego nie można aby Europa równoważyła się sama siebie i sama przez się; że nikt nie znalazł jéj środka ciężkości; że wreszcie niechby dzielić jak chcieć Europę, za pomocą fantazyi lub jeniuszu, jeografii lub etnografii, na zasadzie państw lub narodowości, zawsze podział ten będzie tylko dowolnym a równowaga europejska niebezpiecznem złudzeniem. Cóż dopiero powiedzieć o równowadze opartéj na traktatach, a o innéj według autora broszury niema mowy w Europie.

„Jakiż to rząd, pyta on, co nigdy nie zerwał traktatów, i z jakiegoż tytułu miałyby go one obowiązywać na zawsze? Jaki ich początek? prawo mocniejszego. Jaka ich sankcya? prawo mocniejszego. Na mocy jakiego prawa potępić by można naród któryby nałożył te same traktaty jakie na nim dawniéj ciążyły? Jakieżby narody wystąpiły aby go potępić coby nie były sobie podobnie postąpiły? Zwycięztwo jest tryumfem siły ale nie jest tryumfem prawdy. Jak prawda jest w istocie swéj bezwględną i wieczną, tak siła jest znów w istocie swéj względną i zmienną. Silniejszy dzisiaj, może nim niebyć jutro. I to wielkie szczęście że tak jest a nie inaczéj! Otóż co daje prawdzie wyższość nad siłą, to że prawda nie upada, tylko aby w końcu zwyciężyć, gdy tym czasem siła nie zwycięża, tylko aby w końcu upaść. Nosi ona w saméj sobie zaród swego potępienia; — sama na siebie wydaje wyrok. Co jedną ręką wiąże i wznosi, to drugą rozwiązuje i obala. Traktat wiąże

„tylko strony które go dobrowolnie zawarły. Niewiąże „słabego względem mocniejszego, tylko tak długo, jak „długo silny jest mocniejszym a słaby słabszym. Między „zwycięzcą a zwyciężonym niema traktatów, są tylko „zawieszenia broni. Mocny znajdzie zawsze mocniejszego „od siebie. Nie można się więc opierać na *wierze tra-* „*ktatów* ale na *mocy traktatów*.....“

Takiemi to rozumowaniami, na krawędzi, jeżeli tak wyrazić się wolno, niebezpiecznéj utopii będącemi, uderza p. Girardin na zwolenników bezwględnych równowagi europejskiéj traktatami tylko zaręczonéj, których nazywa „bałwochwalcami czynu dokonanego“. Utopia niebezpieczna zaiste, bo jeżeli autor nie jest w stanie wykazać, co jest owa prawda o któréj mówi, i udowodnić gdzie się jéj kryteryum znajduje, cóż pozostaje w gruncie téj gorzkiéj przeciw traktatom diatryby, jeżeli nie uznanie, że najwyższem prawem w polityce jest siła, czyli prawo mocniejszego? Powstaje z niepospolitą siłą przeciw teoryi równowagi w polityce a stawia teoryę prawdy bezwzględnéj. Prawda bezwzględna jest tylko w zasadzie chrześciańskiéj w nauce Kościoła: w polityce jest ona tylko o tyle, o ile nią duch chrześciański kieruje. Skoro zaś p. Girardin nie odwołuje się do tego jedynego źródła prawdy, zarzucić mu można, że uderzając na dyalektykę sam się do niéj ucieka. Prawda bezwzględna w polityce należy do tego dykcyonarza który on potępia, jest jednem z tych wyrażeń które nie przedstawiają rzeczy, takich, aby się o ich istocie naocznie, jak mówi, przekonać można. Zresztą djalektyka ubiegła rozumowania autora. Ponieważ te tylko traktaty wiążą, na które strony dobrowolnie przystały, nie ma już traktatów nałożonych, a po wojnie wschodniéj Europa z zadziwieniem ujrzała strony wojujące przez dwa lata, zasiadające do ułożenia między sobą traktatu, na podstawie „że niema ani zwy

ciężców ani zwyciężonych." Czy dla tego wnosić należy, że traktat paryzki był całkiem dobrowolnym, że go wszystkie państwa z równą podpisały chęcią, że jak powiedziano, zaszczytnym był dla wszystkich? Czy się da do niego zastosować teorya p. Girardina i w jakiej mierze? Czy dopiero po skutkach można sądzić, ażali traktat obowiązuje lub nie? Jeżeli tak, to na cóż się przyda postawiona przez autora teorya o prawdzie politycznéj?...

Bo też polityka wprowadzona na pole czystéj teoryi nie zna granic i wpaść músi w przesadę. Nie można bezwzględnie potępiać dążności aby w polityce zaprowadzić równowagę. Wszystko na świecie układa się do równowagi; jest to prawo, któremu cała natura podlega. Widzimy je w naukach przyrodzonych, wiemy jaką gra rolę w fizyce. W organizmie społecznym odbija się bezprzezstannie ta sama dążność. Począwszy od rodziny, gdzie powaga między mężem a żoną dąży do równowagi, przejść można wszystkie stopnie, klasy, rozdziały, aż do równoważenia się władz najwyższych, i przekonać się, że dążność ta jest kierunkiem naturalnym i wrodzonym w ludzkości. Równowaga przedstawia spokój, do którego zawsze dąży i dążyć będzie społeczność.

Lecz oraz pewną jest rzeczą, że doskonałéj równowagi w społeczności być nie może, że zawsze będzie tylko do niéj dążność. Ułomność natury ludzkiéj niepozwala, aby usiłowanie to w zupełności urzeczywistnionem być mogło. Z ułomnością ludzką zawsze rachować się wypada. Inaczéj, odwołuje się ona zaraz do siły fizycznéj. Nowy przykład tego podaje obecna wojna. Wynalazki wydoskonaliły tak dalece broń palną, że skutek ognia ręcznéj broni przenosi miarę natury ludzkiéj. Ztąd aby uniknąć strzałów, uderzenia ciągłe na bagnety.

Niemniéj atoli dążność do równowagi istniała zawsze i stanowi niejako podstawę historyi ludzkiéj. Od najdawniejszych czasów napotyka się ją w polityce, chociaż pod inną nazwą i formą jak dzisiaj. Przerwana układała się na nowo: wszak i na oceanie burze przerywają równowagę. Właśnie téż w historyi należy szukać podstawy dla równowagi nie doskonałéj, ale jak może być najtrwalszéj. Słusznie mówi p. Girardin, że na jakiéjkolwiek zasadzie oparta równowaga, jeżeli ma być bezwzględną, jest marzeniem. Ale myli się jeźli dla tego sądzi, iż dążności téj w polityce nie będzie, jeżeli sądzi że podstawa jaką obierze jest obojętna. Przeciwnie, na tem właśnie zależy większa lub mniejsza trwałość równowagi politycznéj. Dziwić powinno zaprawdę, jak publicysta tak znakomity pomijać może całą ważność równowagi historycznéj. Są przecież fakta opatrzne, są tradycye i wiekowe powołania, które jakby skazówki owéj polityki Bożej, ostatecznie światem rządzącéj, kierować powinny w usiłowaniach do zaprowadzenia politycznéj równowagi. Na zastosowaniu téj polityki i uwzględnieniu tych skazówek bardzo w historyi wybitnych, polega rękojmia trwałości i skuteczności systematu na równowadze politycznéj opartego.

Jeszcze przed autorem broszury, Napoleon I powiedział: „Równowaga polityczna jest marzeniem; nie są„dzę aby po moim upadku i po usunięciu mego syste„matu, można zaprowadzić w Europie inną wielką ró„wnowagę, jak tylko opartą na skupieniu się i konfe„deracyi wielkich ludów;“ — a pierwéj jeszcze Mirabeau potępił równowagę w tych wyrazach: „Równowaga po„lityczna jest dzisiaj jeszcze blichtrem, którego używają „zręczniejsi do przeprowadzenia swych osobistych wi„doków, a zarazem i formułą dla głupców pretensyonal„nych pod którą ukrywają swoją niedorzeczność.“ Dwa te zdania były jak się zdaje bodźcem dla p. Girardina

do napisania broszury: położył je bowiem na czele jako dewizę. Wszakże Napoleon nazywa widocznie marzeniem bezwzględną tylko równowagę, skoro dalsze usiłowania w tym kierunku nietylko przypuszcza ale nawet wskazuje; Mirabeau zaś uderza na nadużycia do jakich prowadzi to co p. Girardin nazywa „ubóstwianiem równowagi“ i stawianie jej wyżéj nad wszystkie zasady. Przeciw temu też nadużyciu, jakiego w téj chwili dopuszcza się dyalektyka, opierając równowagę europejską wyłącznie na traktatach, powstaje autor broszury z wielką energia i talentem. Równowaga, powiada on, podobnie jak ruch, dowodzi się sama przez się. Gdyby równowaga istniáła w Europie, gdyby traktaty były rzeczywiście i uroczyście obowiązujące,— skutki tego byłyby widoczne, panowałby pokój, ale pokój prawdziwy a nie zbrojny, bo pokój taki jest tylko „wojną wyczekującą.“ P. Girardin zaczyna swój przegląd od traktatu wiedeńskiego; mógłbybył sięgnąć aż do traktatu westfalskiego, bo od téj epoki zaczął się systemat równowagi na traktatach wyłącznie opartéj. Niebyło w Europie równowagi według autora broszury, skoro od lat czterdziestu wojsk stałych nie można było zmniejszyć. Pokój zbrojny jest powątpiewaniem w zachowanie traktatów, jest zaprzeczeniem równowagi. Nie ma równowagi obok zasady: *si vis pacem para bellum.* Z resztą pyta p. Girardin, jakąż wojnę wstrzymała ta zasada wyznawana przez stronników równowagi? Czy zatrzymała wojnę wschodnią? a jakiż skutek owéj równowagi któréj znów podstawą ma być traktat paryzki? Czy kwestya wschodnia rozwiązana, czy niema więcéj jeszcze teraz zawikłań niż przedtem? I otóż nowa wojna, i obie strony utrzymują, że ją prowadzą w obronie równowagi, a wszystkie państwa neutralne zbroją się aby zabezpieczyć równowagę... Nie jestże to wyraźnym do-

wodem, że równowaga nie istnieje, skoro ją każde mocarstwo inaczéj pojmuje?...

Ta część broszury, z której dotknięte tu kilka tylko punktów, a w któréj autor bijącemi i praktycznemi dowodami wykazuje nieskuteczność systematu równowagi opartéj wyłącznie na traktatach, jest niezawodnie najważniejszą i najpolityczniejszą. Nie ma jednak potrzeby dłużéj się nad nią zatrzymywać, nieraz już bowiem z powodu traktatu paryzkiego i konferencyj, była na tém miejscu mowa o trudnościach utrzymania równowagi europejskiéj, a p. Girardinowi chodzi wyraźnie nie tyle o krytykę, ile o konkluzye. Do konkluzyj jego przeto przejść należy.

Autor widzi w obecnéj polityce same tylko zawikłania, a zadaniem polityki, według niego winno być upraszczanie a nie zawikłanie. Upraszczać aby rozwiązać, jest to raz na zawsze przyjęte godło tego publicysty.

„Trzy są polityki“ powiada więc.

„Polityka stara, któréj celem wielkość terytoryalna „państw przez zdobycze, a środkiem do tego wojna.

„Polityka nowa, któréj celem dobry byt powszechny „ludu drogą pracy, a środkiem do tego pokój.

„Polityka mięszana, która nie jest ani pokojem ani „wojną, któréj celem wpływ przez bezinteresowność „a środkiem do nabycia wpływu interwencya“.

Historya nie wchodzi nigdy w rachuby polityczne ani w teorye p. Girardina. Inaczéj mógłby był powiedzieć, że dwie są polityki: polityka narodów i polityka państw; tym sposobem byłby może jeszcze więcéj zadanie uprościł.

„Polityka stara, mówi daléj, wiemy gdzie prowadzi. „Prowadzi do wielkości, kończy na upadku. Rzym tego „dowodzi, Montesquieu to opisuje.

„Polityka mięszana przynosi tylko w zysku ofiary któ-
„re nakłada, gdy się ją przeprowadzić usiłuje. Nie po-
„większa nigdy wpływu, wyradza ciągłe zawikłania.
„Jedna interwencya pociąga za sobą inne.

„Polityka nowa jeszcze nie panuje, zapuszcza dopiero
„korzenie. Trybunał konferencyj paryzkich był usiło-
„waniem, próbą na téj drodze ale nie dość śmiałą, nie
„dość stanowczą. Różni się ona głównie od polityki sta-
„réj tem, że dla téj ostatniéj terytorya są wszystkiem
„a ludy niczem, gdy tymczasem w polityce nowéj ludy
„są wszystkiem a kraje niczem. Co zaś najlepiéj do-
„wodzi że polityka stara jest zła i zużyta, to że dziś
„nie jest już w stanie rozwiązać kwestyj które jednak
„bądź co bądź rozwiązanemi być muszą.

„Trzy wyrazy cechują doskonale te trzy polityki:
„politykę starą — zdobycze; mieszaną — poświęcenia;
„nową — wymiany."

P. Girardin potępia nieodwołalnie pierwszą i drugą politykę. Dowodzi bezużyteczności obecnych wojen, z których żadna nic nie kończy i wywołuje niejako drugą równie bezowocną. Każda zdobycz kosztuje więcéj niż warta: każdy wynalazek przemysłowy, choćby najmniejszy stokrotnie wynagradza łożone nań koszta. Im dłuższa wojna, tem mniéj korzyści; im dłuższy pokój tem żyzniejszy. Wojna ma tylko tę korzyść że się po niéj więcéj pokój miłuje. Cywilizacya chce zdobyczy ale nie przez wojnę, tylko przez konkurencyą; zdobyczy otrzymanéj wyższością produktów, a nie wyższością broni, wspólnictwem myśli a nie wspólnością terytorryów....

Długie i zręczne bardzo rozumowania, pełne z jednéj strony prawd, a z drugiéj paradoksów, jakiemi autor potępia obie te polityki, przypominają głównie, że p. Girardin jest kolegą Ryszarda Cobdena na kongresie wieczystego pokoju, i rozbiór ich należałby bardziéj do

dokumentów tyczących się tego zgromadzenia aniżeli do sprawozdania z chwilowéj broszury. Powiedzieć więc tylko wypada, że celem owéj trzeciéj polityki, polityki nowéj, któréj autor jest zwolennikiem i po części twórcą, polityki mającéj zastąpić stanowczo obecną, jest pokój, za pomocą wolnego handlu czyli wolnéj wymiany, a środkiem zniesienie wojsk stałych. Rozwiązuje ona zdaniem jego wszystkie kwestye, a raczéj nie może być żadnéj. Ani wojska ani komór — oto w krótkich wyrazach nowa polityka. Tym sposobem, powiada autor, równowagę, która jest wyrazem, zastąpi cywilizacya, która jest rzeczą.

Jeżeli p. Girardin chce powiedzieć, że interesa społeczne górują nad interesami politycznemi, nikt zapewne nie zaprzeczy. Ale to nie ma znaczyć aby nie było w społeczności innych kwestyj, prócz materyalnych. Są kwestye na pozór polityczne, a które są społecznemi, dla tego że kwestye społeczne bez ich załatwienia poprzedniego postępować bezpiecznie nie mogą. Najlepszym na to dowodem, że w chwili gdy społeczność najbardziéj zdaje się być przywiązaną do pokoju, gdzie go nawet powiedzieć można najbardziéj potrzebuje, wybucha wojna — o kwestye tak zwane polityczne. Społeczność różne ma warunki spokojnego bytu, nie same tylko materyalne, któreby wolny handel mógł zaspokoić. Historya, tradycye i wiele innych rzeczy „które oczami ogarnąć się nie dadzą“, a które moralną stronę społeczności stanowią, nie dadzą się całkiem w polityce pominąć. Pomija je p. Girardin, i dla tego myli się bardzo twierdząc, że z zaprowadzeniem wolnego handlu ustałyby wszystkie kwestye, i więcéj nie powstały.

Nie wchodząc w stronę ekonomiczną polityki wolnego handlu, śmiało powiedzieć można, że wprowadzenie jéj uważanem być powinno jako następstwo rozwinięcia się kwestyj społecznych a nie jako cel społeczności. Żadna

polityka ani wolnego handlu odrazu wprowadzić nie może, ani też na nim wyłącznie się oprzeć. Skład cały Europy musiałby się pierwéj do téj zmiany przygotować. Może to nastąpić ale wiele jeszcze kwestyj pierwéj rozwiązać wypadnie.

Podobnież i zniesienie wojsk stałych nie może być środkiem ale tylko następstwem. W piśmie tem wyrażono nieraz w téj mierze życzenia, a nawet oczekiwania obudzone zjazdami monarchów przed dwoma laty. Lecz krok ten byłby także tylko następstwem zmiany w dzisiejszym składzie równowagi europejskiéj. Autor broszury zapominać się zdaje, że wojska stałe nie są systematem, ale następstwem, koniecznością nawet obecnego systematu; że nie stoją one na to tylko aby utrzymywały równowagę europejską, że nie mają znaczenia tylko na zewnątrz, ale mają je także na wewnątrz, zgoła że systemat obecny państwa, w jakim uorganizowana jest spółeczność, wymaga wojsk stałych. Zniesienie przeto wojsk stałych byłoby dowodem zmiany w systemacie polityczno spółecznym, a wszak sam p. Girardin powiada w swéj broszurze, że niema równowagi skoro są wojska stałe. Nie idzie zatem aby była równowaga gdyby zniesiono wojsko, bo gdyby jéj nie było, przywrócić by takowe zaraz trzeba; ale ztąd wypada, iż zaprowadzićby należało równowagę na takich podstawach, któreby wojska stałe uczyniły zbytecznemi i uwolniły Europę od tego ciężaru.

Lecz autor broszury wyrzekł że równowaga jest marzeniem, złudzeniem, że zaprowadzenie wolnego handlu jedynie zastąpić ją potrafi. I czemżeby była owa polityka, jeżeli nie równowagą materyalną i kosmopolityczną? Gdyby się stała możebną, byłaby jednak tylko usiłowaniem, bo doskonaléj być nie może nawet na téj niwelizacyjnéj podstawie.

W końcu uwag nad tem niepospolitem pismem, ale jak wszystkie pisma tego publicysty ideologa, zawierają-

cem utopię, pominąć nie można, że autor chce zastąpić „równowagę“ „cywilizacyą“, mówiąc, że pierwsza jest czczym tylko wyrazem a druga rzeczą. Jakaż to cywilizacya jest tak określoną i gdzie jéj droga tak wytknięta, aby nienależała już do owego szkodliwego dykcyonarza wyrażeń „krwią zbryzganych“ o jakim na początku broszury mówi p. Girardin? Jedna jest tylko taka cywilizacya i na niéj właśnie życzyćby należało, aby się równowaga sumiennie i szczerze oparła. Nie trzebaby wtedy wojsk stałych, a wolny handel, owo ukochane dziecię autora łatwiejby się może ukołysało i wyrosło. Ale nie o téj mówi p. Girardin, jak widać z następującego ustępu, inne zaś wszystkie cywilizacye są wyrazem tylko.

Oto ustęp:

„Chrześcianie na cóż budujecie kościoły i świątynie? „na cóż z wielkim kosztem utrzymujecie kapłanów, je„żeli działacie tak jakbyście nie wierzyli, i nazywali „się bracią na to tylko aby się zabijać! Albo przestań„cie utrzymywać boskość Ewanielii, albo ją szanujcie. „Nie rozumiem dwóch arcybiskupów z których jeden „błaga o wytępienie jednéj armii, a drugi o wytępienie „armii przeciwnéj. Pojmowałbym, aby obydwa połączyli „swe głosy w oświadczeniu, że wojna jest bratobójstwem „i aby się modlili za pokój święty w imie Boga!“

Snać nie wiele się zajmuje cywilizacyą chrześciańską p. Girardin, skoro to mógł napisać. Inaczéj byłby wiedział, że żaden arcybiskup w kościele nie błaga o wytępienie żadnéj armii. Byłby szczególniéj wiedział, że tym razem to czego niepojmuje nie jest, a to czegoby sobie życzył jest od dawna, bo Kościół nie czeka aż p. Girardin ogłosi broszurę, aby z niego czerpał natchnienia. Autor powinien był wiedzieć, jaką Ojciec Śty zaraz na początku wojny ogłosił encyklikę i za co się

modlić kazał. A przecież chociażby tylko jako zwolennik wiecznego pokoju, mógłby był przypomnieć sobie tę boską zasadę jakiéj się Kościół trzyma niezłomnie od ośmnastu wieków: *Gloria in excelsis Deo et in terra pax hominibus bonae voluntatis!*

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w czerwcu.

Po długiem milczeniu wracam na nowo do moich miesięcznych obowiązków kronikarskich, to jest zabieram się znowu do pisania o wszystkiém lub o czém bądź, byle nie o tém co się dokoła mnie dzieje. Tak przynajmniéj działo się dotąd z kroniką, a inaczéj być nie mogło.

Kronika bywała dawnémi czasy zbiorem zapisków ważniejszych zdarzeń, na które własnémi patrzano oczami; dziś rzeczą to gazety, a co już do niéj wejść nie może, to skryć się już chyba musi w pamiętniki z przeznaczeniem pośmiertném, w broszury wydawane za granicą, albo wreszcie poprzestać na relacyi w kole zaufanych przyjacioł. Kronice pozostawiono wprawdzie rozległe lecz jałowe pole niewinnych ploteczek, salonowych reklam, przedpokojowych hołdów, brukowych bredni a nawet i burd karczemnych, słowem oddano pod jéj juryzdykcyę te wszystkie drobne zdarzenia i wypadki, które lubo może wystarczą dla wielu do zaspokojenia intellektualnych ich potrzeb, nie łatwo jednak wystarczają na wypełnienie żądanéj liczby stronnic druku. Kronikarz wtedy uciekać się musi do środków nadzwy-

czajnych. Pióro jego zmuszone jest każdy drobiazg z téj pustéj wyznaczonéj sobie dziedziny rozszerzyć do rozmiarów poważnych, zamienić się w pneumatyczną pompkę, z pomocą któréj każdą myśl najchudszą wydąć można jak ów pęcherz kauczukowy, co go dzieci dla zabawki rozdmuchują w ogromny balon, a naciskając go potem wydobywają krzyk przeraźliwy. Otóż zręczny i umiejętny kronikarz posiada sztukę niętylko rozdymania najwątlejszéj myśli w ogromne filozoficzne pęcherze, ale nadto umie z tych pęcherzy wydobywać za naciskiem wszelkiego rodzaju i stopnia tony, aby niemogąc działać na rozum, działać przynajmniéj na nerwy. Krzyk rozpaczy, wrzask ulicznika, jęk boleści, pisk dziecka i cała skala fałszywych tonów zamkniętą jest w téj próżni...

Kronika krakowska! poważna nazwa błahéj rzeczy. Dla czytelników, których podniebienia przestała już drażnić szczypiąca przyprawa felietonów paryżkich, jakże jałowem musi się wydawać opowiadanie tego, co się w Krakowie zdarza! Dla tych, którzy dziś chciwi tylko depesz, biuletynów wojennych, opisów bitw i szturmów, którzy z zimną krwią, jakby byli urzędnikami izby obrachunkowéj, sprawdzają cyfry raportów i wykazów z pola bitw nadsyłanych, i w jedną policzają summę zabitych, rannych i zaginionych, bo im nie idzie już o życie tych ludzi, o ich zdrowie lub kalectwo, ale o wysokość strat — dla czytelników tych obojętnem jest to wszystko, co nosi cechę powszedniości, a najdramatyczniejsze nawet wypadki jeżli ich sceną cztery ściany domowe, wydawać się muszą mdłą i ckliwą prozą.

To też żadna by najbujniejsza wyobraźnia nie zdoła dziś przenieść rzeczywistości, dorównać prawdzie, sprostać faktom. Komu jak spółczesnym dane jest, choćby z najodleglejszego końca galeryi być widzem na teatrze świata, gdzie historya dramata swoje i trajedye przedstawia, używając do nich kilkukroćstotysięcy aktorów, tego zajmować już nie będą mdłe gadaniny, recytowane na małym teatrzyku domowym. Romanse i powieści ustąpiły miejsca dziennikom: na stolikach gdzie się dawniéj złocone tylko i pięknemi rycinami ozdobione ukazywały książki, widzieć teraz można karty jeograficzne. Igiełki dawniéj do krosienek przydatne wykalają teraz

nie kręty bieg rąbka, lecz ruchy strategiczne, a zamiast pstrych jedwabiów i włóczek, któremi były nawleczone, powiewają u ich główek chorągiewki papierowe.

Ależ i dzienniki niewystarczają już potrzebie wiedzenia o wszystkiém równocześnie bez względu na odległość miejsca. Koleje zbyt powolnym są środkiem komunikacyjnym; dzienniki zbyt długiego wymagają czasu do wyjścia na widok publiczny. Telegrafy i telegramy zastąpią je może za niewiele dziesiątków lat. Jeśli system telegrafowania nie da się zespolić ze sztuką drukarską, to przynajmniéj tak się z nią związe, że gazety wychodzić będą z biór telegrafowych i mieścić w sobie to jedynie, co z różnych zakątów świata iskra elektryczna przed chwilą przyniesie. Każdy dziś pyta tylko o fakta, mało dba o rozumowania, które poczytuje za ćwiczenia stylowe lub dyalektyczne. Nie wypływa ztąd jeszcze, aby nie było dziennikarzy, tak jak najlepsza sprawa wymaga rzecznika, najnieomylniejsza umiejętność, jaką jest matematyka, nie obędzie się bez nauczyciela, jak religia nawet sama nieposprzestaje na dogmatach, ale ma i kaznodziejów. Wszelako charakter i znaczenie dziennikarstwa zmienić się musi pod wpływem wynalazków skracających czas i przestrzeń.

Fizyonomia miasta naszego w téj chwili... nie, téj jego strony przedstawiać nie mogę, bo mimowolnie musiałbym wejść na pole polityki, którą Kronika zajmować się niemoże. Przez cały ubiegły miesiąc żyliśmy tu pod moralnym i materyalnym wpływem wypadków... I otóż znów potrącam o politykę. W Kronice zapisać tylko powinienem, co się dzieje w Krakowie. Jeśli atoli zechcę główniejsze przytoczyć zdarzenia, jako to: przechody wojsk, kwaterunki, zaciąganie ochotników, zbieranie składek, podwyższenie podatków, podrożenie towarów, spadek banknotów i papierów publicznych itd. itd. to znów popadnę w politykę, bo wszystkie te okoliczności jak z jednéj strony nie są wyłącznie lokalnemi, tak z drugiéj wiążą się z głównemi kwestyami politycznemi, ekonomicznemi, finansowemi i wojennemi, dla których nie w Kronice miejsce. Szczęśliwi pod tym względem są kronikarze wielkich miast: mają oni teatra, widowiska, koncerta, niewyczerpane źródło, z któ-

rego poją spragnione rzesze czytelników. My mamy za to w ostatnich dniach tego miesiąca wspaniałe święto religijne i dwa obchody pamiątkowe.

W żadnem może mieście całego chrześciańskiego świata niewyjmując nawet Rzymu, święto Bożego Ciała niebywa obchodzone tak uroczyście jak w Krakowie. Przez cały tydzień rano i po południu odbywają się procesye po rozmaitych parafiach miasta, a trzy główne: zamkowa, dominikańska i maryacka, przypominają wspaniałością swoją czasy starodawnych publicznych obrzędów religijnych. Na procesyach tych ujrzy jeszcze liczne bractwa, o których dziś mało kiedy zasłyszeć, owe zakony świeckie, które były w swoim czasie znakomitemi assocyacyami i wywierały wpływ na życie publiczne i domowe, wpływ niedość jeszcze wykazany i w rozciągłości swojéj oceniony, a jednak niewątpliwy. Bez zrozumienia i ocenienia tych bractw, pozostaje niejedno niejasnem w wyświeceniu życia społecznego dawnéj Polski. Suche daty tu i owdzie pozbierane nie wystarczają jeszcze na materyał do skreślenia stanu bractw w Polsce. W niejednych bractwach przechowywały się nawet zabytki i ślady sekt religijnych lub nauk socyalnych, niezupełnie zgodnych z ustawami kościoła i zasadami jakiemi się społeczność rządziła. Dziś mała część zaledwie dawnych bractw istnieje; a u tych co do dziś dnia przetrwały, zostały niejakie formy powierzchowne, sukienka bracka lub kaptur, niejakie obserwancye nabożne, ale wywiał z nich duch, który je ożywiał i nawet zaginęły tradycye. Podczas obchodu Bożego Ciała można widzieć jeszcze te bractwa, z których np. Bractwo Męki Pańskiéj szczególniéj odznacza się ubiorem i przyborami.

Z dwóch obrzędów pamiątkowych, które się zeszły tym razem równocześnie z świętami Bożego Ciała, obchód „Wianków“ od lat parę odzyskał dawne swoje znaczenie święta publicznego. Żaden jeszcze dotąd z badaczy, o ile wiemy, nie rozebrał i niewykazał znaczenia tego obrzędu — który wiążą powszechnie ze świętem sobótek i przypisują mu starożytne pogańskie znaczenie symboliczne. Kto wie jednak, czy nie ma ono jakiego bliższego a historycznego tylko nie zaś religijnego znaczenia. Może to obchód pamiątkowy Wandy. . .

„Konik Zwierzyniecki“, obchodzony zawsze w oktawę Bożego Ciała, przypada z ostatnim dniem miesiąca, i zapewne hasać będzie w tatarskim stroju tak jak go oglądamy corocznie, i jak go nam Wasilewski poetycznem piórem odmalował.

Przed kilku dniami zmarł we Lwowie jeden z dawnych przyjaciół i towarzyszy Wasilewskiego, Felicyan Łobeski, który kilka lat życia w młodości swojéj w Krakowie przepędzał. Łobeski kształcił się tu był w szkole malarskiéj z przyjacielem swoim a „bratem po lutni i pędzlu“ Franciszkiem Żyglińskim, zmarłym przed laty w Krakowie. Łobeski, Zygliński, Wasilewski Edmund, Gustaw Ehrenberg i kilku innych tutejszéj młodzieży składało wówczas przyjacielskie kółko, do którego wstęp dawały tylko chęć do pracy i pewne zdolności. Był to rodzaj towarzystwa naukowego i poetycznego, bez statutów wprawdzie, bez rocznych składek i stałego miejsca zbierania się; wszelako wspólność celów, wzajemna emulacya i pochwała kolegów stawały się w niém bodźcem do kształcenia się i pracy. Temu wzajemnemu wpływowi pewnéj liczby młodzieńców zawdzięcza piśmiennictwo kilka imion w różnym zakresie nauk i umiejętności. Kółko to wywierało w swoim czasie znakomity wpływ literacki, i godziłoby się, aby ktoś z żyjących jeszcze uczestników jego poświęcił mu obszerniejsze wspomnienie.

Berlin w czerwcu.

Co pisać w tak niespokojnym czasie z Berlina, aby odpowiedzieć godłu kroniki „Dodatku“ — *utile dulci*? Wybór nie łatwy. „*Inter arma silent musae*“. Odpowiedzialność przed redakcyą i czytającą publicznością niepokoi sumienie i utrudnia decyzyę. Mamże, skończywszy przed trzema miesiącami kronikę stosunków stałych, kreśloną wedle funkcyi pięciu zmysłów, trzymać się pedantycznie przyjętego planu, i przystąpić bezpośrednio do drugiéj jéj części, do opisu podobnych stosunków, mających być traktowanemi z stanowiska funkcyj władz

umysłowych? Cóż jeżeli te stosunki wybijają codziennie inne koziołki lub wywracają się do góry nogami? Cóż, jeżeli te funkcye władz umysłowych wyszły z karbów równowagi, buntują się nawzajem przeciw sobie, i przedstawiają obraz wojny wszystkich przeciw wszystkim?

W takim anormalnym stanie rzeczy trudno korespondentowi być stoikiem planu swego, i poglądać z pogardą i bez udziału na walące mu się na łeb gruzy świata, jakby to wszystko kuglarstwem tylko było a nie dotkliwą ciału i duszy rzeczywistością. Opis normalnego stanu i ruchu życia umysłowego musi zatem pozostać tymczasowo na boku. Korab' mądrości Aten nad Sprewą, chwiejący i wznoszący się dziś na gruncie rozbujałych patryotycznych fluktów, mało ma powabu dla samych krajowców; jakiż mieć może dla cudzoziemców? Wszyscy dziś zwrócone mają oczy na teatr wojny. Depesze telegraficzne, dzienniki, broszury polityczne, kurs papierów, to główna, najwięcéj zajmująca, prawie jedyna lektura. Biblioteki, muzea, galerye stoją pustkami. Zato pełno całemi dniami publiczności przed oknami sklepów księgarskich i artystycznych. Mapy jeograficzne, strategiczne, statystyczne Włoch, plany bitew, widoki miast, portrety dowódzców, kolorowane ryciny i typy żołnierzy obu stron wojujących, więcéj obudzają ciekawości niż najpiękniejsze dzieła rzeźbiarskie, niż najcudowniejsze obrazy w galeryach.

Najwięcéj nawet pomiędzy sztukami pięknemi ulubiona przez berlińczyków muzyka nie wywiera zwykłego pociągu. Od kilku tygodni nie było tu ani jednego większego publicznego koncertu. Wirtuozowie gdzieś się pod ziemię schowali. Jeżeli który zawita w murach stolicy, nie śmie wystąpić publicznie, z obawy aby się nie popisywał przed pustemi ławami. Muzyki ogrodowe, chociaż wyśmienite, nie liczą się do właściwych koncertów; to przydatki do przyjemności spaceru, do towarzyskiego rozerwania się. Nowy, piękny lokal Leya w Thiergarten, który wykluczył muzykę z programu rozrywek towarzyskich, a zato podejmuje publiczność lepszem niż gdzieindziéj piwem i jadłem, najliczniéj może dlatego właśnie bywa teraz odwiedzany. Bo doświadczoną to tutaj jest regułą, że źle karmią i poją tam gdzie najwięcéj muzyką częstują. W zwyczajnych cza-

sach mieszkaniec Berlina, który z natury swéj wcale nie jest przebierny i wymyślny, mało dba o to, i nie obrusza się, mogąc kosztem żołądka napaść i napoić ucho. Ale w obecnéj chwili nie idzie mu w smak ta idealność, widocznie przekłada on nad nią strawę realną.

Toż samo usposobienie daje się spostrzegać w odwiedzaniu teatrów. Więcéj sprawiają zajęcia krwawe sceny teatru wojennego. Pozbawione publiczności teatra królewskie, nie celujące bynajmniéj pod teraźniejszą dyrekcyą nadzwyczajnymi artystami ani w dramacie, ani w operze, ani w balecie, rzadko przedstawiające coś nowego, lecz wiecznie powtarzające też same, stokroć widziane i słyszane sztuki, zostały teraz właśnie jak w sam czas na kilkotygodniowy przeciąg feryj letnich zamknięte. Teatra prywatne i letnie Krolla, Deichmanna, Wallnera, Henninga i parę innych w mieście i na przedmieściach, położone w gustownie i wygodnie urządzonych ogrodach i ogródkach, nastręczając sposobność do przechadzki w liczniejszem towarzystwie, przydając do przedstawień scenicznych lżejszéj natury: komedyj, wodewilów, fraszek, przeplatanych śpiewkami odnoszącemi się do bieżących okoliczności, pospolicie bardzo dobry koncert, loteryą, strzelanie z różnego rodzaju głuchéj broni do celu, gimnastyczne i mechaniczne próby sił oraz inne rozrywki i zabawy w ogrodzie; utrzymując nadewszystko dla wygody publiczności opatrzoną w wszelkie pokarmy i napoje restauracyą, dobrze i szybko, gdzie kto siędzie posługiwaną, — teatra te prywatne i letnie, w których i przy których wszystko znaleść można, i zabawę i przechadzkę i rozmowę i pożywienie i cygaro i — „coś więcéj przy tem jeszcze czego nie można powiedzieć“ — teatra te, ściągając i zbierając rozstrojone i rozbite towarzystwo do swego ogniska, najwięcéj jeszcze odpowiadają potrzebie rozerwania i odświeżenia się w téj tak niepokojącéj i natężonéj jak obecna chwili.

W jednym z takich teatrów, w teatrze Deichmanna na Friedrich Wilhelmsstadt, występuje w rolach gościnnych od początku bieżącego miesiąca znana aktorka wiedeńska z cesarskiego teatru Burgu, panna Fryderyka Gossmann. Zamówiona na dwanaście przedstawień, rozpo-

częła w tym tygodniu seryą drugich dwunastu. Dwór, arystokracya, mieszczaństwo, gmin spieszą na te przedstawienia. Za każdą razą teatr przepełniony. Wiedeń nie mógł wysłać do Berlina lepszéj orędowniczki, celem utrzymania wzajemnych między obiema stolicami sympatyj. Do zimnéj, refleksyjnéj, rozumującéj publiczności trudno było trafić przedstawianiem charakterów idealnego, bezinteresownego, wspaniałomyślnego poświęcenia się. Skuteczniéj było przemówić do niéj przykładami dobroduszności, prostoty, naiwności, niewinności, przyrodzonego dowcipu, humoru, kaprysu, temperamentu, słowem, przykładami wziętemi z zwyczajnego, powszedniego, rodzinnego, towarzyskiego, ogólnie ludzkiego życia. Do przedstawienia podobnych charakterów i scen trudnoby było znaleść zgrabniejszą, przyjemniejszą, powabniejszą, utalentowańszą artystkę. Nie dziwię się, że był czas, kiedy wiedeńczycy za nią szaleli. Mało brakuie, bo tylko trochę swobodniejszéj chwili, aby szaleli i berlińczycy.

Panna Gossmann nie występuje w rolach poważnych. Dramy historyczne i trajedye nie wchodzą do jéj repertoaru. Polem jéj popisów i tryumfów jest komedya i wszelakie sztuki i sztuczki rodzajowe, osnowane na stosunkach, konfliktach, wypadkach, charakterach towarzyskich. Role kochanek, narzeczonych, kokietek, wietrznic, figlarek, psotnic, kapryśnic, grymaśnic, zrzędnic, pieszczotek, intrygantek i im podobnych, są tak drobiazgowo wystudyowane, że w naturze ich nic nie pozostało, coby do gry nie było wciągnięte, i to z taką realną prawdą w całem uzewnętrzeniu, że rola nie na scenie lecz w rzeczywistości odgrywać się zdaje. Ta właśnie spójność natury i sztuki, jak jest nieodzownym warunkiem każdéj jakkolwiek idealizowanéj sztuki w ogóle, tak też najwyższą jest zaletą scenicznéj gry panny Gossmann. Berlin nie ma takiéj artystki. Z tem prawdziwszym i większym zapałem przyjmuje gościa swego.

Pomiędzy większemi i mniejszemi sztukami powtarzaną bywa raz po raz drobna i dość błacha, ale dumę narodową i patryotyzm pruski łechcąca sztuczka z śpiewkami pod tytułem: „*Kurmaerker in die Picarde*“. Scena odbywa się we Francyi, w czasie wojny sprzymierzonych przeciw Napoleonowi. Landwerzysta pruski z Mar-

chii brandenburskiéj przychodzi marszem znużony, kurzem okryty, zgłodzony i spragniony, ale pełen zwycięzkiego zapału, na kwaterę do wiejskiéj zagrody. Przyjmuje go młoda, piękna, po narodowemu ślicznie wystrojona Pikardka; przyjmuje go grzecznie, uprzejmie, gościnnie, podaje chleb, masło, wino. Przyjęcie to i ujmująca osobistość pikardki czyni wrażenie na młodym, rzeźkim, walecznym, ale i dobrodusznym i sentymentalnym landwerzyście. Budzi się w nim przypomnienie rodzinnych stron, ojca, matki, siostr, wynurza uczucia te w stósownéj piosnce. Ale odzywa się w nim zarazem pamięć powziętego przy wymarszu postanowienia, pomszczenia się przy pierwszéj sposobności za swoją siostrę czy kochankę, któréj żołnierz francuzki stojący na kwaterze dał policzek. Wet za wet, policzek za policzek, który odbierze pikardka. Ale to czarująca dziewczyna, przestraszona umie się bronić łamanym z francuzka niemieckim językiem, w którym kilka frazesów w dyalekcie berlińskim, co młodego landwerzystę rozkoszą napełnia; umie się bronić ładniutkim śpiewem, ślicznem tańczeniem menueta, pełną prostoty, gracyi i wdzięku kokieteryą. W tem bębnią do marszu, bo nieprzyjaciel szybko ustępuje, wojska sprzymierzone ciągną ku Paryżowi. Landwerzysta wrzuca na plecy tornister, chwyta za broń, a w sercu i myśli całkiem przez pikardkę rozbrojony, która mu na drogę kładzie do sakwy chleb i wino, przyjmuje chętnie za policzek i chętniéj jeszcze oddaje ofiarowany sobie pocałunek, i wybiega.

W sztuce téj pełno jest patryotycznych frazesów, które publiczność głośnemi oklaskami przyjmuje, ale zachowana jest godna uznania miara i przyzwoitość, która honoru francuzkiego wcale nie obraża. Owszem, koniec sztuki, rozwięzującéj się nie policzkiem lecz pocałunkiem, chociaż nie przypada do usposobienia chwili, dobre jednak robi wrażenie, bo usposobienie to nie jest w rzeczywistości tak zaciętem i nieprzyjacielskiem, jakiem się napozór być wydaje.

Drugą osobliwością, importowaną także z Wiednia, i przedstawiającą się na teatrze i w ogrodzie Krolla, są karły chińskie. Poprzedziły je, znane już z dawniejszego pobytu, trzy inne karły pochodzenia austryackiego, występujące nie bez powodzenia na scenie drama-

tycznéj w wielu miastach niemieckich. Zjazd tylu karłów do Berlina w bieżącym miesiącu, lubo całkiem przypadkowy, uważały złe języki za ironią na polityczne stanowisko Prus w obecnéj sytuacyi europejskiéj. Za ironią uważaćby można także pobyt panny Gossmann, bawiącéj publiczność tutejszą lekkiemi, żartobliwemi, śmiech wzbudzającemi sztukami i krotochwilami, dla których w poważnym i wojennym Wiedniu niemasz dziś miejsca. Postawienie armii pruskiéj na stopie wojennéj i bliskie jéj wyjście w pole, chociaż nie na linią bojową, odejmują wszelką trafność i ostrość tym satyrycznym a umysłowemu usposobieniu berlińczyków tak właściwym przekąsom. Ci którzy w krytykującéj i dowcipkującéj ze wszystkiego manii swojéj najwięcéj tego rodzaju złośliwości w świat puszczają, ci najgłośniéj teraz powstają przeciwko śmiałemu wystąpieniu Prus, które im przeszkadza oddać się z całą swobodą swoim codziennym pokojowym zatrudnieniom i zabawom. Nie wiele czasu upłynie, a muza panny Gossmann uciecze przed hałasem wojennym w spokojniejsze, jeżeli się gdzie znajdą, strony; a karzełki chińskie schowają się do pudełka herbatowego, z którego ich codziennie na scenie wydobywają, albo ujadą daléj w świat na swym wózku jak dla lalek, w którym się dziś, ciągniętym przez parę równie karłowatych kucyków, obwozić każą pośród spacerującéj publiczności w ogrodzie Krolla — prawdziwe liliputy, przybyłe w podróży, aby oddać winną oddawna wizytę, do kraju guliwerów.

Oto wszystko czem się dziś Berlin zabawia. Są w tym tygodniu jeszcze i wyścigi konne, dawniéj jedna z najmilszych w całym roku rozrywek mieszkańców stolicy, którzy na nią powozami, omnibusami, dorożkami, konno, pieszo, tłumnie każdego z pięciu dni trwania, z zasobami żywności i napoju, a nadewszystko z wesołym humorem za miasto wyciągali i z równem zadowoleniem wieczorem powracali. Tego roku zaledwie znać, że to pora wyścigów. Żadnego nadzwyczajnego ruchu w mieście, Arena gonitw pusto się przedstawia. Koni i jeźdźców raz zapisanych, liczba nie mała, ale niemasz całego pułku oficerów, którzy zwykle widowisku temu konno towarzyszyli; niemasz publiczności na trybunach, niemasz nieprzejrzanego szeregu powozów, niemasz dłu-

giego, nabitego ludźmi obozu, który otaczał ze wszystkich stron szranki popisów, wznosząc za puszczonemi do zawodu gońcami w niebo bijące głosy.

Paryż w czerwcu.

Piątego czerwca, kiedy obchodzono zwycięztwo pod Magentą — pomiędzy dziewiątą wieczorem a północą wybuchła nad Paryżem burza jakiéj w życiu mojem nie widziałem.

Wróciwszy z miasta, gdzie po murach i głowach radosnego tłumu strugi gazu płynęły jak roztopione słońce — gdzie trójkolorowe chorągwie muskane wiatrem, powiewały to purpurą, to błękitem, strojąc złoty orły dumnie siedzące na pałacowych gzymsach — wróciwszy mówię z téj przechadzki, w ciągu któréj blask ludzkich czynów i ziemskie światła przecinały, że tak powiem, wszelką z niebem komunikacyę — stanąłem w otwartem, cichem oknie, zkąd zarazem główną część miasta i szeroki szlak nieba widzieć było można. Stanąłem, i osłupiałem.... tak wielkie zjawisko oczy i uszy moje uderzyło.

Noc była ciemna. Miasto kipiące weselem, kąpało się w srebrnéj łunie gazu; nad niem niebo w dwoistą ubrało się szatę: po prawéj stronie, na czystym lazurze mrugały gwiazdy — na lewo, stała nieruchoma, czarna chmura, po któréj błyskawice z niepojętą szybkością i oślepiającym blaskiem haftowały wciąż ogniste zygzaki....

Nieme te błyskawice trwały blisko godzinę; po czem z czarnego obłoku zaczął iść grzmot, który jak basowe rulady i akordy, bez jednéj minuty przerwy trwał blisko dwie godziny, to do rotowego ognia, to do działowych strzałów podobny.

Lekki, rozkoszny oddech wiejącego z południa wietrzyka nie mógł rozdmuchać żałobnéj chmury, co jak ogromna trumna stanąwszy po nad sercem Francyi, zgasiła połowę gwiazd na niebie i połowę jéj błękitu kirem nakryła.

Fenomen ten był tak wymowny, tak straszny — że nawet ludzie bez wyobraźni przejęci nim byli do głębi... a cóż się działo w głowach fantastycznych?.... Nie trzeba było nawet być poetą, żeby w téj niebieskiéj kanonadzie dosłyszeć wyraźne echo strasznéj bitwy, od któréj przed dwudziestu czterema godzinami ziemia się trzęsła... żeby w tem nieustannem, cichem błyskaniu widzieć odmykające się niebo przed tysiącami bohaterskich dusz, co krwią ciał swoich zrumieniły szerokie brzegi Ticzynu... Mnie, któremu w chwili nadzwyczajnych wrażeń zawsze płyną z serca do głowy brylantowemi słowy wypowiedziane wielkie myśli naszych wielkich poetów — przyszła zaraz na pamięć owa przecudna strofa *Króla Ducha* — którąby Juliusz pewnie zaimprowizował w tem oknie, gdyby jéj nie był dawniéj napisał:

...Ogromny szereg tych wymordowanych
Poszedł. Myślałem że duchy zobaczę
Gdzieś do łabędzi podobne rumianych,
Od których jęczy powietrze i płacze:
Albo że ze ścian ogniem zapisanych
Wyjdą pająki z ognia... straszne tkacze!
Na ściennych ogniach się swych zakołyszą
I wyrok jakiś ognisty napiszą!
. . . .
A niebios! Niebios błękitne framugi
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach.
Patrzały na to ciche — obojętne!
Mnie się wszelako zdawało: że smętne!

Zegary już dawno północ wydzwoniły, a ja jeszcze patrzyłem za oddalającą się czarną chmurą, która po woli bielała i nareszcie znikła z horyzontu ustępując miejsca gwiazdom, co już nie zaćmione niczem, jak wiekuista chwała poległych jaśniały na szafirowem tle nieskończoności...

Ach! czemuż téj nocy nie dożył autor „Przedświtu“. Owiany jéj urokiem, byłby napisał jeszcze jedną, jeszcze cudniejszą „Noc Letnią“.

Jakże z tego wspomnienia — z tego nieba zejść na ziemię bez guza? Jakże po tym salto mortale zerwać się,

i jeszcze po bruku za nowinami gonić? Jak? To rzemiosło i sekret skoczka i korespondenta, on więc tę sztukę potrafi — ale czy się czytelnik nie potłucze w tem nagłem przejściu od poezyi do prozy, za to nie zaręczam. Sądzę jednak, że mu ciekawość będzie spadochronem, i stanąwszy zdrowo na paryzkim bruku, raczy udać się ze mną do księgarni, teatrów i na wystawę.

W pierwszych nie wiele znajdziemy nowości; prócz książek politycznych tak zwanych *de circonstance* — prócz biografii jenerałów, ód do zwycięzców i poematów do Italii — mało co — nic prawie. Literatura cała teraz w dziennikarskich budach się koncentruje — i zaprawdę, nie ja nad jéj upadkiem ubolewać będę — bo na tych oderwanych kartach są opisy zaćmiewające najpyszniejsze dramata — są dokumenta wyższe nad wszystko co dotąd powiedzieli bohaterowie ludzkości.

Z tych płodów umysłowych które powstały w księgarni, najpoważniéj wygląda „Rocznik literacki i dramatyczny“ pana Vapereau, autora wydanego niedawno „Dykcyonarza powszechnego spółczesnych“. Vapereau lubi publikacye encyklopedyczne i ma do nich zdolność: po ludziach, zajął się ich utworami. Właściwie mówiąc, dzieło jego nie jest ani historyą ani kursem literatury, ale raczéj alfabetyczną notatką z komentarzami, wszystkich zdań myśli i pojęć ogłoszonych drukiem w ciągu jednego roku w Paryżu, owéj soczewce skupiającéj w sobie intellektualne promienie całéj Francyi.

Paryż więcéj jak Rzym stary jest reprezentantem swego państwa. Wszystkie natchnienia prowincyi tu się zbiegają, tu rosną, tu owocują i tu są zbierane. W tym ogromnym koncercie narodowym rozmaite odzywają się sympatye i rozmaite brzmią pochwały. Każdy autor ma swoich wielbicieli i nieprzyjaciół. Mieszczaństwo przyklaskuje panom Flaubert, Feydeau et compagnie; zwolennicy subtelniejszych uczuć przyklaskują panom Sandeau, Enault, Feuillet i ich chórom; ci co są za egalnością, wielbią pana Augier; ci co nad wszystko przekładają gryzący dowcip, delektują się panem About. Jednym się powodzi dlatego że są nowi; drugim dla tego że dawni tamtym dla tego że skromni; tym dla

tego że bezwstydni innym nakoniec dla tego że bezbarwni i nierażą nikogo.

Paryż literacki tak jak Paryż municypalny dzieli się na *quartiers*: innych ma entuzyastów plac Breda, a innych Sorbona; ów uznany mistrzem na ulicy Saint-Denis, nie przestąpi najniższego progu w żadnym z pałaców na ulicy Varennes. I tak daléj.

W tym oceanie rozlicznych pojęć i myśli, publikacye padają jak grad oślepiający i ogłuszający każdego kto chce ziarnka jego rachować. P. Vapereau zrobił tedy bardzo dobrze, że z pomocą licznych współpracowników, zapuścił sondę w to morze bezbrzeżne, ale nie bezdenne, bo nawet często zbyt płytkie — że wytknął jego rafy, mielizny, głębie i wiry; wedle tych znaków będzie się można po niem kierować. Taki tom ma wychodzić co rok. Każdy *Année litteraire* w końcu roku przedstawi coś nakształt pola bitwy: ujrzymy na niem stosy trupów — mnóstwo rannych — i samych nawet zwycięzców mocno w boju poturbowanych.

Bouillet wydał także nową edycyę swego „Słownika powszechnego Nauki Literatury i Sztuki". Jestto już czwarta edycya w ciągu lat czterech. Treść dzieła powodzenie to całkowicie tłumaczy. Prócz mnóstwa not objaśniających rozmaite gałęzie wiedzy ludzkiéj, słownik pana Bouillet zawiera etymologię i tłómaczenie wszystkich wyrażeń technicznych we francuzkim języku, streszczoną historyę każdéj nauki, każdéj sztuki, i wykaz dzieł napisanych w tym przedmiocie.

Słownik o którym mowa, oddaje naukom scyentyficznym i literackim takąż usługę jaką oddał „Słownik Historyi i Jeografii" tegoż autora nauce historyi. Oba te dykcyonarze dopełniają się wzajemnie i tworzą najtreściwszą i najdokładniejszą encyklopedyę, jaką dotąd napisano po francuzku.

Jeden z konserwatorów tutejszego Muzeum Historyi Naturalnéj, p. Chenu, wydał książkę pod tytułem: „*Manuel de Conchyliologie*". Jestto treść tego wszystkiego co dotąd w rozmaitych językach napisano o muszlach. Skutkiem przerażającéj liczby rodzajów na które je podzielili angielscy, amerykańscy i niemieccy naturaliści, zbieracze i lubownicy muszel wiele mają kłopotu z ułożeniem swych zbiorów. Książka pana Chenu mniéj pe-

dantyczna i drobiazgowa, klasyfikuje liczną rodzinę ślimaków wedle Lamarcka, w sposób ogólniejszy i każdemu zrozumiały. Ośm tysięcy rycin po większéj części kolorowanych, ułatwiają niezmiernie rozgatunkowanie rodzajów, bo każdy tu wizerunek swojéj konchy znajdzie.

Piękne to album morskie znajduje wielu amatorów, bo mnóstwo osób zajmuje się teraz muszlami. Gust do nich wzbudziły coroczne podróże do kąpiel morskich, które zaczynają coraz więcéj wchodzić w szereg potrzeb niezbędnych. Kąpiel od obiadu przedziela dzień cały, a że przechadzka nakazana, trzeba chcąc niechcąc zajmować się naturą. Cóż robić depcąc po piasku nad morzem? Widok morza choć niezrównanéj piękności, zmęczy nakoniec oczy swym blaskiem — trzeba je spuścić ku ziemi, a spuściwszy spostrzega się muszle. Zwabiony ich kolorem lub formą, podnosi je, zbiera — i często zaczęta dla rozrywki zabawka staje się zbiorem drogim nietylko pamięci, ale i nauce. Otóż „*Manuel de Conchyliologie*“ pana Chenu, jest wybornym doradzcą do klasyfikowania takich amatorskich zbiorów, bo nie nudząc oświeca.

Jednocześnie Dr med. Felix Roubaud, redaktor wychodzącego w Paryżu pisma „*La France Médicale*“ wydał ksiażkę o wodach mineralnych we Francyi. W pracy téj opowiada alfabetycznym porządkiem nazwiska i własności wszystkich wód mineralnych znajdujących się pomiędzy Renem a Pirenejami. Pierwsze to tego rodzaju dzieło tak kompletne. Mniemam, że nietylko dla tutejszych, ale i dla naszych lekarzy może mieć wartość.

Tyle co do książek wydanych w tym miesiącu.

W teatrach mnóstwo sztuk nowych — ale wszystkie na stare przykrawane wzory. Przysłowie słusznie mówi, że niema nic nowego pod słońcem; to zdanie stosuje się mianowicie do teatralnych latarek. Nowi dramaturgowie rzucili się hurmem do starych sposobów rozczulania. Niedawno jeszcze przesadzano się w Paryżu w krytykowaniu i wyśmiewaniu form tragicznych. Teraz powoli autorowie powracają do swych starych, wyszydzonych efektów.

Wiadomo że jednym z najczęściéj używanych przez Melpomenę środków elektryzowania słuchaczy, jest jedno wyraziste słowo, które w stanowczéj chwili, jakaś

figura w tunice, kasku i koturnach, puszczała jak kulę armatnią pomiędzy publiczność — poczem, kiedy ów wyraz rykoszetował po parterze trącając wszystkie żyłki zapału — figura w klasycznéj pozie stała przez chwilę czekając w milczeniu salw wywołanych swem czarownem zaklęciem. Słowem takiem w Manliusie jest: „Cóż ty na to?“ w Medei: „Milcz!“, w Cydzie: „Zjedz mego ojca!“ i t. d. Każda tragedya ma swoje słowo. Dziś wyczerpani autorowie, odkopali ten stary sposób wyciskania oklasków, i używają go z wielkim sukcesem.

W *Porte-Saint-Martin*, w dramacie, „*Outrage*“ wiele narobiło hałasu jedno „*Tue-le!*“ rzucone przez zbezczeszczoną bohatyrkę. W „Drugiéj Młodości“ Ucharda, jest także takie słowo, które wysadziło miny zapału i zdecydowało zwycięztwo autora. „Żenię się z nią!“ woła w czwartym akcie miłosierny kochanek, zdecydowany dla wymogów rozwiązania sztuki, pokryć pawilonem legalności sprawki płochéj kochanki. Bez tego słowa sztuka byłaby może przepadła — tak zaś, do rzędu najmoralniejszych policzoną została — i może dostanie nagrodę Monthyona.

Powodzenie tych prób, zachęci pewnie mnóstwo naśladowców, i wszystkie sztuki nowe kończyć się będą moralnym wystrzałem. Na krótko tylko może wstrzymane zostaną prawdziwą kanonadą, która w téj chwili rozlega się po wszystkich bulwarowych teatrach.

Alea jacta est. Ambargo zdjęte. Wszystkie sztuki wojenne na czas schowane z wyższego nakazu, wychodzą teraz na jaw. Wszystkie afisze drukują się teraz *italikami*. *Porte-Saint-Martin* przedstawia „Barbarzyńców“. Cyrk przygotowuje „Ofiary Austryi“. „Kwestya włoska“ jest w repetycyi. W *Gaîté* grają „*la Veille de Marengo*“ wśród okrzyków radości.

Możnaby bardzo łatwo dowieść, że „Wigilia Marengo“ spoczywa na historycznéj omyłce; że Włosi w 1799 nie mieli wcale dla Francuzów uczuć jakie im dramat przyznaje; że czasy teraz zupełnie inne; że wtedy Francuzi byli we Włoszech po prostu jako zdobywcy — że gdyby wtedy był kto kazał wybierać Włochom pomiędzy Francyą a Austryą, byliby się pewnie namyślali....

Ale pominąwszy tę okoliczność i przyjąwszy Wigilię Marengo, jako allegoryę *en action*, już tylko chwalić

wypada. Jestto okrzyk wojenny w siedmiu obrazach; dyalogi zawsze popiera baterya armat; kantaty i naboje palą się na przemiany; nikt ani myśli kontrolować intrygi lub skarżyć się na naciąganie sytuacyi. Są chwile, w których wszystkie kwiaty retoryki nie dosięgają wymowy jednego wystrzału.

Wśród powszechnéj wrzawy jeden tylko Teatr liryczny śpiewa pianissimo „Wykradzenie z Seraju“ Mozarta. Sztuka ta, jak ci wiadomo, jest śpiewem miłosnym wielkiego mistrza: Mozart był zakochany, kiedy układał tę milutką muzykę, kochał tę z którą się późniéj ożenił: Konstancyę Weber. W miesiąc po przedstawieniu téj opery, wykradł swoją Kostusię, nie z seraju ale z rodzicielskiego domu. Bohatyrce sztuki na imie także Konstancya; można więc powiedzieć, że Mozart do miłości swojéj dorobił muzykę i zatytułował ją: „Wykradzenie z Seraju“.

Wyobrażam sobie, że panna Konstancya musiała mu być bardzo wdzięczna za tak harmonijne wyznanie miłości. Kobieta mogłaby nie wierzyć w muzykalne oświadczyny Cimarosy lub Rossiniego; świetni ci mistrzowie obiecują tylko przelotne rozkosze i upojenia nie trwałe — ale namiętnemu czuciu duetów Mozarta uwierzyć i poddać się musi każda kochanka, bo otwierają niebo nieprzebranego szczęścia — anielskim językiem przyrzekają miłość bez końca i wieczyste małżeństwo ogrzane płomieniem nieśmiertelnego ognia. Trzeba nawet uwierzyć Don Juanowi kiedy śpiewa Zerlinie nieporównane *là ci darem la mano*. On myśli że kłamie — a tymczasem wypowiada prawdę, bo głos Mozarta przemawia jego usty i nadaje jego fałszywéj przysiędze wyraz szczerości.

Wystawa wielka obrazów i wystawa Ary Scheffera zawsze pełne — i tak będzie aż do końca tego miesiąca, do czasu, w którym obie zostaną zamknięte. Ostatnią zwiedziło już 40,000 osób. Wystawa wielka przygotowuje loteryę obrazów, któréj ciągnienie naznaczone na wigilię zamknięcia.

A propos niéj, muszę ci opowiedzieć potyczkę zaszłą w sali akwarell, którą jedno z tutejszych pism humorystycznych z wyborną opisało werwą.

P. Heim, malarz, wystawił robione kredką sześćdziesiąt cztery portrety członków Instytutu. Akademicy już

w naturze nie grzeszący pięknością, na tych portretach wbrew przyjętemu zwyczajowi, wydają się jeszcze gorzéj.

Niektórzy członkowie uczonego grona, podobno boleśnie dotknięci byli tą niełaską artysty; mianowicie Flourans, który jak wiadomo, południk życia ludzkiego na rok sześćdziesiąty nastawił, obaczywszy się na portrecie starym, wpadł w wielką złość, i oświadczył że portret swój z ram wydrzeć każe. Estetyk Saint-Beuve mający znowu do piękności pretensyę, także niezadowolenia swego nie tail. Było z tego powodu wiele scen śmiesznych, z których paryzki humorysta ułożył rodzaj wybornego dramatu.

Zamach rewolucyjny, powiada, zamach przypominający najgorsze dni, zawichrzył salę akwarell w stronie gdzie wiszą akademickie wizerunki. Brzydota członków Instytutu spotęgowana przez brutalny ołówek Heima była powodem téj demonstracyi. P. Saint-Beuve najwięcéj skrzywdzony, dał hasło do buntu. Oto szczegóły tego wypadku.

Wczoraj o wschodzie słońca, wszystkie wyż wspomnione portrety zaczęły się trząść i ruszać w ramach. Po chwili takiego kataklizmu, następująca zawiązała się rozmowa:

Saint-Beuve (usiłując zedrzeć szlafmycę w któréj go artysta odmalował). Co za pomysł, żeby rzecz taką zostawić na głowie człowiekowi pozującemu! Widzę się w szybie, i spostrzegam, że jestem bezecny... ja, autor *de „la Volupté“*.

Martinet (potulny człeczek, któremu malarz nadał wyraz okrutny). A ja, a ja! jakżem fatalny! *Ventre bleu! Morbleu!*

Saint-Beuve. Wyglądasz jak rozbójnik.

Martinet. Dalibóg, poznać się nie mogę. *Corpo di Bacco!*

Duban (starowina elegancik, usiłując uporządkować rozczochraną perukę). Pohamuj się kolego! Cóż za wyrażenia! Przecież nie jesteśmy w kordegardzie! (na stronie) *Bète de peruque!*

Robert Fleury. Duban ma słuszność. Patrz! Jouffroy

Flandrin także zeszpeceni do niepoznania — a przecież cierpią w milczeniu.

Velpeau (twarz mocno ospowata, mina wściekła). Panowie! oświadczam, że każdemu kto się nie zbuntuje, zaszczepię ospę — a kto się będzie bronił, tego przebiję lancetem.

Dumon (sławny tchórz). Kochany kolego! strach mię bierze! uciekajmy.... wyskoczmy z ram...

Dupin (prezes izby). Jesteśmy tu z woli pana Heima— wyjdziemy tylko za wolą większości.

(Velpeau przygotowuje swoje narzędzia).

Picot (jeden z jurów). Gdyby mnie byli słuchali sędziowie, bylibyśmy wszyscy odmówieni.

Vernet (głowa starego zuawa). Straszną wrzawę robią ci panowie.... śmiałbym się żeby mi przedstawili batalię...

Delacroix. Gdzie tam! To salonowa emeta, bez żadnego charakteru.

Saint-Beuve. Wstańmy! potłuczmy szyby! Bracia! do broni! do broni!

Dupin. Proszę o głos. Panowie! niesłusznie gniewacie się — brzydota jest patentem na zdolność — wiem to z własnego doświadczenia.

Augier (przystojny mężczyzna). Nie potrzeba być szkaradnym żeby mieć talent.

Longperrier (mina pogrzebowa). Ach, jakże mnie upokarza ta moja brzydota!...

Saint-Beuve. Żeby mi choć zdjął tę szlafmycę...

Flourans (zagarniając włosy na łysinę). Co za koncept! Szlafmyca, kiedyśmy wszyscy młodzi, (na stronie) Cóż ten kosmyk nie chce się trzymać!

Saint-Beuve. Dalej! do czynu! do czynu! Niech ci co się czują bardzo szpetni, podniosą w górę ręce. (Mnóstwo rąk się podnosi).

Dupin. Co czynicie! poruszając ramy wychodzimy z legalności!

Brescast (legitymista). Jestem za spokojem — *quand même*.

Saint-Beuve. Do broni! Idźcie za moją szlafmycą!

Duban (rzucając w górę perukę). *Libre et décoiffé!*

Flandrin (malarz, usiłując poprawić swój portret).

Gdzie tam, ani sposób. Ten diabelec Heim jest niepoprawny.

Velpeau (okropnym basem). *Bistourie et forceps!* Heim idzie!

(Heim usłyszawszy hałas, wchodzi do salonu. Akademicy rzucają się na niego).

Saint-Beuve (trzymając go za ręce). Flandrin! zeszpeć mu twarz! Ot tak dobrze! lewem okiem patrzy w prawą kieszeń — a nos na lewe ucho się ogląda.

Velpeau. Proponuję, żeby mu puścić krew ze czterech członków i powyrywać wszystkie zęby

Saint-Beuve. To niedość! Dajmy mu naszą brzydotę!

Zaburzenie wzrasta. Życie artysty zagrożone. Dupin zawsze legalny przybywa mu na pomoc. W końcu rewolucya zwycięża. Heim zabity leży na ziemi. Akademicy tańcują dokoła trupa karmagnolę.

Saint-Beuve (powiewając chustką). Pomszczeni i wolni!! (chwyta się za głowę). Ach! cóż to jeszcze ta przeklęta szlafmyca na głowie?!!

Sens moralny. Iróbże tu rewolucye!

Oxford w czerwcu.

W wycieczkach moich po Anglii zawadziłem znowu o Oxford. Czytelnicy wasi przypomną sobie, że zeszłego roku mieli krótki opis uniwersytetu oxfordzkiego, który w *Dodatku* wrześniowym był umieszczony. Był to głównie opis naukowy i historyczny, z dotknięciem ledwie z lekka społecznéj uniwersytetu strony, porzuconéj tam widocznie dla krótkości, a która przecie niemniéj jest ciekawą i ważną. Dla tego rzecz daléj o téj starożytnéj wszechnicy prowadzę.

Poczynam od 1go czerwca, który jako stanowiący wiekopomną w dziejach angielskich rocznicę, przed wszystkiemi innemi mianowany jest „*a glori·us day*“ dniem świetnym. W nim sławny lord Howe, w samych początkach wielkiéj wojny z Francyą przy końcu ubiegłego stulecia, rozbił wśród oceanu Atlantyckiego potężną flotę Francyi, torując przez to marynarce angielskiéj drogę

do późniejszych zwycięztw morskich pod Abukir, Trafalgar i wielu innych miejscach. Słusznie przeto Anglicy szczycą się dniem 1go czerwca. Wszyscy w jakimbądź związku zostający ze służbą morską, obchodzą corocznie ten dzień na okrętach, po klubach i stowarzyszeniach jachtowych świetnemi ucztami; okręty stroją się w bandery, muzyka rozlega się na pokładach, wesołość panuje wszędzie w narodzie morskim.

Uniwersytet oxfordzki, jako złożony z młodzieży narodu morskiego, obchodził także tę narodową rocznicę. Byłem tego obchodu świadkiem. Trzeba bowiem wiedzieć, że i uniwersytet — jak to w powyżéj wspomnionym opisie była mowa — ma swój klub marynarzy; posiada na rzece Isis różnego kształtu statki, łodzie i czółna, będące własnością różnych kolegiów i ich kosztem utrzymywane. Na nich młodzież akademicka wprawia się do żeglarstwa. Wszystkie te statki tworzą jakby małą flotyllę. Przy brzegu stojące i gdzie się członkowie klubu zwykli zgromadzać, są jak pływające przestronne salony z oknami, ślicznie zewnątrz pomalowane, a wewnątrz z kanapami i z długim pośrodku stołem, gdzie widzieć można rozmaite gazety i książki. Każde prawie kolegium — a jest ich wszystkich dziewiętnaście — ma osobny, mniéj więcéj ozdobny taki statek; wspólny im wszystkim jest największy i najozdobniejszy, z pięknie umeblowanym salonem. Nad salonem jest pomost, z balustradą do koła, i oddzielne miejsce na kapelę. Podobną flotyllę ma posiadać także uniwersytet w Cambridge. Oba te uniwersytety idą w zawody z sobą, wyzywają się corok na wyścigi na łodziach, które pośród licznego zbiegowiska ludu odbywają się pod Londynem na Tamizie. Zeszłego roku Kantabom powiodło się otrzymać zwycięztwo, tego zaś roku w kwietniu Oxończycy zdobyli wiosłem zwycięzką palmę. Najwprawniejsi z obu stron obierani do tego bywają wioślarze. Walka kończy się zwykle wspólną biesiadą i mowami pochwalnemi zwycięzców dla zwyciężonych. Lecz to tylko nawiasem, aby lepiéj wyjaśnić ducha jakim ożywiona młodzież obu uniwersytetów, a poniekąd i sposób jak narodowa uroczystość „świetnych dni czerwcowych“ była tu obchodzoną.

Obchodzili ją akademicy wyprawianiem wyścigów (races) na łodziach, czyli urządzeniem pewnego rodzaju naumachii na tym samym elemencie, na którym zwycięztwo owych dni było odniesione; a trwało to przez sześć dni. Od 1go czerwca przez cały tydzień powiewały nad nadbrzeżnemi statkami wywieszone bandery różnych kolegiów; każdy bowiem statek nosi kolory i herb swego kolegium; a na głównym i wspólnym statku powiewały razem połączone wszystkich bandery. Na nim dobrana kapela odgrywała pieśni narodowe. Po pokładach statków było pełno widzów, gości zaproszonych, mężczyzn i kobiet, zaś rzekę Isis okrywał lud różnych stanów. Wielu z okolic i nawet z Londynu umyślnie na to widowisko przybyło, od parę tygodni gotowano się na jego obchód, osobliwie zaś lud prosty, ciekawy widzieć, jak też gentlemany wiosłami się popiszą. Wszystkich też wzrok był wytężony ku stanowisku, z którego łodzie miały odpłynąć, a które dla krętości rzeki nie od razu mogło być widziane. Wystrzał z moździerza już był dany — na znak jego łodzie wyruszyły, a jeszcze ich niedostrzedz. Widać było tylko z dali ruch biegnącego ludu po obu brzegach rzeki — słychać głosy to radości dla wyprzedzających, to życzliwéj zachęty dla tych co w tyle pozostawały. Wśród tych głośnych okrzyków, za chwilę dostrzega się bielące punkta na powierzchni wody. Była to piana mąconéj wiosłami fali. Niezadługo rozpoznano łodzie i wioślarzy na nich. Było 16 łodzi tak prześcigających się — każda ośmiołokciowa — jak strzały po wodzie wśród radosnych z brzegu okrzyków, wywijania kapeluszy, powiewania chustek. Do jakiego kolegium łódź która należała, poznawało się po kolorach odzieży i czapeczek wioślarzy; bo czy to na wyścigach konnych, czy na polowaniu, czy na regatach Anglicy zawsze noszą odmienny ubiór. Tego roku statki kolegiów: *Brasenose*, *Exeter* i *Balliot* były między zwyciężającemi. *Balliot* jako zawsze w naukach tak i na wyścigach wszystkich prześciga. Ztąd widać, że gimnastyczne ćwiczenia mogą być połączone bez uszczerbku dla umysłowych ukształceń. Jedne i drugie wspierają się nawzajem, nadają męzkość charakterom. *Mens sana in corpore sano.*

Ćwiczenia gimnastyczne, które w młodzieży tak dorosłéj jak akademicy byłyby gdzieindziéj poczytane za dziecinną pustotę i stratę czasu, rozwijane są w Oxfordzie do wysokiego stopnia przez zawiązywanie równie na nie jak dla nauki stowarzyszeń; celowanie zaś w nich kładzie się ledwie nie na równi z celowaniem w jakowym przedmiocie umiejętności. Młodzież rada mieć między sobą kolegów, co jak powyżéj opisani, dzielnie robią wiosłem, zręcznie grają w palanta, z łuku trafnie strzelają do tarczy, dziarsko dosiadują rumaków, fechtują się, i takich nawet co boksują, bo co kiedyś ojcowie ich praktykowali to i oni praktykują: wszakże i to należy do obrębu umiejętności ludzkich. Znajdują się w mieście upoważnione przez uniwersytet zakłady do nauczania jednych; a do nabycia innych sama młodzież środki wynajduje.

Najulubieńszą grą i zdrową, bo na wolnem powietrzu, a w któréj młodzież najczynniejszy bierze udział, jest gra w palanta (*cricket*). Ci co lubią tę zabawę, zawiązani są w osobny klub, i mają za miastem na nią przestronny plac własnym kosztem utrzymywany. Podobny klub istnieje także w Cambridge, i oba kluby co rok w ten sam czas co na wyścigi łodziane wyzywają się i na palanta. Bieżący rok szczególniéj nieszczęśliwy był dla Kantabów, gdyż jak na wyścigach łodziami tak i w palanta przegrali. Z pięciu kursów co mieli, w jednym tylko zyskali pierwszeństwo. Dzienniki londyńskie dały o każdéj wówczas walce obszerne i szczegółowe opisy; z tak małéj na pozór rzeczy robiąc sprawę publiczną; lecz, jakkolwiek ona wydaje się drobną, interesowała mocno czytelników angielskich, upatrujących w tych zapasach młodzieży nietylko przechowywanie tradycyjnych gier i zabaw narodowych, lecz oraz nabywanie hartu do męzkich zatrudnień. Instynkt narodu takiego jak angielski każe, aby jego instytuta niewychowywały niewieściuchów.

Dość też czasu, jak uważałem, zostawia się młodzieży po uniwersytetach angielskich na te męzkie zajęcia; sam rozkład czasu w kolegiach, a który jest we wszystkich jednakowy, najlepsze da o tem wyobrażenie. Studenci mieszkający w nich muszą wstawać rano o szóstéj godzinie, o siódméj idą na ranne nabożeństwo do kaplicy,

a potem mają śniadanie. Od dziewiątéj do drugiéj czas przeznaczony na kursa naukowe — rzadko dłużéj, chyba na jaką nadobowiązkową lub nadzwyczajną prelekcyę. Potem prawie cały popołudniowy czas mają wolny. Po drugiéj, każdy zrzuca z siebie togę i czworograniasty biret, a wdziawszy zwyczajne suknie i kapelusz słomiany, (bo takie weszły tu w modę, z przepaską tylko barwy kolegium do którego kto należy), rusza gdzie mu się podoba. Jedni idą do ogrodów lub w aleę, by używać — zwłaszcza w obecnéj letniéj porze — chłodu w cieniu rozłożystych kasztanów i wiązów, drudzy pływać na łodziach, inni wycieczki czynią w okolice; lecz największa ich część udaje się za miasto na pole palantowe, już to pieszo, już to — a co najczęściéj — w ogromnych pojazdach zabierających odrazu ze 30 osób. Pojazdy te otwarte, zdają się być umyślnie dla nich urządzone, bo nigdzie podobnych nie zdarzyło mi się widzieć. Zaprzęgają do nich zawsze cztery konie. Dziwny to widok patrzeć, jak takowy rydwan pędzi przez ulice z tak skupionym bukietem w słomianych kapeluszach; bo akademicy to mają do siebie, że choć po cywilnemu ubrani, odzież ich zawsze ma jednakowy krój, i tem się różnią od mieszczan. Gdziekolwiek kto był, wraca do swego kolegium o szóstéj, bo o téj godzinie obiad. Po obiedzie znów mają czas wolny. Jedni obracają go na dawanie tak zwanych „*wine parties*“ na które swych kolegów zapraszają, a które zwykle kończą się na kawie i herbacie, jak to zawsze bywa po obiadach angielskich; nie bez tego wszakże żeby i one czasami nieprowadziły do zbytków; ogół jednak uczniów wychodzi znów na przechadzkę lub spędza czas na towarzyskiéj rozmowie z kolegami. O dziewiątéj wszyscy muszą być w swych kolegiach, bo bramy o téj godzinie zamykają. Kto się spóźni, podlega mniejszéj lub większéj karze pieniężnéj, w miarę pory o któréj wrócił. Prócz tego czepia się do spóźnienia *mala nota*, a nawet wygowór od proktorów dla częściéj wykraczających.

Policya uniwersytecka spoczywa w ręku dwóch *proktorów (procuratores)* obieranych z pomiędzy towarzyszy, czyli tak zwanych „*fellows*“ z dwóch corocznie kolegiów. Jeden z nich jest zwany „*senior*“ starszy, drugi „*junior*“

młodszy. Każdy z nich przybiera sobie dwóch proproktorów w pomoc, którzy zawsze bywają w stopniu magistrów. Mają oni nadto pewną liczbę podwładnych policyantów i posługaczy, których studenci z nienawiści zwykli nazywać *buldogami*, bo policya nigdzie nie jest lubioną. Dawniéj policya nad całym Oxfordem należała głównie do uniwersytetu; lecz w tych czasach nastąpił podział: że miasto utrzymuje policyę we dnie, a uniwersytet w nocy. Ogólne jednak czuwanie nad młodzieżą i we dnie nie ustaje. I tak, a częścią według statutów, przyjętego zwyczaju, nie wolno studentom wydalać się na 20 mil ang. (około 4 mil geogr.) z Oxfordu bez wyraźnego pozwolenia od swéj zwierzchności. Nie wolno zgromadzać się po rynkach, zachodzić do karczem, szynków, ani do sklepów tytuniowych. Nie wolno przychodzić na lekcye bez togi, a za miasto w todze. Nie wolno polować na zwierzęta z psami, ani psiarnię utrzymywać. Nie wolno bawić się walką kogutów. Nie wolno nosić broni palnéj ani siecznéj, ani łuków, prócz służących dla zabawy. Nadto statut zakazuje gonitw konnych, gry w karty, w kostki i wszelkich gier hazardownych; zakazuje chodzić na teatra, widowiska, skoczków na linach, szermierzy i wszelkich innych kuglarzy pokazujących sztuki za pieniądze. Nie ujrzysz też ich wcale w mieście, gdyż Wice-kanclerz ma prawo wypędzania ich i więzienia gdyby się jacy pojawili. Zwalnia się to prawo jedynie dla dających koncerta, ale i one bez zezwolenia Wice kanclerza niemogą być dawane, a pozwolenie to nie daje się jak tylko dla pierwszego rzędu artystów, lub śpiewaczek jak Katalani, Jenny Lind, Klara Novello. Z tem wszystkiem nie można powiedzieć, żeby nie było koncertów lub że muzyka nie kwitnie w Oxfordzie. Prawda, że nie usłyszysz tu *Somnambuli* i *Traviati*, ani śpiewu w rodzaju *vaudevillów*, bo niema teatru; ale za to można co dzień słyszeć wyborne choralne śpiewy w kaplicach kilku kolegiów i po kościołach. Przy tem wszelkiéj zachęty doznaje tu muzyka, aż do rozwinięcia się, gdyż osobny w uniwersytecie znajduje się dla niéj wydział, dawane są stypendya i premia dla poświęcających się jéj, i przyznawane uczniom nawet stopnie akademickie, mianowicie: bakalaureat i doktorat (D. Mus.). Niepodobna jest, żeby się tym sposobem nietworzyła

szkoła muzyki i śpiewu, tak w rodzaju kościelnym i poważnym, który u nich zdaje się przeważać, jak wesoło humorystycznym, mającym cechę i zalety ich „*glees*“.

Jedną z takowych kościelnych kompozycyj miałem tu sposobność słyszeć publicznie wykonaną w sali uniwersyteckiéj, w obec Wice-kanclerza i licznéj publiczności. P. Atkins otworzywszy bakalaureat, musiał się z nią produkować; bo taki tu jest zwyczaj dla wszystkich co ten stopień w muzyce osięgną, że z swego utworu publicznie składają próbę. Kompozycya była w stylu Oratoryów według tekstu Pisma ś. który był drukowany i rozdzielany między obecnych. Wykonaną była przy organach i z chórem dobranych śpiewaków. Drugim a nielada także dowodem kultywowania muzyki w uniwersytecie był publiczny koncert, dany w tutejszym ratuszu dnia 9 b. m. przez Towarzystwo miłośników muzyki złożone z samych akademików. Kompozycye na fortepian jak *La Zingara* Vossa, *Duet wojskowy* Mendelsona w stylu uwertury, i *Fleurs de May* Pawła Rizia, odgrywano z mistrzowską biegłością i dotknięciem; a trudnoby słyszeć śpiew z większym gustem i głębokością oddany, jak do owych sławnych Szekspira słów: *The cloud-cap't towers*, odśpiewanych chórem przez Akademików. Słysząc ten chór, stokroć silniéj każdy z obecnych musiał być uderzony szczytnością słów poety, uczuł z nich, co wielkość i wszelkiéj wielkości nicość. Niemniéj przedziwnie, lubo we wcale odmiennym, bo lekkim stylu, wydał się chór śpiewający: *Merrily, merrily, goes the bark*, a który tem więcéj okazał zapału męzkiéj energii, że było właśnie po skończonych wyścigach na łodziach, a śpiew był jakoby na ich cześć. Chór składał się z dwudziestu kilku dobranych głosów, a wszystkie dobrze były wyrobione. Zgoła, na czemkolwiek Oxfordowi zbywa w jednym względzie, to sowicie wynagrodzonem jest ze strony uniwersytetu w innym. Każda z Muz ma w nim swoje miejsce i odbiera należną cześć, z wyłączeniem wszakże jednéj Terpsychory, bo tańce są zupełnie zaniedbane i niema żadnych balów. Młodzież angielska, jako do czynnego życia wychowująca się, niema czasu na coups de chat, na balanse, hołupce, i inne podrygi. Dla tego rzadko widzieć Anglików dobrze tańczących. Taniec wydaje się mieć coś

poniżającego i razi ich nawet w baletnikach i baletniczkach; z téj przyczyny i teatra angielskie mało słyną z baletów.

Na szczególną uwagę zasługuje tu zakład zwany „*Union*“. Jest to klub akademicki na wzór klubów londyńskich założony i utrzymywany przez członków, którzy przypuszczani są do niego za ballotem. Klub ma swą bibliotekę, utrzymuje celniejsze czasopisma i dzienniki tak angielskie jak zagraniczne; odróżnia się z resztą od klubów londyńskich tylko tem, że w nim nic się nie jada, nie pija, ale dostarcza on wszelkie źródła i materyały do czytania i pisania; a co jeszcze ważniejszem, poddają się w nim co tydzień kwestye obchodzące kraj pod dyskusyę członków. Z pomiędzy najświeższych kwestyj rozbieranych, były na przykład następujące: „Jaki rodzaj rządu byłby najlepszy do rządzenia w Indyach?“ „Czy tajnem głosowaniem (ballot) zapobiegłoby się nadużyciom na wyborach?“ „Ile neutralność podczas obecnéj wojny może się przyczynić do zachowania pokoju w Europie?“ Te i tym podobne przedmioty brane są pod rozwagę, z wyjątkiem wszakże teologicznych; a że są obustronne, decyduje się większością głosów; w razie zaś niewyczerpania argumentów *za* i *przeciw*, odracza się dyskusya na następne posiedzenie. Przytem wszystkiem przestrzega się porządku i form parlamentarskich. Jest Speaker prezydujący, na rok wybieralny. Mówca jakkolwiek tylko młodzik, zabierając głos tytułuje swego przeciwnika „szanownym przyjacielem“; używa sposobu mówienia i figur retorycznych, jakie używane są przez mówców w parlamencie, i przychodząc do konkluzyi z swem rozumowaniem, odwołuje się do zdania całéj Izby. I tak sala miniaturowa klubu naśladując parlament, nosi ze wszystkiem podobieństwo do wielkiéj jego Izby — ma swych Humów, lordów John, Peelów, Brightów i D'Israelich — ma nawet swą galeryę na okrzyki i poklaski mówców. Klub ten istnieje od roku 1826. Ile zaś od tego czasu wpłynął na usposobienie swych członków do publicznego życia, dowodzi najlepiéj to, że z dawniejszych jego prezesów, dwaj są dziś biskupami, kilku było ministrami, a kilkunastu zasiada w parlamencie. Jest on przeto wyborną początkową szkołą dla przyszłych mężów stanu; przyucza bowiem, jak to czego się uczą w teo-

ryi — a co bez jawności dyskusyi zostałoby może martwym kapitałem, — zamieniać w praktykę, obracać na użytek społeczeństwa. Członkom klubu służy prawo żądania pism, jakich zechcą do sprowadzenia, wywieszając ich tytuł na tablicy. Ostatnią razą będąc tam widziałem wywieszony do sprowadzenia dziennik „*Ἐλπις*“ z Aten. Kiedyż to przyjdzie koléj, że i „*Czas*“ zapiszą?

Ile razy zdarzy mi się zwiedzać jaką bibliotekę, zawsze pytam: Czy są w niéj jakie polskie lub słowiańskie książki — bo to *rarae aves*. Przed kilkoma dniami zaszedłem był do biblioteki Instytutu „Taylorian“, przeznaczonego dla literatury i żyjących języków, sądząc że przecież w niéj cokolwiek naszego zdybię. Lecz gdzie tam! Wszystkich narodów europejskich i azyatyckich znalazłem książki — wszystkie języki były żyjące, tylko nie nasz ani naszemu pobratymcze — one były martwe, zapomniane, zapoznane. Na pytanie o nie, odebrałem od bibliotekarza odpowiedź, że nic nie mają — przynajmniéj żadnych dzieł słowiańskich, mają tylko gramatyki, — jeśli zechcę, to mi je w katalogu pokaże. Rozłożył więc katalog — i na jednéj stronicy, mającéj nagłowek: „*Slavonian*“, znajdowały się wszystkie razem: illiryjskie, mołdawo-wołoskie, serbskie, czeskie, bółgarskie, polskie, rosyjskie. Ale tylko gramatyki, i większa ich część w niemieckim języku. Wypiszę wam te tutejsze osobliwości: Gramatyki *niemieckie* i dla użytku niemców: Illiryjska przez Berlica, Wiedeń 1854; mołdo-wołoska Błażewicza, Lwów 1844; serbska Wuka Karadzicza, Lipsk 1824; bółgarska przez Cankofa, Wiedeń 1852; czeskie Szafarzyka i Dubrawskiego. Nadto Dubrawskiego: Inst. Linguae Slavicae dialecti veteris, Vindobonae 1822. Rosyjska i dla użytku rosyjskich szkół: Christofora Cellarya krotkoi latinskoi Leksikon, Petersburg 1746. Jako zabytek polski z przeszło stu lat: Grammatica ad usum juventutis Scholarum Piarum, editio correctior, Varsaviae. Typis S. R. M. et Reipublicae, Anno 1756. Ostatnie trzy gramatyki ofiarował do biblioteki p. Finch M. A. z kolegium Balliot, co pierwszy może chciał tu uwagę na słowiańską literaturę zwrócić. Z nowoczesnych gramatyk polskich posiadają Grammaire de la Langue Polonaise à l'usage des Français par Orda, Paris 1856. Słowników żadnych niemieli prócz jednego

rosyjskiego. Co mnie jednak uradowało, to przekład Poezyi Mickiewicza na język francuzki przez Krystyna hr. Ostrowskiego, w dwóch tomach, które dzieło z Paryża było świeżo do biblioteki sprowadzone i leżało pośród innych literackich nowości na stole.

Czerwiec jest najpiękniejszym miesiącem w Anglii, roślinność bowiem jest w nim w całéj pełni rozwinięcia i siły. Okolice Oxfordu szczególnie na niwach i bujnych łąkach, — gdzie teraz sianożęć rozpoczęta, zajmujący przedstawiają widok. Miasto przed parą dniami miało bogatą wystawę kwiatów, gdyż i z obfitości Flory one słyną. W obszernych ogrodach kolegiów można widzieć największą rozmaitość jéj darów; mieszczanie pielęgnują kwiaty na rządkach przed domami, zastawiają niemi okna, i nie ujrzysz tak zaniedbanéj chatki wieśniaczéj, przed którą by nie znajdowały się grządki kwiatów, lub wonny powój z jaśminami i różami niewspinał się po ścianach. Ogród botaniczny tutejszy szczególnie przedstawia się teraz w całéj wspaniałości, i licznie przez publiczność jest zwiedzany, aby podziwiać magnolie, krzewy rododendronów, piwonie, tulipany, aloesy i rozmaitości róż czarnych i nawet żółtych, — bo do tej już doskonałości kultura kwiatów przyszła. Cieplarnie zaś szklane pełne są podzwrotnikowych roślin, rzadszych jeszcze barwami i kształtem kwiatów. Publiczność podziwia to wszystko, i rozciekawiona przysparza licznych słuchaczów Doktorowi Daubeney prof. botaniki, dającemu swe prelekcye tamże w ogrodzie. Byłem sam na dwóch, i na ławach pośród słuchaczów w togach widziałem nawet damy siedzące. Dr Daubeney ma szczególnie łatwy sposób wykładania swéj nauki. Udziela on naprzód swym uczniom drukowany prospekt całéj botaniki, z oznaczeniem poszczególnie wszystkich jéj podziałów według jego systematu, a który różni się od innych i jemu jest właściwy. Za wejściem do sali uczniowie znajdują na tablicy skreślone główniejsze podziały botaniczne mającéj dawać się lekcyi, a na innych pobocznych tablicach w różnych figurach struktura roślin pod podziałami objętych. Nadto uczniowie widzą egzemplarze roślin w pęczkach rozłożone rzędem na długim stole, które kolejno jak leżą profesor objaśnia, i dla bliższego obejrzenia po ławkach je rozsyła, zwracając uwagę nie

tylko na zewnętrzne ich znamiona i różnice, ale oraz na wewnętrzne własności — o ile one mogą być przydatne na pokarm, na lekarstwa lub do wyrobów fabrycznych; jaki niektórych jest zapach, i czy nie mają w sobie trucizny. Tym sposobem teoryę połączając z praktyką Dr Daubeney ułatwia poznanie botaniki i z oschłéj na pozor nauki robi przyjemną i zajmującą.

Po dniu 7 lipca poczynają się długie letnie wakacye, trwające aż do października. Przed rozpoczęciem tych feryj odbywa Uniwersytet tak zwaną „*Commemoration*“, wielką uroczystość akademicką połączoną z rozdawaniem nagród i zaszczycaniem sławnych i zasłużonych w kraju mężów stopniami doktorów. Uroczystość trwa przez kilka dni; zjazd bywa w mieście — już nawet teraz począł się Oxford zaludniać. Co się podtenczas ważnego wydarzy, o tem napiszę wam w lipcu.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Dawniéj porozpoczynane wydawnictwa postępują swoją drogą. Nowego nic się niezawiązuje; zdaje że się na teraz wszelkie podobne przedsięwzięcia zostają wstrzymane. Dzieje i opis Katedry p. X. Łętowskiego niebawem zostaną ukończone — będzie to dzieło odznaczające się i rzeczą i ozdobnem wydaniem, szczególniéj widokami Katedry. — Z Drukarni Uniwersyteckiéj nakładem Tow. Nauk. Krak. wyszedł: *Elementarny Wykład Matematyki* p. Jana Kantego Steczkowskiego pr. Uniw. Jag.— Jest to część III obejmująca *Geometryą— Trygonometrią prostokreślną i Sferyczną*. Tow. Nauk. wydało także Spis imienny swoich członków — oraz darów złożonych Towarzystwu od r. 1858—1859. — *Biblioteka Polska* wydawana przez p. Turowskiego kończy już w pięknym przedruku Paprockiego: *Herby Rycerstwa,* co nieprzeszkadza publikacyi innych pism rzadkich i broszur; temi dniami w trzech zeszytach wyszły następujące mało komu znane dawne broszury: 1.) Krótkie rzeczy potrzebnych z strony wolności a swobód polskich zebranie. 2.) Naprawa Rzeczypospolitéj do Elekcyi nowego króla — 3.) O wolności Rzeczypospolitéj albo Szlacheckiéj. 4.) Wotum szlachcica polskiego o założeniu skarbu Rzeczyp. i o obronie krajów ruskich — pisma te odnoszą się najwięcéj do 16go i do początków 17 wieku obok tego ukaże się niebawem Żywot poczciwego człowieka Mikołaja Reja, wraz z wstępną rozprawką o życiu i pismach Reja. Przedrukowują się także poetyczne twory Wespazyana Kochowskiego, między tymi pomieszczą się mniéj znane.

Lwów. Wyszedł pierwszy numer *Dzwonka* pisma dla ludu, pod dyrekcyą Brunona Bielawskiego i zawiera: Wstęp. na dobry początek. Król w kumach, powiastka z czasów Kazimierza Wielkiego. Pieśń o dzwonku, wiersz przez Ludwika Wolskiego. Piękne przykłady, gromada Krościeniecka. Dobry gospodarz. Różności, Stary Wilgus z Binczyc Dawne przysłowia i powieści. W ogóle

wybór przedmiotów do pojęcia ludu zastosowany, dążność nauczająca i religijna, język czysty, styl jasny i zrozumiały. Na godło wzięty dwu wiersz z Kochanowskiego: Boga dzieci, Boga trzeba, Kto chce syt być swego chleba. Pismo to wychodzić będzie trzy razy na miesiąc, co dziesięć dni każdego 1—11 i 21 dnia w miesiącu, arkusz jeden w formacie dużéj ćwiartki.

Antoni Sozański wydał: Rejestr do dzieła J. Sołtykowicza. O stanie akademii Krakowskiéj i o publicznych a mianowicie uczonych pracach akademików Krakowskich. 1810 sporządził i wydał A. S. Na czele umieszczona: Treść przypisów. Następuje Rejestr materyi tudzież imion własnych w tekście dzieła Sołtykowicza zawartych, porządkiem alfabetycznym spisany. Praca niniejsza p. Sozańskego jest bardzo użyteczna dla chcących się szybko w dziele Sołtykowicza zoryentować.

Waleryan Krzeczunowicz ułożył z polecenia komitetu Towarzystwa gospodarczego i wydał: Naukę chowu koni dla ludu wiejskiego; obejmującą treściwie wyłożone najważniejsze przepisy, jak rasę koni wyłącznie do prac rolniczych używaną w kraju naszym pomnożyć i ulepszyć. Autor miał szczególnie na względzie konie włościańskie, i włościan naszych którzy z zaniedbaniem własnego interesu, poprawy rasy koni swych zaniedbują.

Jankowski, doktor medycyny wygotował do druku dzieło: O cholerze, jéj oznakach, głównych przyczynach rozszerzania się epidemicznego i sposobach leczenia Część pierwsza więcéj popularna podaje obszernie skreśloną dyagnozę téj choroby i wylicza powo y przyczyniające się głównie do jéj epidemicznego szerzenia się. Autor uznaje cholerę jako skutek zaniedbanego usposobienia chorobliwego, które najczęściéj dłuższy czas nurtuje w organizmie, nim się w właściwą cholerę przerodzi. Główny więc nacisk kładzie autor na wczesne usunięcie tych powodów sprowadzających chorobę. Część druga czysto lekarska zawiera sposoby leczenie, i recepty.

Wiedeń. U Zamarskiego wyszedł: *Testament polskiéj poezyi* (ułamek z komedyi) — ma to być jakieś humorystyczne wyprowadzenie naszych poetów na scenę — ale że to urywek, ocenić niepodobna co autor miał na celu — niewyjaśnia go nawet maleńka do maleńkiéj książeczki przedmowa, która niewiadomo *apropos* czego mówi o trudnościach ciężących na pisarzach polskich. Zapewne musi to być próbka większego utworu, który nim się ukaże, zapuszcza swoją ołowiankę w odmęt opinii.

Warszawa. W czerwcowym Zeszycie Bibl. Warsz. zamieszczono następujące artykuły:

O poezyach Hieronima Morsztyna zachowanych w rękopiśmie i dotąd niewydanych, wraz z wiadomością o czterech Morsztynach poetach XVII wieku przez Karola Mecherzyńskiego.

Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego Statutu Wiślickiego, podług przedmiotów ułożony z uwzględnieniem poprawnéj wersyi p. Z. A. Helcla podanéj i z ocenieniem zdobyczy naukowych, przez jego badania osiągniętych. Napisał Alex. hr. Stadnicki.

Gladyator Raweński, trajedya w 5 aktach Fryderyka Halma przełożył Bolesław Wiktor.

Studya nad podaniem ludu naszego, przez Józefa Grajnerta.

O piśmiennictwie i dziennikarstwie w Ameryce.

Obrazy Dagestanu przez Juliana S. . . . . V. Zródła zamożności.

Kronika Paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Le Pardon de Ploermel, opera Meyerbera w trzech aktach.— Poliutto opera Donizettego. — Wystawa sztuk pięknych. — Dwa Hamlety przekład Karola Hugo.— Wiadomości literackie. — O wykreśleniu kwadratu danemu kołu blizko równoważnego podanem przez p. Willich, i o dwóch sposobach, jak się zdaje nieznanych, któremiby można odwrot, można nakreślić koło, danemu kwadratowi blizko równoważne, przez A. F.

Kronika Literacka. Herbarz starożytnéj szlachty polskiéj wydany w Paryżu w druk. J. Claufrue S. Benoit nr. 7. Zeszyty I II i III zawierające rodowody Ogińskich, Czapskich, i Umiastowskich. Przez Juliana Pleszczyńskiego. Codex diplomaticus Silesiae herausgegeben vom Vereine für Geschichte und Alterthum Schlesiens. Erster Band. Urkunden des Klosters Czarnowonz Breslau 1857. Przez Prze.— Pan Marcin Kwieć opowiadanie z czasów Augustowskich z rękopismu Jmć Pana Wady przejrzane i własnemi wspomnieniami uzupełnione przez Stanisława Rejenta Warszawa.— Tak było u nas powieść z rękopismu Jmć Pana Wady ułożył Stanisław Rejent Warszawa. 1858. — Pustelnik w Proniunach, powieść w dwóch częściach przez Ignacego Chodźkę. Wilno 1858. Przez Kazimierza Kaszewskiego. Starożytności i pomniki sztuki domu Hoheuzollernów wydawane przez Rudolfa Barona Stillfrieda. Berlin 1859. Przez K. B.— Pamiętniki Łosia towarzysza horągwi pancernéj Władysława margrabi Myszkowskiego wojewody Krakowskiego; obejmujące wydarzenia od roku 1646 do 1667 Kraków 1858. Przez Juliana Bartoszewicza.

Rozmaitości. Objaśnienie jedynego w numizmatyce rzymskiéj medalu z (drzeworytem) przez J. Udyńskiego. Lady Sydney Morgan o naśladowaniu śpiewu ptaków.

Korespondencye do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej od J. Łaskarysa — od X. Ignacego Polkowskiego. O zapisie Świdzińskiego oznajmienie od Alexandra Wielopolskiego od Józefa Kremera. — Sprawozdanie z czynności Wydawnictwa dzieł Długosza od Józefa Łepkowskiego.

Z kroniki bibliograficznéj tego zeszytu podajemy ciekawsze doniesienia:

Jeden z literatów naszych od lat wielu pracuje nad przygotowaniem nowego wydania wszystkich pism Jana Kochanowskiego. Pracę tę mozolną a sumienną już ukończył w zupełności. W tem wydaniu krytycznem obejmuje i i łacińskie rytmy Jana Kochanowskiego, wraz z przekładem polskim. Na czele ma być umieszczony życiorys tego wielkiego poety z najświetniejszych czasów przeszłości naszéj. oraz wizerunek najpodobniejszy i autentyczny, bo popiersie, które się dochowało na grobowym pomniku Jana Kochanowskiego, z którego wierny odlew posiada Alexander Lesser. Tenże sam uczony, po ukończeniu powyższéj pracy, zabrał się obecnie do studyowania pism Łukasza Górnickiego, i przygotowania krytycznego wydania, podobnie jak Jana Kochanowskiego. Ściśle porównywając włoski oryginał „Dworzanina“, podług którego Górnicki już ustępy tłumaczył, już oryginalne przedmioty łączył, pilnie badał znaczenie wyrazów polskich przez niego użytych, i prawdziwe to znaczenie dopiero wyjaśnił. Język nasz wiele zyska z tych pracowitych a naukowych studyów. Takie wydania krytyczne wielce są pożądane, szcze-

gólniéj też tych pisarzy naszych, którzy stoją na czele tak zwanego złotego okresu literatury Jagiellońskiéj. Oczekuje podobnego wydania Rej z Nagłowic, którego język nosi tak samodzielną, oryginalną barwę narodową: lubo nie taimy trudności, które przełamać musi ten, kto weźmie się do krytycznego wydania wszystkich pism jego tak prozą jak wierszem. W nich bowiem skrystalizował się język potoczny narodu XVI wieku, któremu Jan Kochanowski nadał tyle wdzięku i harmonii w poezyi, a Łukasz Górnicki z Cypryanem Bazylikiem i. w. i. w prozie.

Pomimo stagnacyi w handlu księgarskim, wiele pracowych przygotowano do druku, które wkrótce pójdą pod prasę. Wymienimy z nich znaczniejsze: Juliusza Słowackiego „Mindowe i Marya Stuart", dwa dramata wierszem; poemata mniejsze i strofy ulotne Jana Chęcińskiego autora komedyi „Szlachectwo duszy"; Romana Zmorskiego: „Lazarica", ustęp z narodowych pieśni serbskich; Król „dziewosłębem", obrazek dramatyczny Karola Kucza. Ignacy Dobrzyński zamierza wydać ową słynną a znaną pieśń: „Święty Boże" na cztery głosy solowe, chór i wielką orkiestrę: wspaniały ten utwor zachwycał już nieraz publiczność naszą.

Z pola dziejów krajowych: „Szkice i Pamiętniki historyczne" Leopolda Huberta, wyjdą nakładem typografa J. Jaworskiego; „Żywoty Biskupów Wileńskich" Hipolita Skimborowicza, tom III, nakład S. Orgelbranda: dwa pierwsze tomy już oddawna w druku skończone; Monografie historyczne genealogiczne niektórych rodzin polskich i litewskich" przez Stanisława Kaz. hr. Korwin Kossakowskiego, z przypisami Juliana Błeszczyńskiego; „Wędrówki po Gubernii Augustowskiéj" Alexendra Połujańskiego, (już się drukują); „Polska Starożytna" czyli opisanie historyczne, statystyczne i jeograficzne dawnéj Polski przez A. G. b. profesora historyi.

Powieści: „Domek przy Ulicy Głębokiéj" Włodzimierza Wolskiego, przedruk z Gazety Codziennéj; J. I. Kraszewskiego: „O Królewiczu Rumianku i siedmiu królewnach fragment"; Galerya obrazów szlacheckich Czesnikiewicza (Józefa Miniszewskiego) i tegoż: Listy Cześnikiewicza, część 2ga.

„Rozrywki dla dzieci", K. Hofmanowéj, dalsze tomy nakładem S. H. Merzbacha.

Krótko zebrane Dzieje Starego i Nowego Testamentu, przez X. Serwatowskiego; Tym którzy cierpią: książka dla chorych z wyjątkiem Pisma św. złożona przez A. F. Ozanama.

„Lekcya Patologii Ogólnéj" miana w Akademii Medyczno-Chirurgicznéj Warszawskiéj p. Dr. Wisłockiego.

„Przyczynek do fizyologicznéj diagnostyki kurczów" przez Dr. Ludwika Natansona.

— Druk „Encyklopedyi Powszechnéj" posunął się znacznie: odbito już trzydzieści kilka arkuszy i skończono do lit. Am włącznie. Część encyklopedyi polskiéj znakomicie podparli J. Bartosiewicz i F. M. Sobieszczański pracami swojemi: strategią powszechną i krajową pisze Władysław Bentkowski poseł na sejm pruski; część heraldyczną Julian Błeszczyński, dział archeologii polskiéj, literatury i jeografii K. Wł. Wójcicki, Leopodl Hubert, Cezary Biernacki, Szczęsny Morawski, Antoni Nowosielski; (Marcinkowski) K. Widman (ze Lwowa) Józef Łepkowski, i. w. i. Najobszerniejszy w Encyklopedyi Polskiéj wziął

dział J. Bartoszewicz, bo życiorysy królów polskich i ich rodzin, arcybiskupów i biskupów, oraz cały wiek XVIII. Dział słowiański opracowywa znany z wielu prac naukowych Leon Rogalski z pomocą Dr. Cybulskiego z Berlina i. w. i.; on też wziął część teologiczną wsparty współpracownictwem X Pawła Rzewuskiego, X. Serwatowskiego, X. Lipnickiego i pastora L. Otto.

F. H. Lewestam opracowuje dział jeden z najrozleglejszych, bo dzieje powszechne, literaturę, filozofią, jeografią i łączne z niemi nauki. Tu Józef Kremer autor Listów z Krakowa wziął cały dział Logiki.

Dział równie rozległy nauk ścisłych (matematyka, fizyka, chemia, mineralogia, botanika, zoologia, medycyna i łączne z niemi) opracowuje Jan Pańkiewicz, przy pomocy współ-pracowników Dr. Majera, Dr. Skobla, Dr. Szokalskiego, Dr. Rakowskiego, profes. Pisulewskiego, Alexandrowicza, Taczanowskiego i. w. i. Wymienimy tu współpracowników Encyklopedyi téj, oprócz już wzniankowanych, którzy czynny uddział wzięli w tem znakomitem dziele.

— Baranowski dyrektor Obserwatoryum w Warszawie, Anczyc Wład., Gustaw Zieliński, Kazimierz Kaszewski, Adam Jocher, Hieronim Łabędzki, Józef Łepkowski, profes. Jurkiewicz, Adam Prażmowski, Walenty Dutkiewicz członek senatu, Wrotnowski mecenas, Fr. Maciejowski sędzia apelacyjny, Józef Mączyński, Dr. Neugebauer, Dr. Sokołowski, Dr. Kulesza, Dr. Kaczkowski, prof. Cichocki, Morzycki obywat., Adam Mieczyński, J. K. Gregorowicz, J. Jasiński dyrektor teatrów warszawskich, Kajetan Kraszewski, Oskar Kolberg, H. Skimborowicz, A. Funkenstein, Ludwik Jenike, Szyszko, Pracki, Flatau, Józef Grejnert. Wyliczyliśmy tylko poczet tych współpracowników, którzy już opracowywać zaczęli artykuły do Encyklopedyi, i których po większéj części prace już są wydrukowane: odbito już bowiem arkuszy 33, czyli połowę pierwszego tomu. Prospekt wydany niebawem i przyłączony do wszystkich ptsm peryodycznych, objaśni w szczegółach czytelników, o całéj ważności téj publikacyi.

— Od 2go maja r. b. zaczęła wychodzić Gazeta Niemiecka p. n. „Warschauer Zeitung“. Oprócz wiadomości politycznych, stara się zaznajamiać Niemców z naszą literaturą i życiem społecznem. W felietonie, umieściła przekład powiastki Józefa Korzeniowskiego „Scena na balu“.

— Wkrótce ogłoszonym zostanie prospekt na „Tygodnik illustrowany“. Pismo to, nakładem pana Józefa Ungra, znanego typografa wydawane, wychodzić będzie w kroju Illustracyi francuzkiéj przy współudziale literatów polskich. Przejrzane zbiory prywatne w samem naszem mieście, pokazały tak wielkie zasoby do tego pisma, że byt jego na lat wiele zapewnić mogą. Cóż mówić dopiero o zbiorach prywatnych w innych częściach Polski? Nie powątpiewamy o najświetniejszem powodzeniu téj publikacyi, tem bardziéj, gdy obok wysokiéj wartości jaką mieć będzie, artystycznéj i literackiéj, zaleca się nadzwyczaj dostępną ceną, bo tylko złp. 4 na miesiąc czyli 48 złp. na rok: będzie to więc jedno z najtańszych pism w stosunku kosztów nakładu, i ozdobności wydania. Każdy numer zawierać mniéj więcéj będzie: oprócz artykułów z pięknéj literatury, z drzeworytami; życiorys zasłużonego rodaka kościół godny uwagi, czy pod względem architektury, czy też rozgłosu; zamek

dawny, lub widok piękniejszy krajowy; zabytki zbroi dawnych lub kostiumów polskich. Nie przepomniane zostały kostiumy ludu naszego z różnych okolic i prowincyi. Wreszcie w każdym numerze mieścić się będzie polski rebus. Najbogatsze zasoby do Tygodnika już dostarczyli: b. prof. uniwersytetu warszawskiego znany zaszczytnie J. Piwarski, Karol Bayer archeolog, i artysta Gerson.

— W zakładzie litograficznym Maksymiliana Fajansa odbitym został wizerunek zgasłego w kwiecie wieku Apolinarego Zagórskiego. Wizerunek ten odznacza się szczególnem podobieństwem i przeznaczony jest do zbioru pism zmarłego pisarza, które w 2ch tomach wkrótce wyjdą z pod prasy drukarskiéj.

— Znana z pięknych utworów poetycznych p. Marya Ilnicka przełożyła z angielskiego pieśni Ossyana.

— Zapowiedziany dawniéj poemat Deotymy wyszedł z drukarni Gazety Codziennéj w ozdobnem wydaniu p. n.: „Polska w pieśni, z księgi pierwszéj, Lech".

— Nakładem litograficznego zakładu A. Pecq'a, wyszedł zeszyt IV. „Wizerunków Królów polskich" rysowanych przez Alex. Lessera, z tekstem J. Bartoszewicza, i obejmuje popiersia: „Mieczysława Starego, Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego.

— Kuryer Warszawski donosi, że ostateczny termin nadsyłania na ręce redaktora tegoż pisma, komedyi, na konkurs artysty dramatycznego Aloizego Żółkowskiego, wyznaczony stanowczo został na dzień 31 lipca r. b., premium wynosi złp. 2,333 gr. 10 czyli rsr. 350.

— Do dramatu J. Korzeniowskiego „Cyganie", który niedawno był przedstawionym na Wielkim Teatrze, napisał muzykę dyrektor opery Stanisław Moniuszko. Taniec cygański wyszedł nakładem nowéj księgarni Michała Glücksberga.

— Nakładem i drukiem księgarni J. Zawadzkiego wyszły „Dzieje rzymsko-katolickiego kościoła w krótkich szczegółach przez ks. S. (Snarskiego) dominikana. Autor w przedmowie pisze: „Obeznanym z dziejami religii, od stworzenia świata aż do Wniebowstąpienia Jezusa Chrystusa sięgającemi, dla dalszego ich rozwoju potrzebną jest znajomość historyi kościelnéj, która zawiera początek wiary chrześciańskiéj, wzrost jéj cudowny i szybkie rozkrzewienie po całym świecie przez apostołów, tudzież ich następców, pomimo okrutnych prześladowań mocarzów rzymskich i ucisku od mnogich władców chrześciańskich nawet. Historya kościelna jest mistrzynią chrześcian: ona wzmacnia ich wiarę i nadzieję, wskazując dowodnie obronną pomoc Boską, ciągle udzielaną kościołowi powszechnemu dla złagodzenia natarczywych jego nieprzyjaciół. Nigdy on nie zaginie, ponieważ Jezus Chrystus był dlań aż do skończenia świata upewnił. Żadna więc potęga ziemska obalić go nie zdoła. Chociaż zaraz po swem nastaniu podlegał ciężkim doświadczeniom przez 300 lat ciągle i w każdem prawie stuleciu zwłaszcza w drugiéj połowie XVIII i w XIX wieku, zawsze jednak zwycięzko z nich wychodził. Jedność zasad wiary, stopniowe ich rozkrzewianie, korne posłuszeństwo jego wyznawców namiestnikom Chrystusa, utrzymują go dotąd niezachwianym. Liczni odszczepieńcy i kacerze nie zmniejszyli jego dziatwy, nawrócone dzikie i pogańskie ludy, zdziałany ich odstępstwem jéj ubyt zapełniały przy

pomocy Boga, który wszechwładnie przenosi królestwa i dar wiary do narodów pożyteczne wyradzających owoce“. Autor dzieli prace swoje na następne działy: 1. Na czele każdego wieku umieszcza czyny najwyższych pasterzy kościoła rzymsko - katolickiego. 2. Wskazuje stan chrystyanizmu w rozmaitych państwach i poczet tych władców którzy wpływali na wzrost lub uszczerbek religii Chrystusowéj. 3. Podaje spis kacerzy występujących przeciw kościołowi. 4. Przedstawia szereg pisarzy kościelnych i dzieła ich na obronę wiary ułożone. 5. Sobory powszechne i krajowe dział osobny stanowią. 6. Rys nowych zakonów w każdym wieku postępowo się tworzących treściwie opisany. 7. Zwyczaje religijne, ustawy dla chrześcian i duchownych osób uchwalone na soborach, oraz mające na celu karność kościelną w każdym wieku. Z téj treści czytelnicy powezmą dokładną wiadomość o wartości tego dzieła, które w jednym tomie obejmuje dzieje rzymsko - katolickiego kościoła. Téjże księgarni nakładem w drugiem wydaniu wyszły poezye Gabryelli z Ginterów Puzyninéj p. n.: „W Imię Boże! Daléj w świat!“ Jest to zbiorekznanéj z talentu autorki, już poprzednio w dwóch oddzielnych broszurkach drukowany, teraz powtórzony z dodaniem kilku nowych utworów.

— Znanéj od lat wielu i upowszechnionéj puklikacyi: „Księga Świata“: wyszły zeszyty 3 i 4 na r. b. Wyliczymy tu przedmioty ściśle krajowe. Na czele kładziemy: Rozprawy Juliana Bartoszewicza p. n. „Radziejowice“, ową wieś nad rzeczką Gorgolą pod Mszczonowem, w starożytnéj ziemi sochaczewskiéj położoną, która była gniazdem rodzinnem słynnéj rodziny Radziejowskich, a któréj pamięć uczciwą w dziejach, skalał zdradą ohydną Hieronim Radziejowski. Przeszła ta wieś następnie w posiadanie rodziny Krasińskich, w których ręku dotychczas pozostaje. Zajmującem i ważnem jest „Wspomnienie Tatrów“ z notat podróżnych Oskara Flatt, znanego od lat wielu, zdolnego pisarza. Obszerne są te wspomnienia, bo ciągną się przez dwa zeszyty; ale czytelnik z upodobaniem odczyta te karty, poświęcone opisom tak uroczéj krainy.— Adam Wiślicki, skreślił dokładny życiorys Jerzego Bogumiła Puscha, uczonego geologa, który najważniejsze swoje badania, zwrócił do naszéj ziemi. Pismo nasze drukowało kilka ciekawych ustępów z obszernego dzieła w rękopiśmie dotąd zachowanego p. n. „Polens Aerometrie“. Był on, oprócz wielu zagranicznych uczonych towarzystw, członkiem b. Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Urodził się d. 15 grudnia 1791 r. we wsi Kohren w Miśnii, umarł d. 2 października 1846 r. Dołączone tu jest popiersie uczonego męża, z litografii A. Pecq'a.

„Z najnowszych książek mogących Polaków obchodzić, najznamienitszem jest dziełem w 2 tomach Bohdan Chmielnicki, p. Kostomarowa. Usiłował on w opowieści naśladować Makaulaja angielskiego, krytycznem obrobieniem materyałów nagromadzonych, ale mu nie dorównał. Dawszy Chmielnickiemu na tytule nazwę Watażki p. Kostomarów pierwszy z rosyjskich pisarzy podkopał fundamenta piedestału, na którym go wielu tak dziejopisarzy jak poetów postawiło, uważając go jako bojownika wiary. Przeczytawszy pracę p. Kostomarowa, utwierdziliśmy się w naszym sądzie, że Chmielnicki niczem więcéj nie był, tylko szczęśliwym Watażką nie-

sfornéj dziczy, któréj ani urządzić, ani z jéj zapału i zwycięztw należycie korzystać nie umiał. Szczęśliwym był powtarzam, że nie skończył na palu lub podtoporem, jak zasłużył. Dzieło p. Kostomarowa, powinno być znane badaczowi polskiemu, któryby zabrał się do studyów dziejowych Ukrainy i Chmielnickiego czasów.

Poznań. Nakładem Żupańskiego wyszły: *Polne kwiaty* poezye liryjne i dwa błędne ogniki — wszystko napisał Władysław Dienheim Prawdzie Chotomski hrabia Ś. państwa Rzymskiego.— Jest to zbiór wierszy po wiekszéj części okolicznościowych — niektóre bywają dowcipne i gładkie, inne zaś jak: *Bukiet Aliuy*, wydają się aż do ckliwości przesadne, wszakże wiedząc o talencie pana Chotomskiego do parodji, domyślamy się że w tych strzelistych wierszach chciał zapewne sparodyować sentymentalizm.

Wrocław. Księgarnia L. F. Maskiego w Wrocławiu, posiada pamiątkę wielkiéj wagi, a nader rzadką w rękopiśmie pochodzącym z XIII stulecia, zawiercjącym zbiór pieśni na cześć ś. Jadwigi. Pismo same z nadzwyczajną starannością na pargaminie jest wykonane, a licznemi inicyałami złotemi ozdobione: największą zaś osobliwością dzieła niezawodnie są dodane melodye. Nuty przypominają system czteroliniowy przez Gwidona Arezańskiego wynaleziony, a na ostatnich kartach rękopismu dopiero spotykamy się z układem pięcioliniowym, dziś jeszcze używanym. Zdaje się, że ta pamiątka pochodząca z klasztoru Trzebnickiego, przez św. patronkę polską założonego, napisaną została w 30 lat po jéj kanonizacyi.

Paryż. Ma wyjść najzupełniejsza edycya wszystkich pism A. Mickiewicza polskich w ośmiu tomach, a francuzkich w pięciu. — Druk ma już być do połowy posunięty. — W takim razie wcale nie zabawne jest położenie wydawcy Warszawskiego p. Merzbacha, który zrobił tak kosztowny nakład aby ogłosić wydanie niekompletne — Wyszła tamże książka pod tutułem: Zasady dziejów polski i innych krajów słowiańskich przez F. H. Duchińskiego.— Owoc to ścisłéj nauki historycznéj odnoszącéj się do badań nad początkami moskiewskiemi, i jakimi drogami plemiona Uralskie na północy mieszkające przyjęły język i cywilizacyę Słowiańską.

Lipsk. W dwoch grubych tomach, a ma być jeszcze trzeci, wyszło tamże *Słowo z Dziejów Polskich* — napisał W. Koronowicz — są to uwagi i postrzeżenia nad dziejami polskiemi — ale uwagi robione nie podług badań źródłowych tylko najwięcéj podług historyi Moraczewskiego którą autor brał za przewodnika.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother rządca druk.

SPIS PRZEDMIOTÓW

w zeszycie czerwcowym zawartych.

Przedpłata na **Dodatek miesięczny** „Czasu“ wraz z dziennikiem:
dla miejscowych rocznie 30, półrocz. 15, kwart. 8 złt. austr.
„ zamiejscowych wraz z przesyłką „ 34, „ 17, „ 9 „ „

Dodatek miesięczny wychodzi w zeszytach od 12 do 15 arkuszy druku z dniem ostatnim każdego miesiąca.

☞ Dla zagranicznych pojedynczy zeszyt **Dodatku miesięcznego** sprzedaje się w Biórze Administracyi „Czasu“ po złr. 2 mk.

Dodatek z lat upłynionych jest do nabycia w „Expedycyi Czasu“ po cenie **12 złr.** m.k. za rok jeden, to jest za 12 zeszytów miesięcznych.

Egzemplarzy *gratis* Dodatku miesięcznego nie daje się.